



RODRIGUES OTTOLENGUI

Guzik z kamei

RODRIGUES OTTOLENGUI

Guzik z kamei

TEŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

ROZDZIAŁ PIERWSZY. DZIWNY ZAKŁAD

Jack Barnes nie chybi nigdy. Możesz się pan założyć wysoko.

— Hm... hm... o włos, to stałoby się! — zauważył konduktor wagonu pulmanowskiego, pomagając Barnesowi wsiąść, gdy wskakiwał w biegu do ekspresu, wychodzącego z Bostonu o północy. — Radziłbym panu jednak nie wskakiwać zbyt często do jadących już pociągów.

— Dziękuję za dobrą radę i pomoc. Oto mały napiwek dla pana. A teraz proszę mi wskazać miejsce moje, jestem śmiertelnie znużony.

— Numer 10, wszystko gotowe, może pan zaraz kłaść się.

Nie było widać nikogo, a jeśli jechało tym samym wozem więcej podróżnych, udali się już na spoczynek. Barnes był istotnie bardzo znużony i powinien był zasnąć niezwłocznie, ale umysł jego był czynny niezwykle i sen nie nadchodził.

Jack Barnes, cieszący się sławą jednego z najrzeczniejszych detektywów Nowego Jorku, miał własny zakład wywiadowczy, którym kierował osobiście.

Właśnie rozwikłał w sposób bardzo chlubny dość trudną sprawę. W Nowym Jorku popełniono wielką kradzież, a podejrzenie, oparte o ciężkie poszlaki, padło na pewnego młodzieńca, którego aresztowano. Przez dziesięć dni zajmowała się prasa podejrzanym, usiłując przekonać opinię publiczną o jego winie, a tymczasem Barnes wyjechał cichaczem z miasta. Dwanaście godzin przed naszym zapoznaniem się z nim, ludzi, czytujących dzienniki przy kawie porannej, zaskoczyła wiadomość, że uwięziony nie jest winowajcą, prawdziwego zaś zbrodniarza schwytał bystry Jack Barnes, a co więcej jeszcze odzyskał przedmioty skradzione, wartości trzydziestu tysięcy dolarów.

Słabe jeno poszlaki, które detektywowi wydały się jednak nader obiecujące, skłoniły go do pójścia za tym tropem. Z miasta do miasta snuł się, jak cień, za swą ofiarą, pilnując dniem i nocą. Teraz gdy już miał ptaszka w bezpiecznej klatce w Bostonie, ruszył do Nowego Jorku po papiery potrzebne do wydania go sądowi.

Jak wiemy, mimo zmęczenia leżał bezsennie, gdy nagle usłyszał słowa:

— Gdybym coś przeskrobał, a wiedział, że ten Barnes następuje mi na pięty, dałbym poprostu za wygraną i stawiał się sam.

Początek był obiecujący, ponieważ zaś Barnes spać nie mógł, jał podsłuchiwać, bo wiem to zaliczało się także do rzemiosła jego. Głos, który pobudził jego baczność, dochodzący wyraźnie z przedziału Nr. 8, był wprawdzie cichy, ale detektyw miał słuch dobry.

— Nie wątpię, ni na chwilę, że takbyś uczynił — odparł głos drugi — dlatego, że przeceniasz zręczność współczesnego detektywa. Mnie sprawiłoby przyjemność, gdyby jeden z nich wziął mnie na oko. To istotnie żarcik nielada, a myślę, że z łatwością wodziłbym go, jak przystało, za nos.

Człowiek, który wyrzekł to, miał głos dźwięczny i wyraźną wymowę, mimo że rozmowę wiedziono szeptem nieomal. Barnes uniósł ostrożnie głowę i podsunął poduszki tak, że uchem dotykał ściany przegrodowej, co bardzo ułatwiło słuchanie.

— Zważ jednak, — ciągnął dalej głos pierwszy — jak ten Barnes śledził dzień i nocą Pettingilla, aż go wciągnął w pułapkę. Właśnie w chwili, kiedy opryszek uważał się za bezpiecznego, został ujęty. Przyznasz chyba, że Barnes postąpił bardzo sprytnie?

— O tak, w swoim rodzaju całkiem sprytnie. Ale nie było tu nic artystycznego, co-prawda, nic z winy detektywa, jeno winowajcy. Zbrodnia jako taka, dokonaną została nie artystycznie, Pettingill robił głupstwa, Barnes spostrzegł je chytrze, a przy jego wprawie i zręczności, rezultat był nieunikniony.

— Zdaje mi się, że albo nie czytałeś szczegółowego opisu tego przypadku, albo nie doceniasz detektywa. By trafić na ślad Pettingilla posiadał tylko guzik.

— Tylko guzik.. ale co za guzik! Tutaj właśnie zbrodniarz postąpił nie artystycznie. Nie powinien był zgubić tego guzika.

— Musiał to być przypadek, jeden z tych, których przewidzieć zgóry i uniknąć nie-sposób.

— Słusznie. Ale właśnie te małe, nieprzewidziane, a jawiące się zawsze przypadki wtrącają tyłu do więzień i prowadzą na stryżek, dopomagając detektywom do tanio nabytej sławy. Tu jest sedno rzeczy. Gra pomiędzy detektywem a zbrodniarzem jest zbyt nierówna.

— Nie całkiem cię rozumiem.

— W takim razie wygłoszę prelekcję o zbrodni. W życiu normalnem walczy jeden rozsądek z drugim. Dotyczy to zarówno uczonych, jak i rzemieślników. Mózg trze się o mózg, a w rezultacie powstają najświetniejsze myśli świata. Tak postępuje wiedza uczciwego zarobkowania na chleb. Ze zbrodniarzami, sprawa inna. Walczy z siłami potężniejszymi. Jego towarzysze zawodowi, że się tak wyrażę, nie stają przeciw niemu, ale raczej są jego pomocnikami. Ma tedy tylko za wroga detektywa, wyobraziciela społeczeństwa i prawa. Żaden człowiek, śmiało rzec można, nie zostaje zbrodniarzem z wolnego wyboru, a położenie przymusowe, w jakim działa, sprowadza odkrycie.

— W takim razie musiano by schwytać wszystkich zbrodniarzy?

— Słusznie, wszystkichby musiano schwytać, a fakt przeciwny jest dowodem na niekorzyść twego detektywa. Każdy bowiem zbrodniarz jest, tak czy owak, pozbawiony swobody działania i stanowi zaródź jego klęski. Naprzykład: Zechcesz może twierdzić, że każdy zbrodniarz kreśli zgóry plan swój, a co z tego wynika, mógłby starannie uniknąć pozostawienia śladów zdradzających czyn jego. To jest atoli wielką rzadkością. Najczęściej jawi się coś niespodzianego, na co przysposobiony nie był. Natychmiast widzi przed sobą więzienie, a strach ten rozprasza całą ostrożność jego, tak że jak widzimy, pozostawia ślady.

— Jeśli atoli powiadasz, że zawsze niemal jawi się coś nieoczekiwanego, przynajmniej sam możliwość czegoś, przed czym nie może się uchronić nie przewidzieć tego.

— W danym przypadku jest tak istotnie. Ale wyobraź sobie, że nie istnieje owo położenie przymusowe, które pozbawia zbrodniarza pełnej swobody działania. Przypuśćmy, że jest to człowiek traktujący zbrodnię naukowo i jako dzieło sztuki. Człowiek taki przedewszystkiem przysposobi się na większą ilość przypadków, a także zdoła poradzić sobie z rzeczami nieoczekiwanymi, jakie zająć mogą podczas wykonywania zbrodni. Przebac mi zarozumiałość, ale twierdzą, że gdybym popełnił zbrodnię, nie dowiedzionoby mi tego.

— Tak? Ja sądzę przeciwnie. Wobec braku doświadczenia zostałbyś schwytny, równie szybko jak ten Pettingill. Wiesz dobrze, iż była to jego pierwsza zbrodnia.

— Może pójdziemy o zakład?

Na te słowa zerwał się Barnes, czekając bacznie odpowiedzi, gdyż zrozumiał natychmiast, co ma na myśli mówiący, a czego słuchający, zdało się, nie pojmuje dobrze.

— Nie rozumiem cię. O co mam się zakładać?

— Twierdzisz, że w razie dopuszczenia się zbrodni, zostałbym ujęty tak szybko, jak Pettingill. Otóż gotów jestem założyć się z tobą, że popełnię zbrodnię, równie głośną, jak jego i że nie zostanę schwytny, czyli ściślej mówiąc, nie zostanie udowodnione, iż jestem sprawcą. O uwięzienie nie chcę się zakładać, gdyż jak widzieliśmy w danym przypadku, niewinni często dostają się pod klucz. Warunkiem mym jest tedy dowód sądowy.

— Nie rozumiem cię jeszcze. Czyż na serjo zobowiązujesz się popełnić zbrodnię poty tylko, by wygrać zakład? To dziwne wiele!

— Znajomi Pettingilla zapewne nie rozumieli go także. Ale nie troszcz się, biorę całą odpowiedzialność na siebie. No i cóż? Czy godzisz się na tysiąc dolarów? Potrzebuję małej rozrywki.

— Będziesz miał rozrywkę, płacąc mi tysiąc dolarów, a chociaż nie wierzę, byś miał naprawdę zamiar zostać zbrodniarzem, skorzystam w każdym razie z propozycji twojej.

— Jako w każdym razie?

— Rzecz jasna. Albo nie popełnisz zbrodni i musisz płacić, albo popełnisz, złapią cię i także musisz płacić. Naciągnę cię w przyszłości, ale mimo to pieniądze wezmę.

— Zatem przyjmujesz zakład?

— Oczywiście.

— Zgoda. A oto warunki moje. Zastrzegam sobie miesiąc na ułożenie planu i zobowiązuję się wodzić za nos detektywów. Jeśli po roku będę wolny i udowodnię ci, że zbrodnię popełnił, wygrałem zakład. Jeśli po upływie tego czasu będę w więzieniu śledczym, zakład będzie rozstrzygnięty dopiero po wyroku takim lub owakim. Czy się na to godzisz?

— W zupełności. Jakież to jednak rodzaj zbrodni chcesz popełnić?

— Jesteś zbyt ciekawy, przyjacielu. Zakład zawarty, a ja wprowadzam zaraz w życie sławetną ostrożność moją. Dlatego nie mogę paplać o zamierzonej zbrodni.

— Czy sądzisz, że cię zdradzę? Daję słowo honoru, iż tego nie uczynię, zobowiązując się, w razie przeciwnym zapłacić kwotę pięciokrotnej wysokości.

— Wolę ci pozostawić zupełną swobodę działania i sądzę, że tak będzie lepiej. Teraz nie wierzysz w ducha, bym popełnił zbrodnię i przyjaźń twa jest bez zmiany. Dalej myślisz, że gdyby to nawet nastąpiło, sprawa będzie drobiazgowa, tak że sumienie pozwoli ci przebaczyć mi. Gdyby atoli w określonym terminie ktoś popełnił istotnie wielką zbrodnię, przybiegniesz niewątpliwie, żądając wyjawienia czynu. Oczywiście odmówię odpowiedzi, ty zaś uznasz to za wyznanie i z obawy współnictwa pospieszysz zdradzić całą rzecz.

— Drogi Bobie! Czuję urazę naprawdę! Niesądziłem, że mi ufasz tak mało.

— Nie gniewaj się, stary przyjacielu. Pamiętaj, że przed kilku dopiero minutami ostrzegaleś, że mnie naciągniesz w przyszłości. My, artyści zbrodni, musimy być przygotowani na każdy obrót sprawy.

— Powiedziałem to bez namysłu i nie serjo.

— O nie! Mówiłeś z namysłem i całkiem serjo. Ale nie biorę ci tego za złe. Masz wszelkie prawo zeznać wszystko o zakładzie, skoro uczujesz wyrzuty sumienia. Najlepiej będzie, gdy się na to przysposobię. Ale istnieje jeszcze jedna możliwość odkrycia. No zgadnij jaka?

— Nie wiem, chyba własne zeznanie twoje.

— Nie! Chociaż i to mogłoby wchodzić w grę. Czyś słyszał, że ktoś chrapie?

— Nie.

— Posłuchajże... teraz? Jest to raczej ciężki oddech, nie chrapanie. Człowiek ten znajduje się w drugim przedziale, od nas licząc. Odgadujesz teraz, co mam na myśli?

— Wyznaję, że nie mam kwalifikacji na detektywa.

— Ależ, mój drogi. Jeśli my to słyszymy, to ktoś będący w przedziale sąsiednim mógł nas doskonale podsłuchać!

Barnes musiał podziwiać tego człowieka, liczącego się ze wszystkimi możliwościami.

— Ależ! Wszyscy śpią głęboko!

— Zwykły zbrodniarz spuszcza się może na takie przypuszczenie, ale nie ja. Istnieje także inna, chociaż dalsza możliwość, że nas podsłuchał ktoś z przedziału dziesiątego. Mógł to być detektyw, a co gorzej nawet Barnes.

— Wyznaję, że operujesz możliwościami bardzo odległymi i masz szansę ujęcia kary.

— Ujęć, napewno. Ale ta możliwość nie jest tak odległą, jak ci się wydaje. Czytałem, że Barnes chce dziś właśnie wrócić do Nowego Jorku. Przypuśćmy, że notatka ta jest prawdziwa, natenczas miałby do dyspozycji trzy pociągi, o siódmej, o jedenastej i ten. Jeden na trzy, nie jest to zbyt małe prawdopodobieństwo.

— Pociąg nasz składa się z dziesięciu tylko wagonów...

— Znowu fałszywy wniosek. Po takim wysiłku, Barnes wziął napewno przedział sypialny. Wszak pamiętasz, że w chwili ostatniej zdecydowałem się wracać dziś do Nowego Jorku, a gdyśmy przybyli na dworzec, wagony sypialne były tak zatłoczone, że doczepiono ten jeszcze. O ile Barnes nie wziął biletu w ciągu dnia, jedzie napewno z nami.

— Cóż cię naprowadza na przedział dziesiąty właśnie?

— Wiem, że przedział szósty jest wolny. Ale w chwili gdy pociąg ruszał już, wpadł ktoś i zdaje mi się, zajął przedział dziesiąty.

Barnes zaczął przypuszczać, że będzie miał sporo trudności wykryć zbrodnię tego człowieka, o ile wogóle ją popełni, i to niezależnie od okoliczności, że się dowiedział już tyle.

— Widzisz tedy, że istnieją dwie drogi, na których zamiar mój może zostać wysłędzony, a spuszczenie ich z oka może być groźne. Ponieważ atoli znam je zgóry, nie zajdą trudności, a wtajemniczenie detektywa, choćby nawet był Barnesem, niewiele mu przyniesie korzyści.

— Jak zamierzasz uniknąć niebezpieczeństwa?

— Drogi chłopcze! Czy sądzisz, że odpowiem na twe pytanie, wskazawszy już, iż nas może podsłuchuje detektyw. Ale coś potrosze nadmienię. Powiedziałeś, że Pettin-gill zgubił guzik tylko i podziwiałeś Barnesa za to, że go wysłędził na podstawie tego guzika. Gdybym ja zgubił guzik kamizelki, schwytałby mnie Barnes przed upływem dni dziesięciu, bowiem guziki moje są swego rodzaju unikatem w świecie.

— Cóż to znaczy? Sądziłem zawsze, iż guziki jednakowe fabrykuje się całymi tysiącami.

— Nie wszystkie. Z powodu, o którym nad słuchujący możliwie detektyw nie potrzebuje wiedzieć, poleciła przyjaciółka moja, podczas podróży do Europy, sporządzić specjalny garnitur i przywiozła mi go. Są to cięte w kamieniu komeje z wyobrażeniem profilu Julji i Romea.

— Ach, więc romans?

— To rzecz inna. Wyobraź sobie, że chcąc wygrać zakład, podjąłbym włamanie. Ponieważ, ani odnośnie do czasu, ani miejsca nie znajduję się w położeniu przymusowem, obrałm porę odpowiednią, gdy tylko ktoś jeden strzeże skarbu. Zachloroformowałbym go, związał i zabrał łup. Nagle, w chwili gdy chcę wyjść, budzi się piesek pokojowy, o którym nie wiedziałem wcale, i zaczyna wściekle szczeleć. Po chwili udaje mi się schwycić go, ale bestja wpija mi zęby w rękę i w chwili, kiedy go duszę, w śmiertelnych podrzutach, odrywa guzik kamizelki, który spada na posadzkę i toczy się dalej. Zwykły włamywacz straciłby głowę i uciekł co prędzej, nie bacząc, że został ugryziony, że krew popłynęła i że zgubił guzik. Nazajutrz wzywają Barnesa. Stara dama rzuca podejrzenie na stangreta, a detektyw godzi się na aresztowanie go, nie dlatego, by wierzył w jego winę, ale dla dogodzenia starej damie i zabezpieczenia sobie przezto osoby sprawcy. Potem spostrze-ga krew na podłodze i pysku psa i znajduje guzik. W ten sposób trafia na złodzieja ze skaleconą dłonią i sprawa skończona.

— Jakżebyś uniknął tego?

— Będąc rozsądnym, nie miałbym u kamizelki zdradzieckich guzików. Ale przy-puśćmy, że nie jestem całkiem swobodny w wyborze czasu i mam te guziki. Pewny, że w domu jest tylko jedna osoba, chloroformuję ją, a potem nie pozwalam się ugryźć psu. Gdyby zaś nawet to nastąpiło, nie tracąc głowy, zmywam krew z dywanu i pyska psa, szukam guzika, znajduję go, a wkońcu otwieram okno, by wypuścić odór chloroformu. Nazajutrz jedynym śladem byłby zaduszony pies i brak kosztowności.

— Metoda twoja, w warunkach zgóry urządzonych, jest jasna i łatwa, ale wątpię bardzo, czy na miejscu Pettingilla zdołałbyś zachować całą przytomność umysłu i znaleźć guzik, który był powodem jego zdemaskowania.

— Masz może rację, gdyż na jego miejscu, znajdowałbym się w położeniu przymu-sowem. Nie sądzę jednak, bym miał wziąć ze sobą guzik, mając, jak on, wolny wybór czasu. Guzik ten, mianowicie, sporządzony był ze starej, rzadkiej monety. Barnes obszedł antykwaryaty i znalazł człowieka, który przedmiot ten sprzedał Pettingillowi. Reszta była prostą konsekwencją.

— Masz wysokie, widzę, mniemanie o sobie, ale cóż mi szkodzi przez twe zarozu-mialstwo zarobić tysiąc dolarów. Teraz atoli jestem znużony i chcę spać. Dobranoc!

— Dobranoc, przyjacielu! Śnij o zarobku tysiąca dolarów, które mi zapłacisz.

Barnes nie myślał o śnie. Nowy przypadek, gdyż tak skwalifikował zasłyszana roz-mowę, pociągnął go wielce. Zdecydowany ująć człowieka, który uczynił zakład o jego bystrość umysłu, powziął niezłomny zamiar, zwłaszcza, że krok poważny w kierunku po-

wodzenia był już uczyniony, nie spuszczać z oczu pyszałka w ciągu miesiąca. Największą przyjemność sprawiłoby mu dokonanie zbrodni, by go potem przyłapać na uczynku. Pocichu opuścił swój przedział, prześlizgnął się do przeciwległego, skąd mógł obserwować przedział ósmy i tam założył kwaterę nocną.

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby ten chytry szatan tej jeszcze nocy dokonał swego zamiaru. Miejmy tę nadzieję, gdyż zanim to uczyni, o śnie niema dla mnie mowy.

ROZDZIAŁ DRUGI. ZUCHWAŁA, A UDANA KRADZIEŻ W POCIĄGU

Pociąg zbliżał się do Stamfordu, gdy Barnes usłyszał, że nadchodzi konduktor. Człowiek ten czynił tajemnicze gesty, z których domyślił się detektyw, że go wzywa.

— Wszakże wczoraj, wskakując do pociągu, wymienił pan swe nazwisko, Barnes? — spytał konduktor.

— Tak jest i cóż dalej?

— Czy pan jest detektywem Barnesem?

— Czemuż pan pyta?

— Dlatego, że jeśli pan jest detektywem, kierownik pociągu chciałby z panem pomówić. W ciągu nocy popełniono wielką kradzież w pociągu.

— Do diabła!

— Tak! Fatalna historia. Ale proszę przejść ze mną do drugiego wozu.

— Zaraz idę.

Barnes podszedł cicho do przedziału ósmego i zajrzał, rozchylając ostrożnie firanki. Patrzył dobrą chwilę uważnie. Leżało dwu mężczyzn, śpiących niezaprzeczalnie głęboko. Uspokojony, że może na chwilę opuścić swój posterunek, udał się za konduktorem do sąsiedniego wozu, gdzie nań czekał kierownik.

— Chciałbym, z urzędu, oddać w pańskie ręce bardzo zagadkowy przypadek! — powiedział po zaznajomieniu się z detektywem. — Wczoraj wieczór wsiadła w Bostonie pewna dama z biletem do South Norwalk. Powiadomiona przez konduktora, że zbliżamy się do tej stacji, wstała. Za chwilę zawezwano mnie nagle, a dama łkając rozpacznie oświadczyła, że ją okradziono. Znikła torebka, z klejnotami, wartości 100 000 dolarów.

— Tak, dobrze pan mówi: oświadczyła. Jakiż dowód na to, że ją okradziono?

— Nic nie wiem o klejnotach, oczywiście, ale konduktor widział torebkę, której teraz niema, mimo, że przeszukano wszystko.

— Zatrzymaliśmy się w New-Haven i Bridgeporcie? Ile osób opuściło pociąg?

— Z wozów sypialnych nikt nie wysiadł.

— To znaczy, nie zauważyłeś pan nikogo.

— Nie. Tak jest jak mówię. Polecilem obejrzeć konduktorom przedziały i wiem, że wszyscy pasażerowie są na miejscach. Ale to mi nasuwa przypuszczenie: Jeśli nikt nie wysiadł, złodziej musi być jeszcze w pociągu, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— Zauważywszy stratę, dama ta postanowiła jechać do Nowego Jorku. Inni pasażerowie posiadają aż tam bilety, z wyjątkiem jednego, który wysiada w Stamford i ubiera się właśnie. Wysiadłszy, gotów zabrać klejnoty, ale cóż na to poradzę?

— Przedstaw mu pan całą rzecz, a jeśli jest niewinny, pozwoli się zrewidować. Jeśli nie pozwoli, poradzimy sobie dalej.

Zaraz wyszedł z przedziału mężczyzna o wyglądzie Francuza, wykwintnej postaci, a z kłopotany kierownik wyjaśnił mu o co idzie.

— Głupia to historia, proszę pana, ale pewni jesteśmy, że złodziej znajduje się jeszcze w pociągu, to też...

— Nie pozwalasz mi pan dlatego wysiąść widzę. Nacóż te ceregiele? Rzecz jest tak prosta, że uczciwy człowiek nie będzie robił trudności i powie tylko... zrewiduj mnie pan. Uczynisz pan to, aż wreszcie nadarzy się ktoś, kto będzie czuł obrazę. Ten jest właśnie złodziejem! Sądzę, że podzielasz pan zapatrywanie moje?

Te ostatnie słowa skierowane był do Barnes'a, który wpatrzył się przez chwilę w mówiącego, jak to czynił z nawyku, chcąc sobie wbić w pamięć twarz jakąś. Francuz wytrzymał to spojrzenie całkiem spokojnie.

— To samo powiedziałem kierownikowi pociągu, zanim pan wyszedł na korytarz! — odparł Barnes.

— Oczywiście. A teraz, za pozwoleniem pańskim rozbieram się i proszę o rewizję gruntowną, by na mnie kiedyś nie padło podejrzenie. Jest to sprawa honoru.

Chociaż kierownik pociągu nie miał nadziei znalezienia czegokolwiek, przeprowadził jak najszczegółowszą rewizję, a Francuz ubrał się znowu.

— Mam tylko dwie małe torebki podróżne, bez kufra, gdyż dwa dni tylko spędziłem w Bostonie.

Przyniesiono torebki, obszukano i niczego nie znaleziono.

— Teraz chyba mogę wyjść, szanowni panowie, gdyż właśnie przybyliśmy na miejsce mego przeznaczenia. Zabawię tu zaledwo parę godzin i wrócę do Nowego Jorku. Mieszkam w hotelu Hoffmana. Oto mój bilet wizytowy, na wypadek, gdyby o mnie miano pytać.

Barnes wziął bilet i obejrzał starannie.

— Cóż pan na to? — spytał kierownik.

— Niema potrzeby zajmować się nim dłużej. Nie mam śladu podejrzenia. Zresztą znajdziemy go w razie potrzeby. Zwie się Alfons Thuret. Teraz zwróćmy uwagę na innych podróżnych. Czy mógłbym porozmawiać z ową damą?

— Każdej chwili, nawet wbrew jej woli. Sprawa jest zbyt poważna.

— Dobrze! Proszę ją przysłać tutaj, bym słów kilka zamienił na osobności. Nie wspominaj pan, że jestem detektywem. Sam to uczynię.

Niedługo weszła rosla kobieta około lat czterdziestu pięciu. Usiadłszy, objęła Barnes'a bystrem, a kryjomem spojrzeniem, czego zdało się nie zauważyć.

— Kierownik pociągu przysłał mnie! — zaczęła rozmowę. — Cóż pan masz z tem wspólnego?

— Nic.

— Nic? Jakto?

— Jeśli mówię, że nic nie mam wspólnego z tą sprawą, znaczy to, że od pani samej wyłącznie zależy, czy odnajdę klejnoty, czy nie. Załatwiam tego rodzaju sprawy dla tej linii kolejowej. O ile obrabowany nie ma pretensji, zostawiam rzecz w spokoju. Czy życzy pani sobie, bym czynił poszukiwania za skradzionymi rzeczami?

— Chcę, oczywiście, odzyskać klejnoty moje, bardzo wartościowe, nie wiem jednak, czy powinnam oddać sprawę w ręce detektywa.

— Kto pani powiedział, że jestem detektywem?

— Czy może nie?

— Tak, jestem istotnie detektywem! — odparł po krótkim wahaniu. — Ale pracując w instytucie prywatnym mogę wykryć przestępcę bez budzenia rozgłosu. Sądzę, że to właśnie było powodem, iż miała pani wątpliwości co do oddania mi swej sprawy.

— Jesteś pan bystry. W samej rzeczy mam powody, rodzinne, by dbać, żeby rzecz nie stała się publiczną. Wynagrodzę hojnie trud pański, jeśli się uda odzyskać klejnoty dyskretnie.

— Dobrze. Podejmuję się. Musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań. Przedewszystkiem nazwisko i adres.

— Zowią się Róża Mitchel i mieszkam narazie East ulica 30, nr. Przybyłam niedawno z rodzinnego Nowego Orleanu i poszukuję stosownego mieszkania.

Barnes zapisał w notesie nazwisko i mieszkanie.

— Czy pani zamężna?

— Jestem wdową, męża straciłam przed kilku już laty.

— Wracajmy do klejnotów. Z jakiego powodu podróżuje pani z taką ilością biżuterij?

— Nie straciłam biżuterij, ale nieoprawne kamienie niezwyklej piękności, diamenty, rubiny i inne. Po śmierci męża, znaczny jego majątek poszedł na długi, pozostała tylko należność u pewnego wybitnego Włocha, który zmarł niedługo po mężu. Wykonawcy jego testamentu doręczyli mi te kamienie, jako pokrycie zobowiązania. Otrzymałam je niedawno dopiero w Bostonie i już przepadły. To straszne!

Załamala rozpacznie ręce, kilka łez zabłysło w jej oczach, a Barnes dumiał, z pozorów nie patrząc na nią.

— Jaka była wartość tych kamieni?

— Sto tysięcy dolarów.

— Jaką drogą doręczono je pani?

Pytanie było zupełnie proste i Barnes rzucił je całkiem niewinnie. Dlatego zdumiała go wrazenie tych słów. Dama zerwała się i przeistoczyła zupełnie.

— Cóż to ma do rzeczy? — rzekła, zaciskając usta. — Być może i tak zbyt wiele powiedziałam obcemu. Proszę przyjść do mnie, a podam wszystkie szczegóły, o ile zresztą zdecyduję się na pozostawienie sprawy w pańskim ręku. W razie przeciwnym wynagrodzę trud dotychczasowy. Żegnam pana.

Barnes odprowadził ją zamyślonemi oczyma, nie wstając.

— Łże, zdaje się, ta baba! — mruknął do siebie i wrócił do swego wagonu, gdzie właśnie rewidowano dwu panów, którzy to traktowali, jako żart niezrównany. Inni podróżni poddawali się także bez oporu badaniom. Tymczasem Barnes czekał w swym przedziale. Nakoniec cierpliwość jego została nagrodzona. Z coupee ósmego wyszedł młody, przystojny człowiek, lat około 26, kierując się do garderoby. Barnes poszedł za nim i wkroczył do oddziału dla palących. Zaledwo tam usiadł, nadszedł drugi młodzieniec, widocznie podróżny z przedziału ósmego, i jął się myć, podczas gdy kierownik pociągu opowiadał pierwszemu o kradzieży i prosił o zezwolenie na rewizję. Brakło już niewiele minut, by pociąg stanął w Nowym Jorku i obszukano wszystkich podróżnych, z wyjątkiem tych dwu, najwykwintniejszych niewątpliwie. To też wielkie było zdumienie funkcjonarjusza, gdy zauważył, iż młodzieniec, do którego mówił, objawia wielki niepokój.

— Bob, czy słyszysz? Popelniono wielką kradzież w pociągu! — rzekł chrypliwym tonem do towarzysza, który mając twarz pokrytą mydlinami, musiał się obetrzeć, zanim dał odpowiedź.

— No i cóż dalej? — powiedział zupełnie obojętnie.

— Ależ... ależ... kierownik pociągu chce mnie rewidować.

— Oczywiście. Czegóż się boisz? Wszakże nie jesteś złodziejem?

— Nie... ale...

— Tu niema żadnego: ale... Jeśli jesteś niewinny, pozwól się rewidować!

Potem jął przed zwierciadłem, śmiejąc się, wiązać starannie krawatę. Przyjaciel spojrzał nań w sposób, który zrozumieć mógł tylko Barnes, wiedzący dobrze, iż właśnie Bob zawarł zakład o popełnienie zbrodni i jasnym było podejrzenie przyjaciela jego.

— Panie kierowniku, — powiedział młodzieniec pierwszy — zachowanie moje mogło się panu wydać zrazu podejrzanym i tego wyjaśnić nie mogę. Jestem gotów do rewizji i zależy mi właśnie na zbadaniu jak najbardziej starannem.

Nastąpiła rewizja, bezskuteczna zresztą.

— Oto bilet mój. Nazwisko Artur Randolph, z firmy I. O. Randolph & Syn, a ten pan przyjaciel mój, za którego ręczę, to Robert Leroy Mitchel.

Słyszac nazwisko Mitchel, Barnes nastawił ucha, zdziwiony bardzo, bowiem to samo nazwisko podała mu okradziona.

— Dziękuję ci, Arturze! — powiedział Mitchel. — Ale mogę odpowiadać sam za siebie.

Po chwili wahania zwrócił się kierownik pociągu do Mitchela.

— Przykro mi bardzo, ale muszę prosić pana także o zezwolenie na rewizję. Jest to obowiązkiem moim.

— Drogi panie, — odparł — rozumiem, że jest to pańskim obowiązkiem i nie mam urazy osobiście, mimo to jednak odmawiam całkiem stanowczo.

— Odmawia pan? — wykrzyknęli wszyscy obecni i trudno było powiedzieć, kto uczuł największe zdziwienie. Pobladły Randolph oparł się o ścianę, a Barnes był podniecony.

— To wygląda na zeznanie, wobec tego, że wszyscy zezwolili na rewizję! — powiedział.

Odpowiedź Mitchela była bardziej jeszcze zdumiewająca, niż poprzednia odmowa.

— Ach tak? To zmienia rzecz! — powiedział. — Jeśli wszyscy podróżni podlegli rewizji i ja to uczynię.

Potem rozebrał się bez dalszych ceregieli. Ale, w ubraniu jego, ani też w przyniesionych torbach podróżnych obu panów niczego nie znaleziono. Kierownik pociągu spojrział bezradnie na detektywa, ale Barnes patrzył w okno.

— Jesteśmy na dworcu centralnym! — rzekł Mitchel. — Czy wolno wysiąść?

Kierownik pociągu skinął potakująco, a obaj przyjaciele oddalili się drzwiami na końcu wagonu.

Zaledwo znikli, zerwał się Barnes i dopadłszy drzwi przeciwnych, wyskoczył na peron, podczas gdy pociąg zajeżdżał powoli. Przystąpił żywo do człowieka, który zdawał się go oczekiwać, wyrzekł cicho słów kilka, poczem obaj wrócili do pociągu. Po chwili wyszła okradzona dama, a gdy opuściła budynek stacyjny, towarzysz Barnes'a szedł za nią krok w krok. Detektyw zamierzał także odejść, gdy nagle uczuł, że ktoś dotknął jego ramienia, a obróciwszy się, zobaczył Mitchela.

— Mr. Barnes, — powiedział tenże — radbym pomówić z panem. Czy zechcesz pan łaskawie spożyć ze mną śniadanie?

— Skąd wiesz pan, że jestem Barnes?

— Nie wiedziałem o tym wcale, ale wiem teraz! — odparł Mitchel z uśmiechem, wielce niemiłym dla detektywa, który czuł, że człowiek ten podszedł go. Tem silniejszą atoli powziął decyzję schwytania ptaszka. Nawykły do szybkiej orientacji, przyjął zaproszenie, będąc pewnym, że nic na tem nie straci, a dużo zyskać może. Poszli tedy obaj do jadalni, zajmując mały stolik.

— Mr. Barnes, — powiedział Mitchel, wydawszy kelnerowi polecenie — sądzę, że byłoby najlepiej porozumieć się zgóry.

— Nie rozumiem pana.

— Rozumie pan napewno. Przed chwilą zapytał pan, skąd znam jego nazwisko. Jak rzekłem, nie znałem go, chociaż miałem przeczucie. Czy mam powiedzieć z jakiego powodu?

— Oczywiście, o ile to panu sprawi przyjemność.

— Może postąpię nierozsądnie, zwracając uwagę pańską na pierwszy błąd w tej grze. Jesteś pan, oczywiście, przeciwnikiem moim, ponieważ jednak przyjaciel mój odszedł sam, nie mogę oprzeć się pokusie.

— Przepraszam na chwilę, panie Mitchel, nie jestem tak głupi, jak pan sądzi. Wiem co mi pan chcesz powiedzieć.

— Naprawdę? Byłby to dowód wielkiego sprytu.

— Chcesz mi pan powiedzieć, że byłem osłem dardanelskim, występując z uwagą, w chwili, gdyś pan odmówił zezwolenia na rewizję.

— O... nie mógłbym się wyrazić tak ordynarnie. Atoli sprawa była taka. Gdyś pan poszedł za Randolphem do garderoby, powziąłem podejrzenie i ruszyłem pańskim śladem. W chwili, gdy kierownik pociągu chciał mnie zrewidować, odmówiłem, oczywiście, pozornie, by widzieć jak to na pana oddziała, a skutek potwierdził przypuszczenie moje. Wiedząc już, że jesteś pan detektywem, nie miałem powodu sprzeciwiać się rewizji.

— Jak rzekłem już, zachowanie moje było osielskie, ale zbyt cnym jest pańskie ostrzeżenie, gdyż zaręczam, nie powtórzy się to już.

— Wiem, oczywiście, że podsłuchałeś pan naszą rozmowę nocną i podejrzewasz mnie o popełnienie tej kradzieży. Pojąć tylko nie mogę, dlaczego, dowiedziawszy się o zakładzie, nie śledziłeś mnie pan bez przerwy? — Barnes nie dał odpowiedzi, a Mitchel dodał: — Chciałbym prosić pana o pewną grzeczność...

— Mianowicie?

— Byś pan nie wspominał nikomu o moim zakładzie dokonania zbrodni. Nie mogę, naturalnie, zabronić panu, byś mnie śledził i pokonał, o ile zdołasz pan tego dokazać.

— O ile popełnisz pan zbrodnię, napewno udowodnię to i pokonam pana! — rzekł Barnes. — Zatajenie, że wiem o zakładzie tej nocy, leży może w interesie moim. Ale nie mogę przyrzec tego. Muszę zachować pełną swobodę działania, stosownie do okoliczności.

— Dobrze! Powiem panu, gdzie mieszkam i pozwalam odwiedzać się o każdej porze dnia i nocy. Mam pokoje w hotelu piątej avenue. A teraz pozwolę sobie zapytać, czy sądzisz pan, że dokonałem tej kradzieży?

— Odpowiem pytaniem: Czy dokonałeś pan tej kradzieży?

— Wyśmienicie! Widzę, że mam przeciwnika godnego szpady mojej... Tedy pozostawmy te dwa pytania bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZECI. BARNES ODKRYWA MORDERSTWO NIE ARTYSTYCZNE

Podczas gdy spożywali śniadanie, przeszedł mężczyzna jakiś przez salę. Nikt nie mógł przypuścić, by miał ku temu powód, gdyż nie patrzył na nikogo. Również trudno było domyśleć się, że go spostrzegł Barnes, siedzący doń tyłem. A jednak był to właśnie człowiek, który na jego rozkaz śledził Różę Mitchel, od chwili opuszczenia dworca.

Po śniadaniu opuścili obaj restaurację, a gdy doszli do schodów, ustąpił Barnes uprzecznie na bok, puszczając przodem towarzysza. Niewiadomo, czy łączył z tem jakiś zamiar. Ale Mitchel odmówił gestem i pierwszy jął wstępować schodami Barnes. Mitchel zyskał tyle, że mógł obserwować detektywa, ale nie zauważył nic. Człowiek, który przechodził przez salę restauracyjną, stał beczynnie u drzwi, a na widok Barnes'a, nie spostrzeżony przez Mitchela przeszedł wpoprzek ulicę i znikł w przeciwnym domu. Czy obaj detektywi zamienili ze sobą znak jakiś? Mimo chytrego postąpienia swego, Mitchel nie zauważył nic. Potem Barnes pożegnał się i odszedł, a Mitchel stojąc w bramie śledził go spojrzaniem, aż do stacji kolei nadziemnej, wtedy dopiero oglądając się ruszył ostrożnie, a żywo w kierunku piątej avenue. Gdyby spojrzął poza siebie, spostrzegłby pewnie, że ów nieznany człowiek wyszedł z domu przeciwnego i kroczył jego śladem.

W jakiejś pięć minut, zjawił się na widowni Barnes i wszedł do domu, gdzie chwilowo przebywał drugi detektyw. Obejrzał starannie bramę od wnętrza i znalazł to czego szukał. Lekko nakreślone ołówkiem słowa: East, ul 30 numer. ... Tylko tyle. Ale Barnes wiedział, że ślad Róży Mitchel śledzony był aż do końca, a adres zgadza się z podanym przez nią. Mógł ją tedy odnaleźć każdej chwili.

— Wilson jest bardzo przezorny! — pomyślał. — Dobrze się sprawił. Dostrzegł mój gest, zapisał adres i znikł zaraz. Nie dziwiłbym się, gdyby zdołał trzymać na oku tego wyrafinowanego draba. Ba... zbyt wysoko oceniam Mitchela. W każdym razie muszę chwilowo go zostawić Wilsonowi, gdyż zacny Pettingill absorbuje mnie jeszcze.

Wpół godziny później był w swem biurze i konferował z pomocnikami.

Tymczasem kroczył Wilson za Mitchelem przez Broadway, aż do teatru „Kasino”, gdzie śledzony kupił bilety wstępu. Następnie ruszył ku hotelowi w piątej avenue. Skinął głową portjerowi, wziął klucz i wszedł na schody, widocznie tedy mieszkał tam. Wilson nie miał żadnych instrukcyj. Z ruchu głowy wstecz, jaki uczynił Barnes, wywnioskował, że ma śledzić idącego za nim mężczyznę. Uznał to za swój obowiązek, przed otrzymaniem nowych rozkazów.

Trudno jednak było strzec hotelu piątej avenue, który miał trzy wyjścia, jedno na Broadway, a dwa inne na ulicę dwudziestą trzecią i dwudziestą czwartą. Wilson pocieszał się myślą, że Mitchel go nie zauważył i że którąby bramą wyszedł, odda przedtem klucz portjerowi. To miał na uwadze. Nie minęło pół godziny, gdy klient jego zjawił się, oddał portjerowi klucz i wyszedł na Broadway. Dotarłszy do trzeciej avenue, wszedł schodami na przystanek kolei nadziemnej, a Wilson musiał iść za nim, chociaż nie był rad z tak bliskiego sąsiedztwa zwierzyny swojej. Wsiadł do jednego pociągu, Mitchel do pierwszego, Wilson do ostatniego wagonu. Przy ulicy czterdziestej drugiej wysiadł Mitchel i przekroczył most. Zamiast, jakby należało oczekiwać, czekać na połączenie z dworcem centralnym, prześliznął się przez tłum i wsiadł w pociąg idący ku miastu dolnemu. Wilsonowi udało się doścignąć go, ale uświadomił sobie, że tropiony zauważył coś, lub był wyjątkowo ostrożny. Ta sama gra została jeszcze kilka razy powtórzona, aż wkońcu Mitchel wsiadł przy ulicy czterdziestej drugiej w pociąg jadący na dworzec główny. Zachowanie jego było tedy tylko wynikiem ostrożności. Nie zauważył, że jest śledzony i ruszył teraz ku istotnemu celowi swemu. Wilson wszedł pierwszemi drzwiami wagonu i siedział spokojnie w kącie, zaś Mitchel minął go i wsiadł drzwiami przeciwnymi. Zaraz potem zatrzasnął konduktor drzwi i dał sygnał odjazdu. Mitchel zerwał się błyskawicznie i wyskoczył na peron, a pociąg uniósł przechytrzonego i osłupiałego Wilsona.

Był to cios dotkliwy dlań, bowiem zależało mu na dobrych stosunkach z szefem. Ale rozważywszy przeżycia ostatnich godzin, zrozumiał, że nie miał możliwości zapobieżenia ucieczce Mitchela, który czynił wszystko z rozmysłem, by ująć prześladowcy. Gdyby wiedział coś bliższego o ściganym, odgadłby może gdzie jest, zdołałby uprzedzić go i trafić ponownie na ślad. Teraz atoli znalazł się w zupełnym ciemku i mógł kląć tylko.

Nie mogąc zdać relacji, dokąd się udał Mitchel, spróbował przynajmniej stwierdzić kiedy wróci, a czas jego nieobecności dałby, jak sądził, Barnesowi cenną wskazówkę. Dlatego zajął ponownie stanowisko przed hotelem, zasięgnąwszy w biurze telefoniczną informację, że Barnes pojechał do Bostonu po Pettingilla. O siódmej, gdy cierpliwość Wilsona wyczerpała się, wpadło mu na myśl, że przecież Mitchel kupił bilety do teatru „Kasino”. Był to daleko lepszy punkt obserwacyjny, chociaż nie wiedział czy bilety opiewały na ten właśnie wieczór. Żywiąc tę nikłą nadzieję, pojechał na górną część miasta i stanął tak, że mógł widzieć wszystkich wchodzących. Dziesięć minut po ósmej doszedł do wniosku, że trud jego jest daremny, gdy nagle zajeżdżał pojazd — ku wielkiej uldze swojej zobaczył Mitchela, pomagającego wsiąść ubranej wykwintnie damie. Wilson przysposobił się na wszelki wypadek kupując bilet wstępu i wszedł za tą parą, zdecydowany nie spuścić już z oka swego klienta.

Gdy skończono operę, łatwo mu przyszło śledzić oboje, gdyż dama odmówiła jazdy powozem. Wilson zdumiał się widząc, że śledzona para znikła w tym samym domu czynszowym, do którego tropił Różę Mitchel. Uspokoilo go wielce, iż ma dwa ptaszki w jednym gołębniku i wyciągnął stąd wniosek, że istnieje pomiędzy nimi pewien związek. Uciekający Mitchel udał się prawdopodobnie do tego właśnie domu. Tak przynajmniej sądził sprytny wywiadowca.

Wilson czekał mniej więcej godzinę, gdy nagle usłyszał przeraźliwy krzyk. Nie mógł wymiarkować, czy dolatuje z domu obserwowanego, czy z któregoś obok, ale krzyk był niezaprzeczalnie kobiecy. Ten głos, rozdzierający ciszę nocy, był tak przeraźliwy, że nim wstrząsnął dreszcz.

W dziesięć minut potem, coś innego zwróciło jego uwagę. W oknie piątego piętra zagasło światło. Była to rzecz błaha, a zauważył to dlatego tylko, że w całym budynku, to jedno tylko okno było oświetlone. Podczas gdy rozważał sprawę, jakiś mężczyzna wyszedł szybko. Pewny, że to jego klient, przebiegł Wilson ulicę, zboczył skośnie na drugą stronę avenue, równoległą z tropionym. Ale dotarłszy do latarni, spostrzegł bystrem spojrzeniem, że nie jest to Mitchel.

Wrócił tedy na poprzednie stanowisko, lecz zaledwo uczynił kilka kroków, zobaczył naprzeciw siebie idącego z drugiego końca ulicy Mitchela. Wydając westchnienie ulgi, pozwolił mu przejść i trzymał go sprytnie na oku, aż do hotelu, gdzie Mitchel wziął klucz i wszedł na schody. Wilson uznał, że pościg jego na tę noc skończył się. Chcąc stwierdzić godzinę, dobił zegarka. Była dokładnie godzina pierwsza. W otwartej jeszcze czytelnicy hotelu sporządził relację i wysłał ją umyślnym posłańcem do biura Barnes'a. Potem wydało mu się, że ma prawo trochę odpocząć. Przez czas krótki tylko, gdyż świadomy swych obowiązków wiedział, że musi być nazajutrz na posterunku, aż do chwili otrzymania innych zleceń od szefa.

Barnes załatwił sprawę w Bostonie tak szybko, że zdołał jeszcze wrócić o północy do Nowego Jorku. Stracił tedy jeden dzień tylko i mógł teraz oddać się śledzeniu przypadku, który budził w nim nadzwyczajne zainteresowanie.

Przeczytawszy rano sprawozdanie Wilsona, jął targać, rozczarowany, wąsy. Trzy razy przebiegł oczyma pismo, potem potargał je w drobne kawałki i wyrzucił oknem, a wiatr uniósł strzępy.

O wpół do ósmej wszedł Barnes do domu przy ulicy trzydziestej i odczytał nazwiska umieszczone nad skrzynkami listowymi. Żadne nie wskazywało poszukiwanej osoby. Na mieszkaniu nr. 5 nie było biletu, a Barnes wspomniawszy relację Wilsona o zgaśnięciu światła na piątym piętrze, z czego wynikało, że było zamieszkane.

Chcąc tam dojść, uciekł się do podstępu, jakiego używają często włamywacze. Zszedł na dół i zadzwonił na pierwsze piętro. Drzwi otworzyły się bez szelestu. Wszedł schodami i jawiącej się służącej powiedział, że zadzwonił przez pomyłkę. Potem jął wstępować na piąte piętro. Zadzwonił do mieszkania. Mógł od razu zadzwonić w hallu na to piętro, ale nie chciał zdradzić w ten sposób swej bytności, by ktoś, mający w tem interes, nie oddalił się niepostrzeżenie.

Czekał kilka minut daremnie, a powtórne dzwonienie miało ten sam wynik. Nikt się nie zjawiał. Barnes pociśnął bez szelestu klamkę. Ku jego wielkiemu zdziwieniu drzwi ustąpiły. Wszedł, a drzwi zamknęły się za nim. Sądził zrazu, że wtargnął do pustego mieszkania, ale zaraz spostrzegł wkońcu kurytarza otwarte drzwi umeblowanego pokoju. Po

pewnem wahaniu, podszedł tam cicho — nie było nikogo. Wrócił ostrożnie do wchodu i przekręcił klucz w zamku, schował go w kieszeń i wszedł do pokoju. Był umeblowany gustownie. Okna wychodziły na ulicę, a pomiędzy nimi stało zgrabne biurko, otwarte, jakby go niedawno używano. Spozrzegł na niem lampę, której światło, jak opiewała relacja Wilsona zgasło przed kilku godzinami. W ścianie przeciwległej oknom widniały zamknięte dwuskrzydłowe drzwi suwakowe o szklanych, wzorzystych szybach, wiodące do pokoju przyległego. Przyłożywszy oko do miejsca przejrzystego w matowym wzorze, zobaczył Barnes kobietę, leżącą w łóżku. Zaskoczony tem, nie wiedział zrazu co czynić! Była to może Róża Mitchel, jak twierdziła, on atoli wdarł się do jej sypialni podczas snu, bez upoważnienia. Uważał ją, coprawda, za podejrzaną, wiedział jednak, że nie mając ważniejszych danych, mógł za to odpowiadać sądownie.

Podczas gdy tak stał pod drzwiami zadumany, spojrzął przypadkowo na podłogę. Oczy jego uwięziło coś, co mimo nawyku do okropności, wstrząsnęło nim dreszczem. Mały, czerwony strumyk przecisnąwszy się pod drzwiami, zastygł na cal od dywanu. Barnes schylił się niezwłocznie, umoczył palec i wykrzyknął cicho, a dech mu zapało:

— Stężała krew!

Wyprostowawszy się, zjrzał ponownie przez szyby. Leżąca w łóżku kobieta nie drgnęła nawet. Bez dalszego namysłu rozsunał podwoje. Starczyło jednego spojrzenia. Z zaciśniętych warg rzucił słowo: morderstwo i zaraz znikło wszelkie wahanie i cała niepewność w ruchach i czynach. Przekraczając ostrożnie wielką kałużę krwi plamiącej dywan, przystąpił do łóżka i rozpoznał ową damę, która została rzekomo okradzioną w pociągu z klejnotów. Możliwe ją było uważać za śpiącą, gdyby nie wyraz bólu, który zakrzepł na jej twarzy, wraz ze śmiercią. Rodzaj morderstwa był zarówno prosty, jak okrutny. Podczas snu zarżnięto ją, czego dowód stanowiło to, że była tylko w samej koszuli. Barnes zauważył w pierwszej zaraz chwili fakt zagadkowy, że kałuża krwi w pobliżu drzwi oddalona była od łóżka o całe sześć stóp, tutaj zaś widniała druga, powstała z krwi, ściekającej po pościeli. Obie nie były ze sobą połączone.

— Jestem oto pierwszy na miejscu — pomyślał Barnes — i nie dopuszczę intruzów, którzyby sprawili zamieszanie, zanim wszystkiego nie zobaczę i nie zbadam należycie.

Pokój był właściwie obszerną, połączoną z gabinetem mieszkalnym alkową, która mogła przedtem służyć za jadalnię. Jedyne okno wychodziło na szyb świetlny, a w rogu mieścił się pięknie rzeźbiony kominek. Barnes rozsunał firanki gabinetu, by wpuścić więcej światła, a gdy się rozejrzał, wpadły mu w oczy dwie rzeczy. Na umywalni stała miednica do połowy napełniona wodą, której kolor świadczył, że morderca zmył ślady krwi. Na kominku widniała kupka popiołu.

— Łajdak spalił rzeczy dowodowe i z zimną krwią obmył się przed odejściem. A prawda, wszakże Mitchel oświadczył, że byłby zmył krew z pyska psa i dywanu, póki świeża. W tym wypadku, kałuża krwi była dlań zbyt wielka, ale sam się umył. Czyż można sobie wyobrazić człowieka, który zamierzając zbrodnię taką, założył się, że nie zostanie odkryty? Ba... to niemożliwe zgola!

Tak rozmyślał Barnes, studiując stan rzeczy. Zaczął od badania sukien i odzieży zamordowanej, leżącej na krześle. W kieszeniach nie znalazł nic. Zauważył tylko, że ze spodnicy wycięto kawałek materji. To samo było z innymi częściami garderoby. Błyskawicznie przyszła mu myśl. Przystąpiwszy do łóżka, jął szukać znaku na koszuli, nie mogąc zaś znaleźć, obrócił zwłoki i zobaczył, że na plecach wycięto z płótna znak.

— To tłumaczy ślad krwi przy drzwiach! — mruknął. — Wyniósł ją z łóżka bliżej światła, by łatwiej znaleźć i wyciąć znak. Potem zawłókł zwłoki zpowrotem, by nie być zmuszonym, przechodzić przez nie, manipulując w pokoju. Jest to drab o zimnej krwi! Ale wynika stąd rzecz ważna, mianowicie nie zwała się ona Róża Mitchel. Inaczej nie istniałaby potrzeba wycinania monogramu, zwłaszcza że nazwisko to znało dużo osób.

Barnes zebrał starannie na gazetę popiół znaleziony w kominku i zaniósł do okna gabinetu. Badanie wykazało, że morderca spalił wycinki odzieży z monogramami, a także pewną ilość listów. Dokonał tego bardzo starannie, tak że zostało tylko parę guzików na strzępku materji i brzegi kopert. Barnes rzucił z niechęcią popiół w kominek i zwrócił się do biurka. Ale mimo przeszukania wszystkich szuflad i szczelin nie znalazł nic, prócz czystego papieru listowego, oraz kopert zwykłego formatu.

Obejrawszy się raz jeszcze po sypialni zamordowanej, spostrzegł kufer. Podniósłszy wieko, zauważył, że zawartość jego była porozrzucana dziko. Ktoś przeszukał go i wrzucił resztę bezładnie. Barnes zbadał sztukę po sztuce i stwierdził, że wszędzie powycinano znaki.

— Musiał istnieć ważny powód zatajenia nazwiska tej kobiety! — mruknął do siebie.

Chcąc włożyć zpowrotem jakąś część odzieży, posłyszał szelest i istotnie dobył z kieszeni złożony papier, wielce rozradowany, że znalazł coś na piśmie.

— Nakoniec jakiś ślad! — wykrzyknął, pobiegł do okna pokoju frontowego i przeczytał:

Spis kamieni:
Diament 15¹/₄ karatów.....15 000 dol.
Smaragd 15¹/₂.....15 000 „
Rubin 14³/₄ kar.....20 000 „
Szafir 10 kar.....5 000 „
Perła (gruszka) biała.....15 000 „
Perła (gruszka) czarna.....10 000 „
Perła (jajo) biała.....5 000 „
Perła (jajo) czarna.....5 000 „
Diament kanaryjski.....5 000 „
Topaz 200 kar.....5 000 „
Razem.....100 000 dol.

Te dziesięć kamieni są egzemplarzami doskonałymi w swoim rodzaju. Cztery pierwsze szlifowano jednakowo. Perły gruszkowe mają mniej więcej tę samą wielkość, diament kanaryjski jest podłużny, a topaz niezrównanej piękności.

Cały zbiór zawarty jest w puzderku ze skóry juchtowej, sześć cali długości i cztery szerokości, wyłożonej atlasem.

Każdy kamień spoczywa w zagłębieniu, przystosowanem do jego kształtu, i przyciśnięty jest złotą kłamarą. Puzderko nosi złożony napis „Mitchel” na rzemieniu obejmującym je.

Tyle tylko. Spis nie miał podpisu, czego Barnes żałował bardzo, ale czuł, że trzyma w ręku ważny dokument, który zdawał się potwierdzać twierdzenie zamordowanej, że jej skradziono znaczną ilość nieoprawnych kamieni. Cenny był też tak dokładny opis klejnotów. Włożył ostrożnie papier do portfela i wrócił do zwłok.

Bliższe badanie rany na szyi doprowadziło go do wniosku, że morderca użył zwykłego szczyryka. Rana nie była głęboka, ani też długa. Przecięto tylko tętnicę główną. Było to dowodem, że zamordowaną napadnięto we śnie, powstało przeto pytanie, czy morderca posiadał sposób wejścia do mieszkania niepostrzeżenie. Miał widocznie klucz, albo został przez kogoś wpuszczony.

Barnes zadrżał, gdy mu przyszło na myśl, że Wilson widział, na krótki czas przed krzykiem Mitchela, wchodzącego do tego domu, który niebawem opuścił. Czy z tą właśnie kobietą był w teatrze? A jeśli tak, z jakiegoż powodu tak prędko wróciła do siebie i zasnęła? Te okoliczności musiały zostać należycie wyjaśnione.

Podczas gdy Barnes dumiał nad tem, wędrujące po pokoju, przykuł przedmiot lśniący, który leżał obok kufra, rozbłyśły w promieniu słońca. Patrzył nań przez chwilę prawie bezmyślnie, potem podniósł bez wielkiego zainteresowania. Ale przyjrawszy się lepiej, rozpromieniał triumfem. Trzymał w palcach guzik, sporządzony z pięknej kamei, wyobrażającej profil kobiety z podpisem: Julia.

ROZDZIAŁ CZWARTY. DIAMENT RYSUJE DIAMENT

Znalazłszy guzik, opuścił Barnes co prędzej mieszkanie zamordowanej i pospieszył do hotelu w piątej avenue. W hallu zastał Wilsona, który go zawiadomił, że Mitchel nie zszedł jeszcze. Uszczęśliwił podwładnego kilku słowami uznania dla wczorajszej jego działalności, ale wspaniałomyślność była łatwą, gdyż miał guzik w kieszeni. Uśmiechał się, myśląc o pyszałku, który bufonował, że go kara minie, a zostawił ślad tak zdradliwy, jak najpospolitszy zbrodniarz, czyli był słabym, zwykłym człowiekiem. Na zewnątrz atoli nic

nie zdradzało podniecenia Barnesa. Spytał spokojnie o pana Mitchela i posłał swój bilet wizytowy, jak zwykły gość. W kilka minut potem poproszono go na górę.

Mieszkanie Mitchela, złożone z dwu pokoi, położone było od strony ulicy dwudziestej trzeciej. Urządzenie gabinetu, do którego Barnes wszedł, było tak bogate, że detektyw zadał sobie bezwiednie pytanie, czy mogła w ten sposób wyglądać jaskinia zbrodniarza. Oczywiście nie, o ile zresztą nie istniał tajemny powód, czyniący mordercą człowieka, zaliczającego się do sfer najwyższych.

Wedle doświadczeń Barnesa powodem tym musiała być kobieta, ale dotąd, prócz zamordowanej, nie wyłoniła się w całej sprawie żadna. Wszystko to przelatywało przez głowę detektywa, który badał szybkim spojrzeniem otoczenie. Nagle usłyszał z drugiego pokoju:

— Panie Barnes, proszę wejść. Między nami ceregiele są zbyteczne.

Barnes wszedł do przyległej sypialni i zauważył niezwłocznie, że była urządzona równie bogato i wystawnie jak gabinet. Przed zwierciadłem stał Mitchel jeszcze w szlafroku i golił się.

— Bardzo przepraszam za natręctwo — rzekł Barnes — ale pan sam upoważnił mnie do zjawiania się w każdej porze...

— To ja, nie pan, winienem przeprosić za przyjęcie tego rodzaju. Ale muszę skończyć golenie, gdyż niesposób rozmawiać z twarzą w połowie namydloną.

— Oczywiście. Proszę się nie spieszyć. Mam czas i poczekam.

— Dziękuję. Racz pan usiąść. Zdaniem pańskim, jak myślę, ta pora dnia nie nadaje się wcale do ubierania, ale wczoraj wróciłem późno.

— Zapewne z klubu? — spytał Barnes, chcąc spróbować, czy Mitchel skłamię. Ale zawiódł się.

— Nie! — odrzekł. — Byłem w teatrze „Kasino”, gdzie się umówił z pewną osobą i chciałem dotrzymać słowa.

— Z pewnym panem?

— Pytanie pańskie ma ton ciekawości. Ale nie był to pan, jeno pewna dama. Portret jej mieści się tam, na sztaludze.

Barnes ujrzał istotnie olejny portret głowy kobiecej, niezwyklej piękności. Mitchel przyznał, że był z ową damą w teatrze, a Wilson twierdził, iż wrócili razem do domu, gdzie obecnie leżała zamordowana. Był to fakt znamieny. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieszkała tam przyjaciółka Mitchela i dzięki niej dostał się do wnętrza. Niewiadomo, czy wiedział, że mieszka tam także ta druga osoba i czy wkroczył do jej pokojów, opuściwszy przyjaciółkę swoją. Barnes dumał nad tem, a oczy jego biegały po pokoju. Nagle spostrzegł leżącą na łóżku kamizelkę, o guzikach podobnych do tego, który miał w kieszeni. Ostrożnie sięgnął, ale zaledwie palce jego dotknęły przedmiotu, rzekł Mitchel, zaprzestając golenia, a nie obracając się:

— Mr. Barnes, w tej kamizelce niema pieniędzy.

— Cóż to znaczy? — odparł gniewnie i cofnął rękę.

Mitchel pomilczał przez chwilę, uczynił kilka pociągnięć brzytwą, potem zaś, obróciwszy się spojrział w twarz detektywa.

— Zapomniał pan, że stoję przed zwierciadłem. To tylko chciałem powiedzieć.

— W słowach pańskich była wzmianka, jakoby miał kłaść.

— Tak? Przykro mi, ale na przyszłość racz pan zaniechać poruszeń tego rodzaju, o ile jesteś tak wrażliwy. Zaprosiwszy pana do sypialni, nie spodziewałem się przeszukiwania odzieży za plecami.

— Pilnuj się pan, jestem detektywem. Jeśli wyciągałem rękę ku kamizelce pańskiej, nie działałem w zamiarze karygodnym. Wiesz pan o tem dobrze.

— Wiem, oczywiście, a wiem także doskonale, jaki był zamiar pański. Pocóż się tak zaraz gniewać? Przyznaję, nie powinienem był użyć tych słów, ale prawdę mówiąc, ogarnęło mnie podrażnienie.

— Nie rozumiem.

— Uczulem się dotkniętym, że mnie pan traktuje, jak zwykłego zbrodniarza. Upokorzyło mnie, iż przyszedłszy tutaj, pozwalasz sobie pan przetrząsać wszystko pod nosem moim. Gdyby nie to, że stałem przed lustrem, nie obróciłbym się do pana tyłem. Zamiarem pańskim było obejrzeć guziki kamizelki mojej.

Oslupiały Barnes nie dał poznać wrażenia, jakie na nim uczyniły te słowa.

— Wie pan przecież, że słyszałem rozmowę pańską w wagonie, gdzie była wzmianka o pięciu szczególnych guzikach garnitur.

— Przepraszam, mówiłem o sześciu guzikach, nie o pięciu!

Znowu nie udało się Barnesowi wciągnąć Mitchela w pułapkę. Rozmyślnie wymienił pięć guzików, w nadziei, że wykorzysta tę pomyłkę, potwierdzając, że jest ich pięć, by nie być zmuszonym, wyjaśniać braku szóstego, który Barnes, jak mu się wydawało, miał w kieszeni.

— A prawda! Mówił pan o sześciu. Teraz przypomniałem sobie! — potwierdził. — Przyzna pan, że ciekawość moja zobaczenia ich była uzasadniona... oczywiście, radbym je móc rozpoznać w danym razie.

— Zamiar to wielce chwalebny. Drogi panie! Powiedziałem, że możesz mnie pan odwiedzać każdej chwili i pytać o wszystko. Czemuż nie poprosiłeś pan, bym pokazał guziki?

— Byłoby to istotnie lepsze. Proszę niniejszem.

— Zechciej pan tedy obejrzeć!

Barnes chwycił kamizelkę i zdumiony ujrzał sześć guzików, trzy z profilem Julji, a trzy Romea. Zadowolniło go to badanie, gdyż guziki były najzupełniej podobne do schowanego w kieszeni. Lecz człowiek, tak niezmiernie przezorny, mógł skłamać, twierdząc, że garnitur składa się z sześciu guzików, gdy w rzeczywistości było ich siedm. Uznał, że trzeba zadać parę pytań o guziki.

— Są prześliczne i jedyne może w swym rodzaju. Nie słyszałem dotąd, by kamei używano za guziki. Wspomniałeś pan, że zostały wykonane specjalnie dla pana.

— Tak jest, wykonano je dla mnie i jest to niezwykła próba cięcia kamienia. Ale kamee są mniej rzadkie, niż pan sądzi, chociaż noszą je zazwyczaj kobiety. Był to istotnie kaprys pewnej damy, któremu zawdzięczają istnienie swoje. Ja sam nie byłbym nigdy...

— Na miłość boską! — wykrzyknął Barnes. — Te profile Romea są pańskimi portretami i posiadają wielkie podobieństwo.

— Ach, zbadaleś to pan, widzę!

— Tak, a profile Julji są kopjami tego portretu.

Barnesa ogarnął niepokój, gdyż jeśli guziki były portretami, a ten, który miał w kieszeni, był także portretem damy na sztaludze, tedy istniał pomiędzy nimi związek.

— Jest pan niespokojny, panie Barnes! — rzekł Mitchel, patrząc bystro na detektywa. — Cóż się stało?

— Nie jestem wcale niespokojny.

— O tak! Wzburzył pana widok tych guzików. A teraz proszę mi wyjawić powód, dla którego przyszedłeś pan do mnie dzisiaj?

— Mr. Mitchel! Proszę mi przedtem odpowiedzieć na jedno pytanie. Ale ostrzegam, że trzeba to rozważyć należycie. Ile guzików sporządzono do garnitur?

— Siedem! — powiedział Mitchel tak szybko, że zdumiony Barnes powtórzył:

— Siedem? Wszakże powiedziałeś pan przed chwilą, że sześć?

— Wiem dobrze, co powiedziałem i nie zapominam nigdy twierdzeń moich. Powiedziałem, że garnitur składa się z sześciu guzików. Ponieważ pan teraz pytasz, ile sporządzono pierwotnie, odpowiadam: siedem. Czy to jasne?

— Tedy jeden zginął?

— Nie! Wiem gdzie jest.

— Cóż tedy znaczy, że garnitur składa się tylko z sześciu?

— Proszę przebaczyć Mr. Barnes, że odmówię na to odpowiedzi. Dałem już kilka odpowiedzi, ale nie wiem dotąd, czemu mam zawdzięczać dzisiejszą wizytę pańską?

— Zaraz powiem! — odparł detektyw, wygrywając, jak mu się wydawało, atuty. — Zbadalem miejsce, gdzie popełniono wielką zbrodnię i znalazłem siódmy guzik.

Nie mógł przypuszczać, że tak doświadczony i kuty na cztery nogi aktor, zadrży ze strachu i zachowa się, jak zwyczajny zbrodniarz. Atoli Mitchela zainteresował ten fakt, gdyż wstawszy przystąpił do Barnesa.

— Czy masz go pan może przy sobie? Radbym zobaczyć.

Barnes zawahał się na chwilę, w obawie, że straci guzik, dając go w ręce Mitchela, zaraz jednak spełnił jego życzenie.

Mitchel obejrzał przedmiot uważnie z miną znawcy, potem rzucił swawolnie w powietrze i schwytał.

— Mr. Barnes, — rzekł — coby to było, gdybym nie oddał panu tego guzika?

— Użyłbym natenczas siły, by go odzyskać.

— Doskonale! Byłoby to przedstawienie teatralne dla uciechy galerji. Ale w życiu normalnem sprawy mają przebieg inny. Oddaję panu poprostu guzik! — uczynił to z ukłonem. — Nie zalicza się on wcale do garnituru mego.

— Nie zalicza się do pańskiego garnituru? — powtórzył Barnes osłupiały.

— Nie. Przykro mi, że muszę pana znowu rozczarować, ale tak jest istotnie. Jak powiedziałem, garnitur składał się pierwotnie z siedmiu sztuk, ale na ostatnim był wizerunek Szekspira. Przyjaciółka moja nosi go jako broszkę.

— W jakiż atoli sposób objaśni pan, że guzik, który posiadam, jest portretem przyjaciółki pańskiej i odpowiada w zupełności kameom na kamizelce.

— Drogi panie Barnes, nie objaśnię tego wcale, nie mam obowiązku, a objaśnienie jest pańską rzeczą.

— Cóżbyś pan powiedział w przypadku, gdybym powziął postanowienie aresztowania pana niezwłocznie? Sędziowie przysięgli zadecydowaliby, czy guzik ten stanowi część garnituru, czy nie.

— Oczywiście, byłoby mi to bardzo niewygodne, ale każdy jest codziennie narażony na aresztowanie przez niezręcznego detektywa... proszę się nie gniewać, nie mam pana na myśli, gdyż znany rozum pański nie dopuści tego.

— Z czego pan to wnosi?

— Po pierwsze, wiesz pan doskonale, że nie ucieknę, powtóre zaś nie przyniosłoby to panu żadnej korzyści, gdyż mogę bardzo łatwo udowodnić wszystko co powiedziałem. Poza tem jesteś pan wewnątrznie pewny, że nie kłamię.

— Wobec tego proszę tylko o łaskawe pokazanie mi owej broszki z głową Szekspira! — rzekł Barnes, wstając.

— Jest to żądanie zbyt daleko posunięte, ale spełnię je, lecz pod pewnym warunkiem i proszę się przedtem dobrze namyśleć! Przed zrobieniem zakładu nie uświadomiłem sobie, że mogę wciągnąć w sprawę nazwisko kobiety, którą kocham nad wszystko. Posiada ona siódmy guzik i nosi go stale. Zobaczenie go nie będzie dla pana żadnym zyskiem, gdyż da ono tylko potwierdzenie słów, w które pan już i tak wierzysz. Jeśli atoli otrzymam przyrzeczenie, że nie będzie inkomodowana w tej sprawie, decyduję się zaprowadzić tam pana, a sam z jej ust usłyszysz historję tych guzików.

— Mogę to panu przyrzec śmiało, gdyż nie mam zgoła zamiaru inkomodowania kobiety.

— Dobrze tedy. Spotkamy się w południe w hallu i zaprowadzę pana do mieszkania tej damy. Teraz atoli, przepraszam bardzo, ale muszę się ubrać.

ROZDZIAŁ PIĄTY. SIÓDMY GUZIK

Na drugim piętrze domu ulicy trzydziestej, tak ważnej dla naszego opowiadania, mieszkała Mrs. Remsen bogata wdowa z pierwszych sfer towarzyskich, wraz z córkami Emilją i Dorą.

Mrs. Remsen prowadziła dom otwarty, odgrywając wybitną rolę w towarzystwie i obchodach dobroczynnych.

Starsza córka, Emilja, lat dwudziestu sześciu, budziła wszędzie podziw. Wysmukła, o ruchach królewskich, niosła powabnie uroczą głowę na wspaniałych ramionach. Rysy niezbyt regularne pociągały uduchowionym wyrazem, tak że zapominało się o niedokładności rysunku.

Zaręczyny jej z Mitchelem wywołały niezwykle wrażenie w ich sferze, tem więcej, że nastąpiły zaraz w miesiąc po poznaniu.

Mitchel zaliczał się także do najlepszego towarzystwa, ale był tu postacią świeżą i to sprawiło niespodziankę. Pytano kto to, a nikt nie umiał dokładnie powiedzieć. Przybył ze stanów południowych i to właśnie olśniło oczy tych, co chcieli spojrzeć w głąb.

Mrs. Remsen podniosła zrazu protest na wiadomość o zaręczynach córki, ale Emilja posiadała tak silną wolę, że trudno było, lub zgoła niemożliwe walczyć z nią.

Siedemnastoletnia Dora stanowiła przeciwieństwo zupełne. Była prosta, miła, podatna na wrażenia, piękna, kochała szczerze matkę, a ubóstwiała wprost siostrę, której nadała miano „królowej.”

Rankiem tego dnia, kiedy Barnes złożył tak wczesną wizytę Mitchelowi, siedziały siostry w bogato urządzonym salonie.

— Czy wiesz, królowo, o czym myślałam poważnie wczoraj?

— Poważnie? Ty, to niemożliwe — odparła Emilja, gładząc piękny policzek dziewczęcia. — Mała szelmo, poważną być nie możesz, mimo największego wysiłku.

— Tak sądzisz? Słuchaj, poproszę Boba...

— Boba?

— To znaczy, pana Mitchela... Powiedziałałam mu wczoraj, że go będę odtąd zwała Bobem, a on pocałował mnie, rzekł: Zgoda!

— Bezwstydna dziewczyno! Pocałował cię, a to mi się podoba...

— I mnie także bardzo się spodobało, ale nie bądź gniewna, bo wiesz, że to, co Bob mówi, jest prawem. Czujesz przed nim strach taki, jak... powiedzmy... inni mężczyźni przed tobą! Ale chciałam ci powiedzieć, że Bob zabierze mnie do teatru, gdy pójdziecie tam znowu razem. Cóż ty na to?

— Jakto? Myśl znakomita. Kochana siostrzyczko, zawsze jestem rada zrobić ci przyjemność.

— Kochana, śliczna królowo moja! — wykrzyknęła Dora i skoczywszy jej na kolana, jęła okrywać twarz pocałunkami. Gdy napad minął, spytała nieśmiało:

— Czy mogę coś wyznać, królowo?

— Cóż takiego, dziecko?

— Zaprosiłam pewnego pana na wizytę! — odparła Dora.

— Tylko tyle? Cóż to za potwór? Gdzieś go poznała?

— Spotykałam go nieraz w różnych domach na herbacie popołudniowej, a ostatnio zapytał, czy może przyjść. Pozwoliłam, wiedząc, że będziesz. Czy to może bardzo niewłaściwe?

— Bardzo właściwe nie! Ale ponieważ go spotykałaś w kilku znajomych domach, nie jest tak źle. Jakże się nazywa?

— Alfons Thaurer.

— Francuz?

— Tak, ale ma doskonały akcent angielski, francuszczyzny wcale niemal nie słycać.

— Nie lubię Francuzów wogóle. Jest to niemądry przesąd, oczywiście, ale ile razy spotkam któregoś, przychodzi mi do głowy, że jest to może awanturnik. Słodkie ugrzecznienie ich przypomina koty, gotowe lada chwile pokazać pazury. Ale może ten twój Francuz nie przybędzie, a wówczas...

— Przybędzie napewno, popołudniu... Dlatego nawet jestem zdenerwowana, z obawy żeś gotowa wyjść...

— O nie, zostanę dla ochrony twojej. Poza to Bob przybędzie lada chwila, gdyż przyrzekł, iż się zjawi koło południa, a właśnie minęła dwunasta. Ktoś dzwoni... może to on właśnie?

Za chwilę wszedł Mitchel, skłonił się, pochylił, pocałował Emilję w czoło i szepnął:

— Królowo moja! — potem zaś dodał głośno: — Emiljo, pozwoliłem sobie zaprosić tu jednego z przyjaciół moich. Nie masz, sądzę, nic przeciw temu?

— Oczywiście, Roy! — rzekła, opuszczając pierwszą sylabę imienia Leroy, by go móc zwać „roy”, czyli królem, niepostrzeżenie dla wszystkich.

Natychmiast niemal, rozbrzmiał dzwonek i wprowadzono Barnesa. Mitchel przedstawił go obu pannom, potem zwrócił się do Dory, by detektyw mógł swobodnie rozmawiać z Emilją. Po chwili podeszli oboje do okna, a Barnes skorzystał ze sposobności.

— Przepraszam bardzo, miss Remsen, że obserwuję tak pilnie wspaniałą broszkę pani, ale jestem zbieraczem i sądzę, że mnie to wytłumaczy. Dzisiaj nie docenia się należycie kamei, mimo że cięcie takiego przedmiotu wymaga wielkiej zręczności.

— Jestem tego samego co pan zdania, panie Barnes, i nie mam wcale za złe, że pan podziwiasz broszkę moją.

Rzekłszy to, odpięła kameę i podała mu. Była zupełnie podobna do guzików Mitchela, tylko miała oprawę z brylantów i ozdobiona profilem Szekspira.

— Zdziwi pana, zapewne, że pierwotnie był to zwykły guzik.
— Guzik, możliwe, ale nie zwykły! — odparł z dobrze udanym zdziwieniem.
— To prawda. Wiadomo panu może, iż jestem zaręczona z przyjacielem pańskim?
Barnes potwierdził, kłaniając się.
— Niedługo po zaręczynach naszych, odbyłam podróż do Europy. Tam napotkałam jubilera, który miał prześliczne kameje i to mnie skłoniło do zamówienia garnituru.
— Czy wszystkie były takie jak ta broszka?
— Podobne, ale nie takie same. Ta ma na sobie profil Szekspira, tamte zaś Romea i Julji.

Barnes powziął decyzję wymierzenia walnego ciosu. Dobywszy z kieszeni guzik, podał go Emilji.

— Tu oto jest kamea z głową Julji. Może panią zainteresuje?
— Istotnie, rzecz przedziwna! Kamea ta zalicza się do mego garnituru!
— Do garnituru pani? Czy może zginęła jedna? Ileż ich było?
— Łącznie z tym Szekspirem, siedm! Sześć innych... — urwała zarumieniona.
— Miss Remsen, jeśli pani twierdzi, że istotnie kamea ta zalicza się do garnituru pani, z wielką przyjemnością zwracam ją prawowitej właścicielce. Czy istotnie zgubiła ją pani?
— Czy zgubiłam? Nie!... To znaczy nie wiem... — zmieszana bardzo, oglądała przedmiot z wielką uwagą. Nagle jednak zmienił się zupełnie wyraz jej twarzy. — Omyliłam się — rzekła ze spokojem, który zdumiał Barnesa. — Ta kamea, chociaż bardzo podobna, nie pochodzi z mego pierwotnego garnituru.

Detektyw nie wiedział co sądzić. Czy uznała za niebezpieczne przyznać istnienie ósmego guzika, czy może niezmiernie sprytny Mitchel poprosił listownie, by powiedziała, że garnitur pierwotny składał się tylko z siedmiu sztuk? W niepewności będąc, wymierzył cios drugi.

— Miss Remsen, — rzekł — widziałem portret pani i spostrzegłem, że profil tego guzika jest jego wierną kopją. Cóż pani na to?

Emilja, zmieszana znowu, szukała słów, potem zaś odrzekła zupełnie spokojnie:

— Nie wiem... Może pan ma rację. To istotnie kopja portretu mego. Namalowany został ubiegłego lata, a ja udzieliłam twórcy pozwolenia, by go wystawił. O ile wiem fotografowano go i możliwe, że snycerz użył mego profilu za wzór.

Było to wielce pomysłowe, ale nie mogło przekonać Barnesa, który uznał za mało prawdopodobne, by twórca kamei użył portretu, nazwał klejnot Julją i zrobił zeń wkońcu guzik. Widocznym dlań było, że młoda kobieta wymyśliła jako tako możliwą odpowiedź na pytanie, które Mitchel usunął wprost. By atoli nie wzbudzać podejrzania, że nie wierzy, odparł spieszenie:

— To bardzo możliwe. I rzeczywiście, nie sposób było znaleźć lepszego pierwowzoru.

— Mr. Barnes — powiedziała — przed chwilą, w przekonaniu, że zgubiłam guzik, ofiarowałam mi pan swój. Nie powinnabym przyjmować podarków od człowieka, którego ma zaszczyt znać tak niedawno dopiero, ale ponieważ jesteś pan przyjacielem Mr. Mitchela, a nie radabym zostawiać w obcych rękach portretu swego, przyjmuję z wdzięcznością ofertę pańską.

Był to zwrot zgola niespodziany. Detektyw wręczył jej guzik, pewny odpowiedzi odmownej, gdyż przyjmując przyznałaby tem samem, że go zgubiła i że garnitur składał się z ośmiu sztuk. Teraz zaś wydało się, iż chce go pozbawić ważnego przedmiotu dowodowego.

Wahał się co czynić, gdy podszedł do nich Mitchel.

— Jakże sądzisz, Emiljo, wszak Mr. Barnes jest interesujący?

— Mr. Barnes jest niezmiernie miły i uprzejmy. Oto popatrz, jaki mi złożył podarek! — rzekłszy to, podała guzik narzeczonemu, a Barnes zauważył, jak mu się wydało, na twarzy Mitchela przelotny uśmiech triumfu.

— Dumny jestem z ciebie, Emiljo. Gdziekolwiek się pokażesz, zbierasz hołdy. Mr. Barnes odmówił mi tego guzika jeszcze dziś rano. Domyślasz się, dlaczego chciałem go mieć?

— Dlatego, że jest tu portret mój.

— Oczywiście. Mr. Barnes, pozwól pan, że i ja złożę podziękowanie. Zrozumiesz pan chyba, iż radziśmy posiadać ten piękny drobiazg.

Barnes zrozumiał dobrze. Wpadł tedy znowu, a nie mógł nic poradzić bez przykrego wystąpienia. Spojrzenie Mitchela przypomniało mu złożone przyrzeczenie. Przyszło mu na myśl, że był głupcem dając je i że wogóle przyszedł do tego domu. Ale nagle nastąpiło coś, co skierowało jego uwagę gdzieindziej. Służąca zaanonsowała:

— Mr. Alfons Thauret.

Detektyw przypomniał sobie zaraz nazwisko, wydrukowane na bilecie, który mu wręczył Francuz, nim wysiadł z pociągu w Stamford. Spojrzawszy bystro na Mitchela, zauważył wyraz niechęci. Czy mężczyźni ci znali się, a może też byli nawet sprzymierzeńcami?

— Mr. Mitchel, — rzekła Dora — przedstawiam pana Thaureta!

— O, mam zaszczyt znać już tego pana! — odrzekł i skłoniwszy się sztywno, podszedł do Emilji, jakby chciał przeszkodzić, by gościa przedstawiono także narzeczonej. Było to jednak niemożliwe i rozgniewało Mitchela. Emilja podała rękę Thauretowi i zapoznała go z Barnesem, który złożył tylko ukłon.

— Ach, Mr. Barnes — rzekł Francuz — cieszę się że pana spotykam znowu!

— Jakto? — wykrzyknęła zdziwiona Dora. — I pan zna Mr. Barnes'a?

— Któż nie zna Mr. Barnes'a, słynnego detektywa!

Mówił tonem przesadnie ugrzeczniwym, zwykłym u Francuzów, a mimo to miał Barnes wrażenie, iż z niewiadomego powodu pilno mu podkreślić jawnie jego stosunki z policją. Czyż chciał w ten sposób uniemożliwić dalsze bywanie u tych dam? Ale w takim razie nie powiodło mu się wyrzucić zamierzonego wpływu na Dorę.

— Co? Pan detektyw? — wykrzyknęła z zachwytem. — Wielki Barnes, czy tak?

— Istotnie, jestem detektywem, ale nie zasługuję na miano wielkiego.

— O tak, tak, jest pan wielki! Czytałam, w jak przedziwny sposób schwytaleś pan Pettingilla. Czy uda się panu także ująć owego mężczyznę, który okradł damę w pociągu?

— Skądże pani wie, że był to mężczyzna? — spytał ubawiony tą porywczością i rad tematowi rozmowy.

— O, napewno nie uczyniła tego kobieta! Żadna z kobiet nie zdołałaby tak chytrze ułożyć i przeprowadzić rzeczy.

— To bardzo zajmujące! — wmieszał się Thauret. — Mr. Barnes, przypomina pan sobie pewnie, że ja także byłem w tym pociągu i zrewidowano mnie pierwszego. Ten drab był naprawdę chytry... wszak prawda?

Mitchel, odszedłszy na bok, zagłębił się z pozoru w rozmowę z narzeczoną, ale Barnes pewny był, że nie traci słowa z tego o czym mówią. W warunkach zwyczajnych nie byłoby mu przyszło do głowy mówić o tak ważnym przypadku w obecności człowieka, podejrzanego rzeczywiście. Ale warunki nie były zwyczajne. Miał przed sobą dwu ludzi, będących w tajemniczym związku ze zbrodniarzem, czy zbrodniarzami, których poszukiwał. Jeden z nich, a może obaj byli winni i obojętność z jaką przybyli do domu, gdzie popełniono zbrodnię, świadczyła iż trzeba wielkiej zręczności, by ich ująć. To też detektyw zastosował metodę inną, śmiałą i oryginalną.

— Sądzę istotnie, że złodziej to człowiek chytry, — rzekł tak głośno, by go dosłyszał Mitchel — ale nie tak bardzo jak mu się zdaje.

— Jakto?

— Myśli, że mnie wprowadzi w błąd i że szukałem drogich kamieni, dając polecenie rewizji podróżnych. Tymczasem nie szukałem wcale tych kamieni, ale złodzieja.

— Jakże pan to uczyniłeś?

— Wydaje mi się może zarozumiałym, ale doszedłem do odkrycia osoby, obserwując zachowanie jego. Wiem, kto skradł kamienie!

Twierdzenie to było nader śmiałe, zwłaszcza, że Barnes nie wiedział nic jeszcze o złodzieju. Chciał istotnie zaobserwować wrażenie, jakie słowa te uczynią na obu panów, ale spotkał go zawód. Mitchel udał, że nie słyszy, a Francuz pozostał zupełnie spokojnym i wykrzyknął drwiąco:

— Brawo! Brawo! Jesteś pan większy od Lecoq'a. Czyste czary! Każesz pan przedfilować przed sobą podejrzanym i zaraz... cap... trzymasz zbrodniarza za kołnierz! Przedziwna metoda! Ale bądź pan łaskaw objaśnić, jak mógł ten zuch schować brylanty? Były to wszakże brylanty?

— Diamenty i inne drogie kamienie. Ale pozwalałam sobie zapytać, cobyś pan uczynił na miejscu złodzieja?

Cios trafił, gdyż przypuszczenie, że mógł być na miejscu złodzieja, nie sprawiło Francuzowi żadnej przyjemności.

— Wie pan, — odparł, odzyskując szybko spokój — dużo nad tem myślałem. Postąpiłbym naturalnie bardzo niezręcznie, ale coś mi wpadło do głowy.

— Sposób ukrycia klejnotów, tak by ich podczas rewizji nie znaleziono, albo umieszczenia ich w miejscu, z którego mógłbyś je pan zabrać?

— To właśnie sędzę. Może się mylę, atoli planik swój uważam za niezły. Dzienniki podały, że klejnoty są to nieoprawne kamienie. Otóż powciskałbym je w mydło umywalni. Nikt nie byłby ich tam szukał napewno, a nawet w razie znalezienia, nie padłoby na mnie podejrzenie. Potem zabrałbym mydło, wraz z klejnotami.

— Bardzo się pan przeliczył.

— Jakto?

— Pana zrewidowano pierwszego, ja zaś śledziłem, gdyś pan opuszczał dworzec. Wracając najbliższym pociągiem nowojorskim i szukać w wagonie zestawionym na tor boczny, gdzie go czyszczono, to rzecz bardzo trudna. A choćby i tak, nie dopiąłbyś pan celu swego, bowiem kazałem zabrać wszystkie mydła i dać świeże.

Uśmiech na ustach Mitchela był dowodem, że słucha, a ostrożność detektywa bawi go.

— Ano, widzi pan, — rzekł Francuz wzruszając ramionami — nie mam kwalifikacji na rzeźmieszka, a pozatem była jeszcze torebka, której nie mogłem przecież wcisnąć w mydło.

— Złodziej mógł ją wyrzucić oknem.

— Mr. Barnes, — rzekł Thuret, patrząc bystro i trochę niespokojnie — pamiętasz pan, widzę o wszystkim. Czy jednak zdaniem pańskim, złoczyńca ukrył klejnoty w pociągu?

— Ukrył je poza pociągiem! — powiedział Barnes szybko i spostrzegł z wielkim zadowoleniem, że obaj panowie drgnęli zlekka. Mitchel, sądząc widocznie, że pora przyłączyć się do tej gry, opuścił Emilję i podszedł do innych.

— Rozmawiacie panowie o kradzieży w pociągu?

— Tak! — wykrzyknęła Dora. — Jakże cudownie wykrył wszystko Mr. Barnes!

— Wykrył wszystko... naprawdę?

— Tak. Wie kto jest złodziejem i że ukrył klejnoty poza pociągiem.

— Przyznaję Mr. Barnes, że bardzo zręcznie wybadałeś pan to. Gdzież je miał zresztą ukryć, skoro cały pociąg i podróżnych zrewidowano?

Barnesa irytował zawsze sposób, w jaki Mitchel starał się obniżyć jego spryt, to też z pewnym gniewem zadał cios następny.

— Powiem panom jeszcze, gdzie mógł złoczyńca ukryć klejnoty w samym pociągu, a rewizja tego miejsca nie przyszłaby na myśl nikomu, mnie samemu nawet. Dama miała klejnoty w torebce ręcznej. Przypuśćmy, że złoczyńca wyrzucił torebkę oknem, zaś klejnoty włożył w kieszeń śpiącej. Nie widząc, po zbudzeniu, torebki, musiała sądzić, że znikły również klejnoty, a złodziej mógł je sobie zabrać po skończeniu rewizji.

— Mr. Barnes, — rzekł Mitchel — jest to zbyt zawile i wyszukane objaśnienie! W jakim sposobie mógł złodziej wejść w posiadanie kamieni?

Barnes pokładał wielką nadzieję w tej rewelacji, ale niepowodzenie jego było zupełne. Widać Mitchel i Thuret byli obaj niewinni, gdyż obaj uśmiechnęli się z niedowierzaniem.

— W jaki sposób? — rzekł. — Przez zamordowanie owej damy!

Ale cios chybił ponownie, żaden nie mrugnął nawet. Barnes był chwilowo pokonany, ale zgoła nie zniechęcony, gdyż pragnął zdobyć objaśnienie, dlaczego obaj drgnęli na wzmiankę o ukryciu klejnotów poza pociągiem.

Mitchel poklepał Barnesa poufale po ramieniu i ozwał się:

— Nie bierz pan sobie tego zbyt do serca. Upierając się przy jednej z hipotez, zatracisz pan napewno okazaną tyle razy zręczność. Sądzę, że sam mógłbym panu służyć czemś lepszym.

— Proszę mnie nie uważać za zupełnego głupca! Jeśli przypuszczenie moje wydaje się niesmaczne, nie wynika stąd jeszcze, by miało być jedynem. Detektyw musi rzecz ujmować z różnych punktów widzenia i założę się, że znam teorię pańską.

— Zgoda, przyjmuję zakład! Napiszę na kartce przypuszczenie moje, a jeśli byś pan odgadł, winien jestem dobrą kolacją.

Nakreśliwszy słów kilka, podał kartkę Dorze.

— Sądziś pan, że złodziej oddał poprostu torebkę pomocnikowi swemu na stacji umówionej?

— Brawo! — wykrzyknęła Dora. — Jesteś pan istotnie wielkim detektywem. To samo jest tutaj napisane. Zakład wygrany!

— Mr. Barnes, czy chcesz pan wygrać jeszcze jeden zakład? — rzekł Francuz, podkreślając każdą sylabę.

— Oczywiście! — odparł detektyw ostro.

— Zakładam się oto, że rozwikławszy kiedyś ten przypadek, dojdiesz pan do przekonania, iż żadne z tych przypuszczeń nie było słuszne.

— Nie mogę przyjąć tego zakładu, gdyż wiem doskonale, że nie wspomniano tu dotąd o metodzie prawdziwej złodzieja.

— Acha! Masz pan, widzę, jedną jeszcze hipotezę! — rzucił Thaurer szyderczo niemal.

— Tak jest i to prawdziwą! — odrzekł Barnes. — Ale wolę ją zachować dla siebie.

— Zupełna racja! — wmieszała się Emilja. — Wyznaję, że ani na chwilę nie przypuszczałam, by człowiek, jak pan ostrożny, miał w sposób nierozsądny odkrywać istotne zapatrywanie swoje.

— Nierozsądek bywa w pewnych chwilach najwyższą mądrością.

— Bardzo słusznie. Ale muszę z przykrością pożegnać panów. Idziemy dziś na bal, a kobiety potrzebują, wiadomo, sporo czasu, by się przysposobić do tego.

Taki miała zwyczaj, i nikt jej tego nie brał za złe. Panowie usłuchali poprostu i wyszli. Barnes rad był, że Mitchel i Thaurer udali się z nim jednocześnie. Miał pułapkę, przygotowaną dla Mitchela, a teraz chciał w nią zwabić oba ptaszki razem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. PUŁAPKA MR. BARNESA

Z treści opowiadania nie powinien czytelnik wyciągać wniosku, jakoby Barnes zatracił dawną zręczność. Przypadek, który trzymał w ręku, nie był mu jeszcze jasny, nic w tem jednak dziwnego, gdyż od kradzieży upłynęły dwa dni za ledwo, a w tym okresie czasu wyjeżdżał w innych sprawach z Nowego Jorku.

Po rozczarowaniu odnośnie do małej stosunkowo wartości guzika, zdecydował się na inną metodę, pokładając w niej wielką nadzieję. Widział już niejednego zbrodniarza, który tracił panowanie nad sobą, gdy go postawiono przed zamordowaną ofiarą. Na tem oparł plan swój.

Mitchel przekonał go, że guzik nie zaliczał się do pierwotnego garnituru, a co najmniej udowodnić tego nie było można. Atoli fakt, iż był na nim portret Julji, stanowił możliwość zamordowania przezeń Róży Mitchel, lub choćby wkroczenia do jej mieszkania. Mitchel wiedział o dokonaniem morderstwa, to też nie miało celu ciągnąć go na trzecie piętro dla konfrontacji ze zwłokami, zwłaszcza, że poznawszy ten zamiar, mógł się przysposobić na widok. Poleciał tedy znieść zwłoki do pustego pokoju w parterze, dostępnego z sieni. Złożono je na stole, tak że szeroko rozwarta rana widoczna była dla każdego kto wszedł. Lekarzy poproszono, by się wstrzymali z sekcją sądową, aż do powrotu detektywa.

— Łaskawi panowie! — rzekł stając w progu. — Poproszę o pewną grzeczność. Obaj byliście w pociągu, gdy popełniono kradzież. Radbym tedy każdemu z osobna zadać pytanie w łączności z tą sprawą. Czy mogę na to liczyć?

— Z przyjemnością! — rzekł Francuz.

— Powiedziałem już, — dodał Mitchel — że możesz mnie pan pytać o wszystko.

— Dobrze! Panie Mitchel, racz pan łaskawie zaczekać przez kilka minut. Niedługo to potrwa.

Mitchel skłonił się, a Barnes z Francuzem znikli w pokoju, gdzie leżały zwłoki, przystępując do stołu, dźwigającego ten straszny ciężar. Thaurer obejrzał zamordowaną bacznie, w milczeniu, a żaden mięsień twarzy jego nie drgnął wrazeniem. Barnes mimo to zachował milczenie, chcąc, by Francuz rzekł coś pierwszy. Mógł ze słów jego wyciągnąć może wniosek jakiś. Upłynęły dwie minuty, niby dwa wieki, poczem Francuz wprawił

detektywa w prawdziwe zdumienie. Spojrzał mu prosto w oczy i rzekł z najzupełniejszym spokojem:

— Skąd pan wiesz, że jestem lekarzem?

— Nie rozumiem! — odparł Barnes, istotnie nie wiedząc dokąd Thaurer zmierza.

— Mr. Barnes! Wprowadziłeś mnie pan do tego pokoju, mówiąc, że chcesz zadać pytanie. Na widok zwłok zrozumiałem odrazu, że był to pozór tylko. Milczałem, szukając powodu, dla którego zostałem tu wprowadzony. Pan także milczałeś. Nie mogę objaśnić sobie tego czem innym, jak tylko tem, że chcesz pan usłyszeć zdanie rzeczoznawcy. Nie wiem tylko, skąd panu wiadomo, że jestem lekarzem i pytam o to. Czy się wyrażam jasno?

— Bardzo jasno! — odparł detektyw chłodno i z wielkim rozczarowaniem. — Mogę tylko odpowiedzieć, iż nie wiedziałem, że pan jesteś lekarzem i wprowadziłem pana tu, by mu zadać pytanie.

— Naprawdę? Pytaj pan więc.

— Proszę mi powiedzieć, kim jest ta dama?

— Przecenia pan stanowczo bystrość moją. Nie widziałem w życiu tej kobiety. Czem jeszcze mogę służyć?

— Dziękuję!

— Tedy żegnam uprzejmie.

Złożywszy ukłon, Thaurer chciał odejść, ale detektyw, zdecydowany nie dopuścić do tajemnego porozumienia z Mitchele, wyprzedził go, otworzył sam drzwi i wypuścił, pilnie obserwując obu panów. Po sztywnym ukłonie opuścił Thaurer dom, a Mitchela wprowadził Barnes. Francuz nie odniósł wobec zwłok żadnego wrażenia, atoli z Mitchelem było co innego. Ledwo zobaczył co przed nim leży, wydając stłumiony okrzyk, przystąpił bliżej.

— Boże wielki! Cóż to znaczy, Mr. Barnes?

— Co? — rzekł detektyw spokojnie.

Patrzyli sobie w milczeniu przez chwilę w oczy, poczem Mitchel spuścił wzrok i wykrzyknął:

— Głupiec ze mnie!

I jął na nowo, ze zwykłym spokojem, oglądać zwłoki.

— Słyszałem, że masz mi pan zadać pytanie. Cóż to takiego?

— Kim jest ta kobieta?

— Raczej kim była? Była Różą Mitchel.

— Acha! Więc znałeś ją pan?

— Miałem obowiązek odpowiedzieć na jedno tylko pytanie i uczyniłem to.

— Przyznałeś się pan jednak do tej znajomości.

— Trudno to przyjdzie panu udowodnić.

— Tak pan sądzi? Mam świadków. Raccie panowie wejść.

Otwarto drzwi w ścianie przeciwległej i weszli dwaj lekarze.

— Cóż pan na to?

— Jestem ogromnie wdzięczny, gdyż mam teraz możliwość udowodnienia słów moich, ponieważ zdradziłeś się pan tak prędko, że sam nie jesteś.

Barnes zagryzł usta, a Mitchel zaś powiedział do lekarzy.

— Łaskawi panowie, bardzo się cieszę, żeście słyszeli, co tutaj zaszło. Być może, poproszę panów o zaświadczenie, iż Mr. Barnes pytał mnie tylko, kim jest ta kobieta. Poprawiając go, rzekłem, że była Różą Mitchel. Czy przedstawiłem rzecz należycie?

— Zupełnie! — rzekł jeden z lekarzy.

— Mr. Barnes twierdzi, że się przyznałem do znajomości z tą kobietą, ja twierdzę atoli, że nie przyznał nic, poza tem, że znam jej nazwisko, a to sprawa całkiem inna.

— Przyznałeś pan więcej niż to! — rzekł podrażniony detektyw. — Musisz pan o niej wiedzieć więcej prócz samego nazwiska, skoro tak łatwo przyszło panu rozpoznać zwłoki w pierwszej zaraz chwili.

— To racja! Musiałem znać jej rysy twarzy. Ale w ten sam sposób znam przecież rysy i nazwisko Liljan Russell, artystki dramatycznej. Gdybym np. rozpoznał jej zwłoki, czy świadczyłyby to o znajomości osobistej?

— No nie! Ale przyznasz pan chyba, że nie można znać w ten sam sposób tej osoby, jak się zna słynną artystkę.

— Skądże pan to wiesz?

— Czy była osobą słynną?

— To jest nowe pytanie i nie odpowiem, zwłaszcza przy świadkach. Ale jeśli pan chce towarzyszyć mi do mieszkania, spróbuję wyjaśnić, jak zdołałem rozpoznać te zwłoki, nie będąc z zamordowaną w stosunkach towarzyskich.

— Oczywiście, pójdę z panem, gdyż domagam się tego wyjaśnienia.

Wyszli obaj.

Milcząc dotarli do piątej avenue i poszli nią spory kawałek drogi. Mitchel dumiał, zda się, o swej sytuacji, a Barnes uznał, że lepiej nie spieszyć z wyjaśnieniem. Tymczasem przeszedł ponownie w myśli cały przebieg sprawy, w sposób mniej więcej taki:

— Dlaczego obaj mężczyźni drgnęli, gdym wspomniał, że klejnoty ukryte zostały poza pociągiem? Dlatego, że wiedzieli, iż tak było istotnie. Thaurer musiał wiedzieć, gdyż prawdopodobnie jest złodziejem. W takim razie Mitchel pomaga mu, albo widział, jak Francuz ukrył torebkę na jednej stacji. Czyżby Mitchel sam ukrył tę torebkę? Chyba niesposób, gdyż przez całą noc pilnowałem jego przedziału. Musiałbym zasnąć, ale to jest mało prawdopodobne. Wynika z tego, że trzeba przedewszystkiem wy badać, jakie ich obu łączą stosunki i czy są w przymierzu.

— A teraz w kwestji morderstwa. Dziwne to, że obaj mają środki dostania się do tego domu a także, iż przyjęli z taką obojętnością i niewiarą wzmiankę moją o możliwości zamordowania tej kobiety przez złodzieja, chcącego w ten sposób odebrać klejnoty. O ile Thaurer był mordercą, to zachowanie się jego przy zwłokach było wprost niesłychane. Przyznał, co prawda, że studjował medycynę. Na medykach nie czynią zwłoki żadnego wrażenia, a co więcej, jako medyk umiał łatwiej znaleźć tętnicę i przeciąć ją szczyrykiem. Chociaż, aby tego dokonać nie potrzeba specjalnych wiadomości lekarskich.

— Zachowanie Mitchela było bardziej jeszcze zagadkowe. Gdyby on zamordował, to na widok zwłok powinien był zachować spokój, bowiem znam jego niezmierną zdolność opanowywania uczuć swoich. Miast tego był wzburzony i podszedł do zwłok, chociaż morderców to przeraża, radziby uciekać. A mimo to podał zaraz nazwisko kobiety, zgodnie z tem, jakie sobie sama nadała. Jeśli podał owo nazwisko, jakizby miał cel, wycinając monogramy z bielizny i sukien w sposób tak staranny? Tak samo, dlaczego prawdziwe nazwisko zmarłej jest tak troskliwie tajone, o ile Róża Mitchel to falsyfikat? Muszę mu zadać kilka pytań tego rodzaju.

Barnes doszedł w rozmyślaniach do tego punktu, gdy Mitchel przerwał milczenie.

— Jesteśmy, zapewne, obaj ciekawi treści rozmyślań naszych i zaspokoję pańską ciekawość. Spróbowałem ująć rzecz czysto z pańskiego stanowiska, by odgadnąć, jakie wnioski wyciągnął pan z mego zachowania się przy zwłokach.

— O wnioskach mych nic powiedzieć nie mogę z tej prostej przyczyny, że tego nie uczynił dotąd! — odrzekł Barnes. — Z zasady nie wnioskuję zbyt pospiesznie, bowiem detektyw, zaplątany w jakieś przypuszczenie, bezwiednie ulega pokusie pracowania nad jej udowodnieniem. Mnie idzie o prawdę, przeto unikam przypuszczeń.

— Dobrze. Widzę, że trzeba mi będzie zmienić potrosze zapatrywanie na detektywów, bo chociaż naogół jest ono zupełną prawdą, stanowisz pan wyjątek.

— Pochlebstwa nie oddziałują na mnie. Sytuacja pańska jest w tej chwili bardzo niewyraźna i dobrzeby było powiedzieć mi, co umożliwiło panu rozpoznanie zamordowanej.

— Uczynię to. Damę ową widziałem raz tylko w życiu. Jestem w Nowym Jorku niespełna dwa lata dopiero, a zimy minionej zaręczyłem się z Miss Remsen. W miesiąc potem mniej więcej, otrzymałem list, podpisany „Róża Mitchel”, z zawiadomieniem, że autorka jego zna tajemnicę rodziny mojej, odsłonięcie której skłoni Miss Remsen do zerwania niezwłocznie zaręczyn. Wymieniła cenę za milczenie, dołączając fotografię, bym ją poznał, gdyż była tak bezczelna, że doniosła, iż sama przyjdzie po pieniądze. Tak się stało i odtąd nie widziałem jej.

— Czy może pan opowiedzieć tę udowodnić?

— Pokażę panu list i fotografię, jeśli chcesz iść ze mną do Lochów Bezpieczeństwa Garfielda.

— Chodźmy zaraz. A zapłaciłeś jej pan?

— Tak jest.

— Czyż panu nie przyszło na myśl, że jest to rzecz wielce niebezpieczna ulec wymuszeniu. Człowiek taki popada w niewolę szantażysty.

— To prawda. Popadłem w niewolę tej kobiety.

— Bardzo niebaczne zeznanie, z uwagi że ją zamordowano właśnie.

— Wiem o tem... Ale jesteśmy już na miejscu.

Weszli obaj do budynku, Mitchel kazał dać sobie klucz od swego trezoru. Nie brał go nigdy ze sobą, sądząc, że jest bezpieczniejszy. Zszedłszy w głąb głównej piwnicy, wyjął Mitchel ze skrytki żelazną szkatułkę, zaprowadził Barnesa do małego przyległego pokoju i dobywszy kilka małych paczek rozłożył je na stole. Pośród tych przedmiotów ujrzał zdumiony niesłychanie detektyw puzderko ze skóry juchtowej, spięte rzemykiem, na którym widniał złoconymi literami napis „Mitchel”. Czy były tam skradzione kamienie?

— Proszę, oto list i fotografa! — rzekł Mitchel, podając jedno i drugie Barnesowi, który rozpoznał zamordowaną. — Czy mam list odczytać?

Barnes skinął głową potakująco, ale myśli jego zajmowało przede wszystkim puzderko skórzane. Tymczasem Mitchel czytał:

Szanowny Panie!

Zdziwi się Pan zapewne, otrzymując list od osoby nieznannej zgoła, która atoli wie o Pańskiej rodzinie tyle, że gdyby chciała to opowiedzieć, dumna narzeczona zerwałaby z Panem niezwłocznie. Przysłowie powiada, że milczenie jest złotem i w danym przypadku chcę je zrealizować. Jeśli Panu na tem milczeniu zależy, musi mi pan w czwartek najbliższy wieczorem wypłacić 10. 000 dolarów. Po pieniądze przyjdę sama. Załączam fotografię, byś Pan mógł rozpoznać autorkę tego listu. Jak Pan widzi, nie boję się zawiadomienia policji, gdyż w takim razie powiem wszystko i zostaniesz Pan zniweczony. Dostanę się może do więzienia, ale niewiele mi na tem zależy. Są gorsze miejsca. Tedy proszę mnie oczekiwać w najbliższy czwartek.

Oddana

Róża Mitchel.

List ten podał Mitchel detektywowi, który go przeczytał uważnie, potem zaś badając kopertę i stempel pocztowy stwierdził autentyczność dokumentu, pochodzącego z przed roku mniej więcej.

— Czyś pan zapłacił żadaną sumę?

— To wymaga bliższego określenia. Otrzymałszy list, uświadomiłem sobie, że nie stracę, gdy przyjmę daną osobę i posłucham jej opowiadania. Oczywiście, miałem zamiar nie płacić i dlatego nie posiadałem w domu żadanej sumy. Ale po wysłuchaniu owej kobiety, zmieniłem zapatrywanie. Na podstawie kilku papierów, jakie mi pokazała, przekonałem się, że istotnie może puścić w świat historję skandaliczną, która wyrwie skutek zapowiedziany. Gdy jej jednak powiedział, iż nie posiadam przy sobie żadanej kwoty, wpadła we wściekłość, twierdząc, że ją zwabił w pułapkę, by wydać policji i t. d. Widząc, że trzeba koniecznie rzecz doprowadzić do końca, oświadczyłem gotowość dostarczenia środków przejazdu do Europy gotówką, resztę zaś w klejnotach mogę wypłacić.

— W klejnotach? — wykrzyknął zaskoczony detektyw.

— Tak jest. Dziwi to pana, widzę, ale nie znasz dotąd pasji mojej. Zbieram drogie kamienie i w tym schowku posiadam ich za milion dolarów. Nie mając tedy 10. 000 dolarów gotówką, mogłem jej dać każdej chwili trzy pierścionki z brylantami i uczyniłem, to, dołączając list do pewnego jubilera paryskiego, który miał je odkupić. Ważną część umowy stanowiła klauzula, że nie powróci nigdy.

— Ależ, panie Mitchel, człowiek z rozumem pańskim i przebiegłością, powinien był przecież wiedzieć, że osoby tego rodzaju nigdy nie dotrzymują słowa.

— Oczywiście! Ale kazałem sobie wydać dokumenty dowodowe, tak że była bezsilna. Wspomniał pan przed chwilą, że było to niebezpiecznym zeznaniem powiedzieć, iż byłem w szponach tej osoby. Miał pan, oczywiście, na myśli, iż stanowiło to powód mordu. Otóż dowiodę, że tak nie jest. Przed rokiem już odzyskałem wolność zupełną.

— Jakże pan to udowodnisz?

— Posiadam pisemne oświadczenie tej osoby, że mi sprzedała za sumę 10. 000 dolarów pewne papiery rodzinne.

— Czy masz pan jeszcze te papiery?

— Wolę nie odpowiedzieć na pytanie.

— Dobrze. Tedy powiedz mi pan, skąd wzięłeś to skórzane puzderko i co ono zawiera?

— Kilka drogich kamieni! — odparł po chwili, zrazu jakby zakłopotany.

— Drogie kamienie? Tak sądziłem. Czy mogę je zobaczyć?

— Nie daję przyzwolenia.

— A więc bez przyzwolenia! — wykrzyknął detektyw, szybkim ruchem otwierając puzderko.

Na podłożu atlasu leżały klejnoty, zupełnie podobne do opisanych w liście znalezionym w kieszeni zamordowanej, a co ważniejsze jeszcze, znalazł się papier, w którym Barnes poznał dokładną kopję spisu posiadanego. Zdumiony był także zachowaniem Mitchela. Odmówiwszy przyzwolenia na obejrzenie klejnotów, nie czynił nic, by temu przeszkodzić, ale siedział spokojnie i patrzył z obojętnością zupełną.

— Mr. Mitchel, — spytał detektyw po chwili — z jakiego powodu nie chciałeś pan zezwolić, bym obejrzał klejnoty?

— Nie pokazuję ich nigdy obcym. Niedobrze jest kusić ludzi.

— To bezczelność, mój panie! Proszę się wytłumaczyć!

— Obserwuję w życiu pewne zasady. To też, mimo że nie wątpię zgoła w uczciwość pańską, stosuję te zasady jak do obcego.

— Pańska chłodna przytomność umysłu w tym wypadku nie zda się na nic. To są skradzione klejnoty.

— Ach... odkryłeś pan to, widzę... podobnie jak złodzieja... na pierwszy rzut oka.

Mitchel rzekł to sarkastycznym tonem, który drażnił Barnes'a już tyle razy.

— Porzuc pan dzieciństwa! — powiedział poważnie. — Mam przy sobie spis skradzionych kamieni. To puzderko i ten spis godzą się z nim najzupełniej, a co więcej, lista zawarta tutaj jest kopją moją.

— Tak? A więc porzucamy przypuszczenia, przechodząc w dziedzinę faktów uchwytanych! — powiedział Mitchel, pochylając się z zainteresowaniem. — Jeśli dobrze zrozumiałem, posiadasz pan spis skradzionych klejnotów, a ten papier jest dokładną kopją. Czyż tak?

— Oczywiście. Czyż pańska płodna i twórcza pomysłowość znajduje objaśnienie tej dziwnej zgodności?

— Mr. Barnes, krzywdzisz mnie pan. Nie zmyślam nigdy historyjek i tem różnię się od zbrodniarzy, z którymi masz pan ciągle do czynienia. Ci biedacy, po dokonaniu czynu, stwarzają mnóstwo kłamstw, by się ratować. Moją zaś zasadą jest odmawianie odpowiedzi, albo też mówienie prawdy. W tym przypadku istnieje dużo punktów dla mnie, jak dla pana, zagadkowych i nie spróbuję nawet rozwikływać ich. Naprzykład, w jaki sposób możesz pan posiadać spis kamieni, które, zaręczam, są moją własnością.

— Oto spis! — rzekł detektyw, dobywając papier i porównując. — Dalibóg, nawet pismo to samo!

— Rzecz bardzo interesująca, trzeba zobaczyć! — powiedział Mitchel, wstał, okrążył stół i spojrzął przez ramię Barnes'a. — Widzi pan, nie proszę wcale, byś mi pan dał do ręki te papiery. Mógłbyś pan sądzić, że je chcę zniszczyć.

Bez słowa podał mu Barnes obie listy, a Mitchel, wróciwszy z ukłonem na swoje miejsce, zbadał je starannie, potem zaś zwrócił detektywowi.

— Jestem pańskiego zdania! — oświadczył. — Pismo jest to samo. Cóż pan tedy wnioskuję?

— Co wnioskuję, mój panie? Spis ten znalazłem w sukni Róży Mitchel.

— Co? Czyż masz pan na myśli, że jest ona ową damą, której skradziono klejnoty?

Szczerze zdumienie, widne w rysach Mitchela, wytrąciło Barnes'a na chwilę z równowagi, gdyż jeśli on tego nie wiedział, sprawa była jeszcze bardziej zagadkową.

— Twierdzisz pan, że nie wiedziałeś o tem?

— Skądże miałbym wiedzieć?

Nastąpiło krótkie milczenie, a obaj rozważali sytuację.

— Mr. Mitchel, — rzekł wreszcie chłodno Barnes — bardzo mi przykro, ale z konieczności muszę pana aresztować.

— Pod jakim zarzutem?

— Pod zarzutem kradzieży klejnotów, a może także zamordowania Róży Mitchel.

— Czy spieszno panu zabrać mnie?

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że chciałbym zadać kilka pytań, jeśli mi pan da czas na to.

— Dobrze, pytaj pan.

— Kradzież popełniona została w pociągu jadącym, a pasażerów zrewidowano, w jakiż tedy sposób dokonano zbrodni?

Barnes miał odnośnie do tego swe zapatrywanie, ale, tając je z umysłu, uznał za stosowne postąpić tak, by Mitchel sądził, iż posiada inne jeszcze przypuszczenie. W ten sposób mógł przynajmniej zaobserwować, jakie to na śledzonym uczyni wrażenie.

— Istotnie, zrewidowano podróżnych zgoła bez rezultatu. Ale przypuśćmy rzecz taką. Thaurer jechał tym samym wagonem co Róża Mitchel. Gdy pociąg przybył do New Hawen, mógł panu podać torebkę przez okno pańskiego przedziału, w nadziei, że rewizji podlegną tylko pasażerowie jego wozu. Po przybyciu do Stamfordu, wysiadł. Dlaczegożby nie miał podejść pod okno pańskie i odebrać torebki?

— Uczyniłoby to mnie pomocnikiem złodzieja. Ale myli się pan, nie znam go prawie.

— Gdy Miss Dora przedstawiała go, przyznałeś pan wszakże, iż go spotkałeś?

— Tak, ale tylko przy stole gry i dlatego było mi nieprzyjemnie spotkać go w domu narzeczonej. Porzucmy teraz na chwilę kwestję kradzieży, gdyż wbrew przeczeniu memu, uważasz pan rzecz za prawdziwą, a przysięgli mogą być pańskiego zdania. Pomówmy o morderstwie. Czy sądzisz pan naprawdę, by ktoś, kto uczynił zakład dokonania zbrodni, mógł się posunąć aż do morderstwa, w celu wygrania?

— Nie! Istotnie nie wierzę w to. Ale zachodzi możliwość, że dokonawszy kradzieży i przekonawszy się, iż okradziona mieszka w jednym domu z narzeczoną pańską, poszedłeś pan do niej, chcąc namową skłonić do wyjazdu. Dla własnego ratunku zamordowałeś ją pan, gdy słowa nie odniosły skutku.

— Widzę, że mnie pan nie znasz, Mr. Barnes, ale w tem, com usłyszał, mieści się coś interesującego. Czy zamordowana mieszkała istotnie w domu przy ulicy trzydziestej?

— Oczywiście, i pan wiesz o tem dobrze.

— Znowu pomyłka. Ale wróćmy do kamieni. Sądzisz pan, że są to te, które skradziono? Gdybym atoli udowodnił, że tak nie jest, czy zrzekłbyś się pan aresztowania mnie?

— Z największą przyjemnością! — oświadczył detektyw, pewny, że Mitchel w żaden sposób nie może dostarczyć tego dowodu.

— Dziękuję bardzo, gdyż gwarantuje mi to wolność, a powodowany wdzięcznością za owo niearesztowanie, przyrzekam panu pomoc w wyśledzeniu zbrodniarza.

Rzekłszy to, nacisnął Mitchel guzik dzwonnka, a gdy zjawił się służący, polecił mu, by poprosił Mr. Charles. Za chwilę wezwany wszedł.

— Mr. Charles, — spytał Mitchel — czy jest możliwe dostać się do tego podziemia bez pańskiej wiedzy?

— Zgoła niemożliwe, ani dla pana, ani dla kogokolwiek innego.

— Masz pan stale u siebie klucz skrytki mojej, nieprawdaż?

— Tak jest, panie Mitchel.

— Czy zabierałem go kiedy?

— Nie.

— A czy sądzisz pan, że mógłbym posiadać klucz drugi i dostawać się tu bez wiedzy pańskiej?

— To niemożliwość zupełna.

— Czy pamiętasz pan może, kiedy tutaj byłem po raz ostatni?

— Oczywiście, przed dwoma, mniej więcej tygodniami, na długo przed podróżą do Bostonu.

— Dziękuję bardzo, Mr. Charles, to mi wystarcza.

Mr. Charles oddalił się, a Mitchel spojrział na detektywa z uśmiechem.

— Omylił się pan tedy znowu — powiedział. — Kamienie zostały skradzione wczoraj rano, a od tego czasu nie byłem tutaj, przeto nie mogłem ich przynieść. Czy panu to wystarcza?

— Nie. Jeśli byłeś pan zdolny popełnić kradzież w pociągu, podczas gdym przez całą noc obserwował przedział pański, i schować klejnoty tak dobrze, iż przy rewizji nie znaleziono nic, mogłeś pan z równą chytryością znaleźć sposób dostania się tutaj bez wiedzy Mr. Charles. Nie wykluczam także, iż Mr. Charles kłamie na pańską korzyść, będąc przekupionym. Jestem tak pewny, że są to kamienie skradzione, iż nie łatwo dam się przekonać o czemś przeciwnem.

— Obserwowałeś mnie pan owej nocy? Przykro mi, że trudziłeś się daremnie. Mam tedy dostarczyć dalszych dowodów? Dobrze, obejrzyj pan to.

Przy tych słowach dobył z paczki papierów rachunek wystawiony przed pięciu laty, zawierający dokładny spis klejnotów i puzderka. Przyklejone było doń pozatem poświadczenie nowojorskiego urzędu celnego, także z datą pięciu lat wstecz, że cło zostało zapłacone. Dowodów tych nie mógł Barnes odrzucić. Te klejnoty stanowiły niezaprzeczalną własność Mitchela.

— Dość tego! — powiedział detektyw, przeczytawszy z uwagą dokumenty. — Głupstwem byłoby aresztować pana, gdyż każdy sędzia wydałby wyrok uniewinniający na podstawie tych papierów. Ale nie zapomnę o zgodności obu spisów, ani też o guziku z kamei.

— Mr. Barnes, czy mógłbyś mi pan powiedzieć, gdzie znalazłeś ów guzik?

— W pokoju, gdzie zamordowano tę kobietę.

— Nie dziwi mnie wobec tego, że przywiązujesz pan doń wielką wartość. Tem większą jest dla mnie zagadką prezent pański dla Miss Remsen.

W oczach Mitchela dostrzegł Barnes uśmiech, który go zawsze drażnił, dlatego nie odrzekł nic.

— Z wdzięczności, żeś mnie pan nie aresztował — ciągnął Mitchel dalej — udzielię pewnej wskazówki. Zakład z przyjacielem moim Randolphem zawarty został wczoraj rano, to znaczy dnia 2. grudnia. Mam tedy do 2. stycznia czas popełnić zbrodnię swoją. Na wypadek, gdybyś pan nabrał przekonania, że jestem niewinny poprzedniej, która zajmuje obecnie uwagę pańską, natenczas byłoby dla pana pewnie jasne, że muszę jej dokonać i opłaciłoby się śledzić mnie. Czy zrozumiałeś pan, co mam na myśli?

— Panie Mitchel, proszę się nie troskać. Niema obawy, byś pan w ciągu miesiąca dokonał zbrodni bez wiedzy mojej! — odparł Barnes.

— Teraz mówmy o czem innym! — rzekł Mitchel, wyjmując ze szkatułki wielki rubin. — Mam zamiar dać go oprawić i ofiarować w podarku Miss Remsen. Wszyscy, sądzę, będą jej zazdrościć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. MR. RANDOLPH WALCZY Z SUMIENIEM

Po opuszczeniu podziemia rozstali się obaj panowie, a Barnesowi doniósł nazajutrz rano Wilson, że Mitchel spędził resztę popołudnia w klubie „Union”, wieczór zaś pojechał z narzeczoną na bal prywatny.

Gdy Mitchel ubierał się rano, 5. grudnia, przyniesiono mu bilet wizytowy z nazwiskiem przyjaciela Randolpha, a w kilka minut potem zjawił się on sam. Mitchel powitał go serdecznie i podał rękę, czego przybyły jakoby nie spostrzegł.

— Przebacz, — powiedział — przybywam, by pomówić o zakładzie, który zawarłem z tobą tak lekkomyślnie.

— No i cóż?

— Nie sądziłem, że się posuniesz aż tak daleko.

— Aż tak daleko?

— Czytałeś pewnie dzienniki?

— Nigdy tego nie czynię.

— Tedy pozwól, że ci przeczytam.

— Najchętniej!

Usiedli obaj, a Randolph jął czytać. Artykuł zawierał znane już czytelnikom fakty o znalezieniu zwłok. Potem nastąpił ciąg dalszy:

— Wczoraj podjęto na nowo śledztwo w sprawie morderstwa. Pośród zeznań słynnego detektywa Barnesa, jakie podaliśmy już poprzednio, należy podkreślić, że dama owa przedstawiła się jako Róża Mitchel, w chwili gdy mu zleciła szukanie skradzionych klejnotów. Dziwnym atoli sposobem, wycięto znaki z wszystkich znalezionych w jej mieszkaniu sztuk bielizny i odzieży, co zdaje się świadczyć, że nazwisko było przybrane.

— Zeznanie dozorca domu rzuca przedziwne światło na sprawę. Mrs. Mitchel nie była lokatorką mieszkania, które zajmowali państwo Comstock, podróżujący obecnie po Europie. Przed trzema, mniej więcej, tygodniami dozorca domu oddał jej to mieszkanie, za okazaniem rzekomego upoważnienia Mrs. Comstock. Uwierzył on w autentyczność listu, ale istnieje podejrzenie fałszerstwa, skutkiem zeznana bliskiego krewnego Comstocków, który zna pismo Mrs. Comstock.

— Na tem przerwano śledztwo, a detektywi błędzą, zda się, omackiem w ciemności, podczas gdy pewien reporter dokonał zdumiewającego odkrycia, które może naprowadzić na trop zbrodniarza. Oto, ni mniej, ni więcej, odnalazł skradzione klejnoty. Reporter udał się wczoraj do New Hawen i jął myszkować po gospodach. W ostatniej, położonej zaledwo o pięć minut drogi od dworca, przypomniał sobie płatniczy pewnego, nieznanego gościa o dziwnym zachowaniu. Przybył dnia trzeciego grudnia około dwunastej. Dziwnego kształtu torebkę złożył, prosząc o zamknięcie jej w kasie ogniotrwałej. Potem odszedł i nie wrócił dotąd. Reporter, powziąwszy podejrzenie, wezwał szefa miejscowej policji, wobec którego torebkę otwarto. Zawierała istotnie puzderko ze skóry juchtowej, w którym był klejnoty przedziwnej piękności. O tem, że są to właśnie kamienie skradzione, świadczy dowodnie nazwisko „Mitchel”, wydrukowane złoconymi literami na rzemyku opasującym puzderko. Niestety, nie odkryto innych śladów złodzieja, ale płatniczy zapamiętał rysy sprawcy tak dobrze, iż detektywi mają nadzieję przyłapać go, wedle podanego opisu.

— Cóż ty na to?

— Ot, jedna z historyjek, które mi obmierziły czytanie dzienników, pełnych tego zawsze.

— Czy chcesz powiedzieć, że ten przypadek nie budzi twego zainteresowania?

— Z jakiegoż powodu miałby mnie interesować? Czy może dlatego, że jechałem przypadkiem tym samym pociągiem i zostałem zrewidowany na rozkaz niedołącznego detektywa?

Zdaje mi się, że istnieją inne jeszcze motywy zainteresowania. Każdy, kto posiada wszystkie klepki i wie o zakładzie, musi przypuszczać, że działał w tych sprawach.

— W których? Kradzieży, czy mordzie?

— Boże wielki! Gdybymże mógł wiedzieć. Byliśmy przyjaciółmi od pierwszej chwili poznania, byłem ci wierny, wierzyłem w ciebie, wbrew temu co rozpowiadali nieżyczliwi, ale teraz...

— I cóż, teraz?

— Nie wiem co myśleć. Zakładasz się ze mną o popełnienie zbrodni, a w parę godzin później wychodzi na jaw kradzież, a potem morderstwo, które to zbrodnie stoją wyraźnie w związku ze sobą. Prócz tego, zamordowana mieszkała tam, gdzie Remsenowie. Wiadomo, że po wpół do dwunastej byłeś przez godzinę w złowrogim domu i że w tym czasie słyszano krzyk, dolatujący z mieszkania nieboszczki. Nakoniec zostały odnalezione klejnoty, a na puzderku jest twoje nazwisko.

— Powiedz raczej, nazwisko owej kobiety, które było opublikowane w dziennikach.

— To prawda! Nie pomyślałem o tem. Oczywiście, jej nazwisko, ale kręci mi się w głowie i jestem strasznie wzburzony. Przybyłem prosić, byś mi zaręczył, że nie masz z tem wszystkim nic wspólnego.

— To niemożliwe.

— Jakto, wzbranasz się? Nie chcesz wyznać bezwiny swojej? W ten sposób jest to wprost przyznaniem się do zbrodni.

— O, nie! Nie przeczę niczemu i do niczego się nie przyznaję. Czy pamiętasz nasz zakład? Przepowiedziałem zgóry, że posłyszawszy o jakiejś zbrodni, przyjdiesz do mnie zaraz, pytając czy to nie moja i przestrzegłem, że nie powiem nic. Trzymam się tylko słów moich.

Nastąpiło milczenie, przygnębiony Randolph podszedł do okna, a Mitchel patrzył za nim, uśmiechając się wesoło.

— Randolphie! — spytał. — Czy czujesz wyrzuty sumienia?

— Tak i to bardzo dotkliwie! — odparł, spojrzawszy na przyjaciela bystro i obrócił się.

— Czemuż tedy nie idziesz na policję, by sobie ulżyć?

— Jest to istotnie, jak sądzę, obowiązkiem moim, ale uważam za nikczemność zdradzenie przyjaciela!

— Zaliczasz mnie tedy jeszcze do przyjaciół swoich. Cenię to bardzo i na dowód powiem ci, co masz uczynić, by zaspokoić skrupuły sumienia, nie szkodząc mi przezto.

— Daj Bóg, by to było możliwe!

— Nic łatwiejszego. Idź do Barnes'a i opowiedz mu wszystko co wiesz.

— To znaczy tyle co wydać cię policji.

— O nie! Barnes nie jest policją. To detektyw prywatny. Pamiętasz pewnie, że o nim właśnie mówiliśmy, czyniąc zakład. Sławiłeś jego spryt, to też sprawi ci to zadowolenie, gdy zostanie przez ciebie sprowadzony na mój ślad, ja zaś godzę się, jeśli mi przyrzekniesz nie wspominać o tem nikomu innemu. No cóż, czy dobrze?

— Dobrze, skoro tak chcesz. Muszę pomówić z kimś koniecznie i nie mogę taić tego, co może naprowadzić na ślad zbrodniarza.

Podczas gdy Randolph opuścił hotel, by iść do Barnes'a, miał detektyw właśnie rozmowę z Wilsonem.

— Powiadasz pan tedy, że Mitchel umknął panu wczoraj znowu?

— Jeździł koleją nadziemną tak długo, aż mu się udało wsiąść w pociąg, do którego już dotrzeć nie mogłem. Opóźniał wsiadanie zawsze aż do chwili, kiedy pociąg ruszał, a czasem cofał się zpowrotem. Musiałem go naśladować po drugiej stronie wagonu. W końcu skoczył, w chwili gdy konduktor zatrzasnął drzwi po stronie gdzie stałem.

— Było to przy ulicy czterdziestej drugiej?

— Tak. Pojechał w stronę dolnej części miasta.

— Czy spostrzegł pana?

— Zdaje się, ale z zachowania jego niesposób było odgadnąć, że tak jest. Był zupełnie swobodny.

— Nie czynię panu wyrzutów, przeto proszę iść do hotelu i uczynić co się tylko da. Resztę sam załatwię. Dojdę ja, jaki cel mają te tajemnicze jazdy.

Zostawsz sam, zapadł Barnes w zadumę głęboką.

— Wilson nie dorównywa Mitchelowi, to rzecz jasna. Chciałbym jednak wiedzieć, naco ta ciuciubabka z jazdami, czy jest to celowe, czy chce mi tylko pokazać, że śledzić go nie zdołam. Ano, zobaczymy. Ale cóż to ma wspólnego z klejnotami znalezionymi w New Hawen? Odpowiadają one zupełnie opisowi i odkrycie to czyni sprawę bardziej zawiązaną jeszcze. Pewny niemal byłem, że schowane w depozycie są właśnie temi, które skradziono. I oto nagle jawi się drugi garnitur, prawdopodobnie ten o który idzie. Mitchel był zdumiony szczerze, gdy mu pokazał znaleziony przeze mnie spis, o którego istnieniu nie wiedział napewno. Dlatego też nie wiedział o tym drugim garniturze klejnotów. W takim razie koincydencja kradzieży i zakładu byłaby czystym przypadkiem. Twierdzi, że zamordowana dokonała na nim wymuszenia i że jej dał adres paryskiego jubilera. A może on tam właśnie kupił klejnoty, ta kobieta zaś skradła u tegoż jubilera garnitur drugi i przywiozła? Trzeba się będzie porozumieć z tym jubilerem paryskim. Dobrze, że sobie wynotowałem z rachunku firmę i adres. Jeśli wnioski moje są słuszne, ktoś przyjechał z Francji za Różą Mitchel, w celu obrabowania, zostawiając jej niebezpieczne zadanie przemytnictwa. Może to był Thaurer? W ten sposób doszlibyśmy do wniosku, że Mitchel nie dokonał jeszcze zbrodni swojej i sam mnie ostrzegł, bym o tem nie zapomniał. Czy jego uważam za niewinnego? Dlaczegoż to pokazał mi rubin, mówiąc że chce go podarować narzeczonej? Czy chce go ukraść zpowrotem? Jeśli to nastąpi, to narzeczoną, będącą z nim w porozumieniu, narobi hałasu, tak by rzecz doszła do dzienników, co stanowi przecież punkt zakładu. Cóż ma z tem atoli wspólnego ta cała historia guzika z kameją? Żadna kombinacja nie rzuca na to światła.

W tej chwili, dumanie Barnes'a przerwane zostało doniesieniem, że Mr. Randolph pragnie z nim mówić. Czytelnik zechce pamiętać, iż Randolph nie wiedział dotąd o podsłuchaniu ich zakładu w pociągu.

— Mr. Randolph, racz pan usiąść! — rzekł detektyw po wejściu gościa. — Chcesz mi pan, sądzę, powiedzieć coś w sprawie morderstwa?

To odgadnięcie wzmogło jeszcze zaufanie Randolpha do detektywów, zwłaszcza do tego, którego miał przed sobą.

— Wiesz to pan? Czy mogę zapytać skąd?

— Ano, my detektywi, uchodzimy za wszystkowiedzących, wszak prawda?

Odpowiedź ta, dana z uprzejmym uśmiechem świadczyła jednocześnie, że Barnes nie chce, by go wypytywać, a Randolph uznał, iż trzeba się co prędzej wyzbyć niemiłej sprawy, w której tu przybył.

— Mr. Barnes, — rzekł — przychodzę złożyć zeznanie...

— Przepraszam, że przerwę i ostrzegę, iż to, co chcesz pan zeznać dobrowolnie, może zostać użyte jako dowód przeciw panu, w razie gdy to zeznanie będzie posiadało elementy podejrzone.

— Dziękuję za przestrożę, ale właśnie dlatego przyszedłem, by nie popaść w podejrzenie. Fakty są następujące:

Opowiedział wszystko, co miało związek z zakładem, a Barnes słuchał tego, jakby nowości, czyniąc nawet zapiski w notatniku.

— Zdumiewająca jest pańska rewelacja! — rzekł wkońcu. — Ale niesposób przypuścić chyba, by człowiek jak Mr. Mitchel, wykwintny, wykształcony, miał zostać zbrodniarzem w celu wygrania kwoty, błażej dlań zresztą. Sądzę, że myślałeś pan nad tem także i doszedłeś do jakichś wniosków. Proszę o podanie mi ich.

— Najchętniej! — odrzekł Randolph, który powziął zamiar wystawić czyn przyjaciela w świetle możliwie łagodnym. — Jedną z najtrudniejszych w życiu kwestyj stanowi rozstrzygnięcie, kto jest całkiem normalny umysłowo, a kto napoły zszedł. Różni rzeczoznawcy twierdzą, że dziewięć dziesiątych ludzi są w ten, czy inny sposób pomyleni, mojem zdaniem, człowiek który zbiera jakieś przedmioty i używa ich w sposób nieodpowiadający przeznaczeniu jest do pewnego stopnia warjatem.

— Czy masz pan na myśli nieodpowiedzialność wobec prawa?

— O tem nie mogę wydawać sądu, ale myślę że ktoś, opanowany szalem kolekcjonerskim, może dać się pociągnąć do czynu karygodnego. Naprzykład marki pocztowe posiadają bez wątpienia swą wartość. Atoli ten, kto je zbiera po odwartościowaniu i płaci cenę przewyższającą ogromnie pierwotną, jest zdaniem mojem w pewnej mierze warjatem, gdyż kupuje to drogo, co nie ma już wartości realnej.

— To samo dałoby się powiedzieć o obrazach. Wartość realna, to znaczy płótno i farby posiadają wartość bardzo małą, a tymczasem za jeden obraz płaci się nieraz tysiące dolarów.

— Jest to, oczywiście, także pewien rodzaj szaleństwa, dostępnego jeno bogatym, ale nie sięga ono wyżyn zbierania używanych marek. Naturalnie, uznałbym za pomyłonego człowieka, który, wydawszy majątek na obraz, powiesiłby go w domu, niedostępnie dla ludzkich oczu. To samo z klejnotami...

— Klejnotami?

— Klejnoty mają swą cenę i rolę w świecie. Jeśli jednak ktoś kupuje każdy wspałały kamień, jaki schwycić może, i chowa wszystko w podziemiu depozytowem, jest oczywistym warjatem.

— Cóż to ma wspólnego z danym wypadkiem?

— Bardzo dużo! Przyjaciel mój jest wprost anormalny, gdy idzie o drogę kamienie. Mimo rozsądku, jaki posiada, wystarczy wymienić jakiś słynny klejnot, a zaraz opowiada długą historję o nim, podkreślając zwłaszcza manjacko straszliwe zbrodnie, związane z każdym niemal wybitnym klejnotem.

— Tedy, zdaniem pańskim, przez nieustanne zajmowanie umysłu tą rzeczą, oswoił się z myślą dokonania zbrodni, związanej z klejnotami?

— Odgadłeś pan doskonale. Człowiek, niestety, oswoja się z wszystkim. Wszyscy np. niemal, wobec zwłok, czują pomieszenie i grozę, podczas gdy medycy, nawykłszy do trupów, traktują je, jak rzeźnik sprzedawane przez się mięso.

— Niezłe jest rozumowanie pańskie, Mr. Randolph. Nie wykluczam wcale, że przyjaciel, mimo wykształcenia i uczciwości swej, opanowany szalem zbieracza klejnotów, oraz znając zbrodnie, związane często z chęcią posiadania ich, mógłby się dać pociągnąć do kradzieży, a nawet morderstwa. O tak, żyjemy w dziwnym świecie.

— Czy pan sądzi, że w takim razie, jako szaleniec, nie zostałby pociągnięty do odpowiedzialności?

— Nie, tak daleko nie idę. Przyznaję panu rację ze stanowiska psychologicznego i człowieka, który w ten sposób został zbrodniarzem, zasługuje na głębokie współczucie, ale prawo uzna go winnym. Głównie idzie o to, czy istotnie skradł klejnoty? Pan spałes owej nocy razem z nim w przedziale. Jakież zdanie pańskie?

— Nie wiem co myśleć. Nie mógł opuścić posłania, nie przekroczywszy przeze mnie, coby mnie napewno zbudziło. A jeśli nawet wyszedł istotnie i zabrał klejnoty, gdzież je mógł skryć i w jaki sposób wróciły one do New Hawen? Czy masz pan rysopis człowieka, który zostawił tam torebkę. Godzi się on z wyglądem przyjaciela mego?

— Nie wiem. Jest trochę niedokładny i tak wyglądać może tysiąc osób, przechodzących Broadway w ciągu kwadransa.

— Zdaje mi się jednak, że złodziejem mógł być ktoś inny.

— Miejmy nadzieję, Mr. Randolph. A jeśli to pana uspokoi, powiem, że dotąd niema powodów dostatecznych do aresztowania.

Detektyw, mówiąc to, miał swój cel. Chciał przez uspokojenie Randolpha uczynić go rozmowniejszym.

— Zna pan pana Mitchela pewnie już od szeregu lat? — spytał po pauzie.

— Nie, dopiero od półtora roku. Przebywa on w Nowym Jorku niespełna dwa lata.

— Ach, tak? Czy pochodzi z Bostonu?

— Nie, zdaje mi się, z Nowego Orleanu.

Dziwne uczucie przejęło Barnes'a, tak że się zdumiał. Czegoś podobnego doznawał często, wpadłszy na ślad właściwy. Jął tedy dumać. Randolph wyraził tylko przypuszczenie, że Mitchel pochodzi z Nowego Orleanu, ale w tej chwili błysnęło detektywowi wspomnienie. Zamordowana wyznała sama, że mieszkała przez czas pewien w Nowym Orleanie. Czy fakt ten miał jakieś znaczenie? Czy oboje znali się już w tem mieście?

— Skąd pan wie, że pochodzi z południa? — spytał Barnes.

— Ano, poznać to można z samego już akcentu. Chociaż nie przeczy, że stamtąd pochodzi, niechętnie wspomina ojczyznę swoją. Mam jakieś mgliste wrażenie, że kiedyś mi mówił, iż się urodził w Nowym Orleanie, ale ma przykre bardzo wspomnienia z tego miasta. Raz jeden, zresztą, tylko uczynił o tem wzmiankę.

— Chciałbym teraz, jeśli wolno, zadać pytanie, dotyczące innego człowieka i ciekawy jestem, czy go pan spotkał kiedy. Zwie się Thauret.

— Alfons Thauret? O tak, znam go, ale cierpieć nie mogę.

— Czemuż to?

— Sam nie wiem dobrze, a może to przesąd tylko. Tworzymy sobie często zbyt pospiesznie zdanie o danym człowieku, a jemu od pierwszej zaraz chwili niedowierzałem.

— Niedowierzał pan?

— Tak jest. Może się mylę i nie powinienbym panu tego opowiadać, ale uczynię to. Przed kilku tygodniami, kilku członków naszego klubu grało w wista, a wśród nich znalazł się także Thauret. Stawki były niewielkie, ale w każdym razie rozgrywano pewną kwotę. Thauret i partner jego mieli dziwne szczęście, a mnie wpadło w oko, że w sposób niezwykle, dotąd mi nieznany, miesza karty. Obaj z partnerem wygrali tego wieczoru, dwieście dolarów.

— Kim był partner jego?

— Nie wiem.

— Czy Mr. Mitchel był także obecny?

— Tak i podzielił zapatrywanie moje, że Thauret oszukuje. Widziałem zresztą także, iż czasem przegrywa, krzywdzę go tedy może.

— Mr. Randolph, jestem panu niezmiernie wdzięczny za pańskie wskazówki i za ręczę, że sprawi mi wielką przyjemność, jeśli się okaże bezwina pańskiego przyjaciela w tej całej sprawie.

Detektyw wstał, zaś Randolph pożegnał go, uważając to za znak zakończenia rozmowy. Gdy Barnes został sam, usiadł zpowrotem i jął dumać, czy ów nieznany partner wistowy był współnikiem Thaureta w kradzieży klejnotów, które potem złożył w gospodzie w New Hawen. Dlaczego to jednak uczynił, było nadal zagadką.

Niedługo potem wyszedł Barnes i dojechawszy koleją nadziemną do ulicy siedmndziesiątej szóstej, zadzwonił do małego domku, a służąca wpuściła go do skromnie urządzonego pokoiku. W kilka minut potem zjawiła się młoda, ładna dziewczyna. Zamienił z nią szeptem słów kilka, poczem dziewczyna znikła, ale wróciła niedługo, ubrana do wyjścia i oboje opuścili dom.

W cztery dni potem otrzymał Barnes list, zawierający tylko słowa: Przyjdź pan. To zdawało mu się jednak wystarczać, wyruszył zaraz na ulicę siedmndziesiątą szóstą i spotkał się z dziewczyną w skromnym pokoiku.

— No i cóż Miss, udało ci się?

— Oczywiście! — odparła. — Czyż mi się kiedy coś nie udało? Sądzę, że nie stawiasz mnie pan w jednym rzędzie z Wilsonem?

— Daj pokój Wilsonowi i opowiedz historję swoją.

— A więc. Opuściłeś mnie pan w Madison Square Parku. Siadłam na ławce, by obserwować Wilsona. Po dwu godzinach wyszedł z hotelu jakiś pan, a Wilson powlókł się za nim, ale tak niedołącznie, że ślepy spostrzegłby, iż śledzi tego Mitchela. Widzisz pan wykryłam nazwisko, bez dowiedzenia się od pana. Była to dla mnie drobnostka. Chcąc mu się dobrze przyjrzeć, wsiadłam w tramwaj i przybywszy przed nim na trzecią avenue, pobiegłam szybko do poczekalni kolei nadziemnej. Rzeczywiście, niedługo nadszedł Mitchell i udał się na koniec peronu, a Wilson stanął pośrodku, udając swobodnego, co mu się, oczywiście, nie udało. Gdy pociąg nadszedł, wsiadłam, przeszłam wagon i usiadłam naprzeciwko Mitchela. Zaręczam, że znam teraz jego fizjonomję.

— Tak Miss, ale i on zna twoją. Byłaś nieposłuszna, a przecież specjalnie zaleciłem, by cię nie zauważył ten szatan.

— Nie zaszkodziło to wcale i odniosłam sukces. Przy ulicy czterdziestej drugiej wsiadł, Wilson także, ale ja nie.

— Dlaczego nie?

— Mógłby był powziąć podejrzenie. O, tak głupią nie jestem. Dojechawszy do ulicy czterdziestej siódmej, doczekałam się powrotu Mitchela. Był sam i widocznie znowu okpił Wilsona. Wsiadł do pociągu do miasta dolnego, ja także. Ale tym razem nie pokazałam mu się. Poszedł prosto do jednego z domów przy Irvingsplacu. Oto numer! — podała Barnesowi kartkę.

— Dobrze to zrobiłaś, moja panno. Dziwię się tylko, czemu nie zostałem niezwłocznie powiadomiony?

— Nie koniec na tem. Biorąc coś w rękę, przeprowadzam rzecz samoistnie. Czyż miałam wytropić tego człowieka poto, byś pan potem puścił nań Wilsona? O, nie! Naza-jutrz pojechałam tam i zadzwoniwszy, zapytałam o właścicielkę. Ponieważ służąca chciała wiedzieć więcej, zełgałam coś i uczyniłam ją rozmowniejszą. W domu był pensjonat dla dziewcząt. Dowiedziałam się, że mieszka tam dziewczynka lat około czternastu, Róża Mitchell, której ojcem jest nasz przyjaciel. Cóż pan na to?

— Jesteś Miss genialna, chociaż to wszystko wiedziałem już przedwczoraj. Czemuż atoli nie otrzymałem zawiadomienia wcześniej?

— Dlatego że wczoraj byłam tam znowu, by się dowiedzieć czegoś więcej. Siedząc w parku, obserwowałam spacerujące dziewczęta. Nie mogłam zaczepić Róży Mitchell, ale mając ze sobą aparat, sfotografowałam ją. Cóż pan na to? Czy zmarnowałam czas?

— Zaprawdę nie! Jesteś Miss wielce dowcipna, ale próżność nie pozwoli ci doprowadzić do niczego wielkiego. Dziś mogę tylko chwalić. Gdzież ta fotografia?

Dziewczyna wyszła, ale zaraz wróciła z małą, trochę nie ostrą fotografią, wyobrażającą młodą panienkę. Barnes wziął ją i w pół godziny potem opuścił dom.

ROZDZIAŁ ÓSMY. LUCETTE

W dwa dni po tem wydarzeniu, służąca Miss Remsen zawiadomiła panią swoją, że właśnie nadeszła wieść o ciężkiej chorobie jej matki, oraz wezwanie, by co prędzej wracała do domu. Kuzynka Lucette zastąpi ją przez czas nieobecności. Na pytanie, czy ta kuzynka nadaje się do tego, odrzekła służąca, iż Lucette jest bardzo uzdolniona, zwłaszcza umie doskonale fryzować, wyuczywszy się tego od pewnego fachowca, Francuza.

Miss Remsen dała zezwolenie, a Lucette objęła obowiązki zaraz popołudniu. Emilja była mile zdumiona. Spodziewała się subretki gadatliwej, wścibskiej, jakimi zazwyczaj są Francuzki, a tymczasem Lucette była spokojna, skromna i najzupełniej obeznana z obowiązkami swemi. Zachwycona Dora oświadczyła siostrze, iż po powrocie jej służącej zatrzyma Lucette dla siebie.

— O tak! — zgodziła się Emilja. — Lucette jest bardzo zręczna, ale nie daj jej poznać, że jesteśmy zadowolone, gdyż mogłoby ją to rozleniwic. A teraz powiedz mi, droga Doro, kogo mieć będziemy dziś popołudniu?

— Prawdopodobnie przyjdą ci co zawsze. Będzie ścisk znowu.

— Ci co zawsze? Czy włączasz do nich Mr. Randolpha?

— Królowo, Mr. Randolph jest dla mnie zagadką. Wyobraź sobie, po tygodniu niewidzenia spotkałam go wczoraj w piątej avenue i... rzecz dziwna... gdyśmy byli niemal nos w nos, skręcił nagle w bocznice.

— Nie widział cię pewnie, droga moja, inaczej byłby się odezwał, rad wielce ze sposobności.

— Jeśli mnie nie widział, musiał nagle zostać krótkowzrocznym, tyle tylko powiedzieć mogę.

Niedługo potem zaczęli napływać goście i rzeczywiście ścisk zapanował w całym mieszkaniu. Liczni wielbiciel otoczyli Dorę, która ze złośliwym rozradowaniem unikała zręcznie Randolpha, chcącego ją zwabić w jakiś zaciszny kącik, ale w taki sposób, by tego nikt nie zauważył. Przybył także Thuret, ale nie na długo. Porozmawiawszy z Emilją o rzeczach obojętnych, przeczesał się na dobrą chwilę w pobliżu Dory. Pochlebstwa, słyszane już od innych panów, brzmiały w ustach jego zgoła odmiennie, jakby płynęły z serca i czyniły pewne wrażenie na niedoświadczonej dziewczynie. Po jego odejściu, dotarł wreszcie Randolph na upragnione miejsce, obok Dory.

— Miss Doro! — zaczął odrazu. — Nie pojmuję, jak pani może tolerować zaloty tak nikczemnego człowieka?

— Czy masz pan na myśli Mr. Thureta, przyjaciela mego?

Położyła nacisk na wyraz: przyjaciel, by podrażnić Randolpha i udało jej się to doskonale.

— Nie jest to przyjaciel pani, ale swój jeno własny przyjaciel.

— Myśl ta nie jest zgoła nowością, gdyż mówi się to o wielu ludziach.

— Całkiem serjo zwracam uwagę pani, Miss Doro, byś nie dozwoliła mu wciskać się do towarzystwa, a tem mniej w roli konkurenta.

— Wprawiasz mnie pan w zdumienie, Mr. Randolph, dotąd nie przyszło mi na myśl zgoła, by Mr. Thuret konkurował o mnie. Mogłabym powtórzyć wszystko, co mi powiedział, a nie potwierdziłoby to chyba zapatrywania pańskiego.

— W tem leży chytryść jego, właśnie. Jest kuty na cztery nogi i wie, że nie należy przedwcześnie mówić wyraźnie.

Rozsądny młodzieniec, który sądził, że przenika innych, nie wiedział, iż szkodzi bardzo u Dory sprawie własnej, wbijając jej w głowę rzeczy, o których nie myślała wcale jeszcze.

— Panie Randolph, — odrzekła — jesteś komiczny jak Don Kiszot, walczący z wiatrakami. Wyobrażasz sobie coś i udzielasz przestróg ojcowskich. Jest to, zaręczam, zbyteczne zgoła. Mr. Thuret nie uczynił nic takiego, jak pan przypuszcza.

— Mam nadzieję, że nie pogniewałem pani, gdyż wiadomo chyba pani, co mnie skłoniło do mówienia.

— Nie! Jestem widocznie zbyt ograniczona, by przeniknąć motywy innych ludzi.

— Czyż pani nie spostrzegła?...

— Co miałam spostrzec?

Spojrzała nań z taką otwartością, że się zmieszał. Miał teraz doskonałą sposobność do oświadczeń i uczyniłby to napewno, gdyby nie nadejście Mitchela. Na jego widok uprzytomnił sobie fatalną sytuację, gdyby wyszło na jaw, że przyjaciel jest zbrodniarzem. Dlatego zawahał się i utracił sposobność, która długo wrócić nie miała. Odpowiedział żartem i wyszedł za chwilę.

Goście znikli, a Dora udała się do siebie, zostawiając narzeczonych sam na sam.

— Emiljo, królowo moja! — rzekł Mitchel czule, biorąc ją za rękę i pociągając obok siebie na sofę. — Wydaje mi się to snem jeno, że mnie kochasz!

— Dlaczego, Roy?

— Słuchaj mnie, ukochana! Jestem dziś w dziwnym nastroju i chciałbym się zwierzyć! Czy wolno?

Odpowiedziała pieszczotliwym gestem wolnej dłoni i głowy na znak zgody.

— Tedy słuchaj spowiedzi mojej. Jestem inny, niż przeważna liczba mężczyzn, podobnie jak ciebie uważam za inną od reszty kobiet. Znałem ich dużo po wszystkich miastach Europy i w ojczyźnie, ale żadna nie wywołała wrażenia, jakiego doznałem na twój widok. Za pierwszym zaraz spotkaniem wybrałem cię na żonę moją. Czyż to było zuchwalstwem?

— O nie, drogi Roy! Tak samo, za pierwszym spotkaniem, powiedział mi głos wewnętrzny: Oto pan twój!

— Niech cię Bóg błogosławi, Emiljo moja! Ale radbym mówić dalej. Obrałem cię za żonę moją i świadczę się niebem, że nie zostaniesz oszukaną w najmniejszym drobiazgu. Ale... i to jest ciężką próbą, jaką miłość twoja przetrwać ma... będę zmuszony, chwilowo, zataić przed tobą pewne rzeczy. Czy sądzisz, że kochasz mnie dostatecznie, by mieć przekonanie, iż w danym razie jedynie z miłości ku tobie nie mówię ci wszystkiego?

— Roy! — odrzekła. — Jest to może zarozumiałość, ale powiem co myślę. Miłość słabsza od mojej powiedziałaaby: Wierzę ci, lecz nie wahaj się wtajemniczyć mnie. — Ja zaś powiadam, że ufam ci bez zastrzeżeń i jestem zadowolona, z tego co postanowisz, bez względu, czy zechcesz mnie przypuścić do tajemnic twoich, czy nie.

— Wiedziałem, że to powiesz i byłbym w przeciwnym wypadku rozczarowanym. Otóż powiem ci, że istnieje w życiu moim tajemnica, niepodzielona z nikim, której i tobie nawet wyznać nie mogę. Czy dalej jeszcze jesteś zadowolona?

— Nie wątp w to! To o czym zaręczam jest murowane!

— Wiem o tem, królowo moja, ale jest to jednak przesadne, jeśli człowiek, który chce uczynić kobietę żoną swoją, oświadcza jej, że istnieje tajemnica, któraby mu mogła przynieść hańbę, lub coś gorszego jeszcze, zwłaszcza, że pewni ludzie są tego samego zdania.

— Nikt nie będzie śmiał sądzić cię niesłusznie!

— Mylisz się, Emiljo! Oto wiedz, że pewien detektyw śledzi mnie dniem i nocą.

— Nie boję się tego zgoła. czy Mr. Barnes nie spuszcza cię z oka? Czy to on?

— Tak jest. Czyni to, wierząc, że mam coś wspólnego z morderstwem i do pewnego stopnia ma rację.

— To znaczy, że znałeś zamordowaną?

— Tak!

Mitchel zamilkł, chcąc się przekonać, czy Emilja zada dalsze jeszcze pytania. Ale mówiła zupełnie serjo, zapewniając go o pełnem zaufaniu swojemu, tedy dodał:

— Barnes radby, oczywiście, dowiedzieć się czegoś więcej, mam atoli ważne powody, by to nie nastąpiło i w tej sprawie proszę o pomoc twoją.

— Uczynię to chętnie.

— Nie wiesz jeszcze o co poproszę.

— Rzecz obojętna. Uczynię wszystko, co zechcesz.

— Jesteś godna miłości mojej!

Przyciągnął ją do siebie łagodnie i pocałował w usta.

— Nie mówię tego przez zarozumiałość, gdyż kocham cię tak bardzo, jak tylko kochać może mężczyzna. Gdybym spostrzegł, że niegodna jesteś miłości mojej, przepadłbym na zawsze.

— Możesz mi zaufać, Roy!

Słowa te były proste, ale ton ich namiętny przejawiał prawdę pełną.

— Tedy powiem zaraz o co idzie, gdyż powinno się to stać prędko. Bądź gotowa... Któż to?

Mitchel wyrzekł słowa ostatnie tonem ostrym, wstał i postąpił parę kroków. Pokój był słabo oświetlony, gdyż Emilja nie znosiła jaskrawizny lamp. Na drugim końcu, przy drzwiach stał ktoś, kto obudził uwagę Mitchela. Była to Lucette.

— Matka J. W. Panienci przysyła mnie, bym spytała, czy państwo raczą zejść na kolację?

— Przyjdziemy zaraz! — odparła Emilja, a Lucette opuściła pokój.

— Co to za dziewczyna? — spytał Mitchel, a Emilja objaśniła, w jaki sposób służąca dostała się do domu.

— Wydaje się spokojną, rozsądną dziewczyną! — powiedział Mitchel głośniejszym niż należało. — Jest nawet zanadto spokojna, gdyż wejście jej przeraziło mnie. Chodźmyż teraz. Mam dość czasu powiedzieć, o co cię chcę prosić na pojutrze.

Po kolacji zaprowadził Mitchel obie siostry i matkę do teatru, ponieważ zaś w obie strony szli pieszo, miał tedy czas wytłumaczyć narzeczonej czego od niej chce.

— Nie będziesz mnie tedy widziała przez dni kilka! — powiedział, w chwili rozstania pod bramą. — Bądźże mi zdrowa!

Lucette, która otwierała bramę i słowa te usłyszała, zdziwioną była, widząc wchodzącego nazajutrz około dziesiątej Mitchela. Bardziej jeszcze zaintrygowało ją, gdy jej pani oświadczyła, że wychodzi, a całkiem już zagadkowym było, że Mitchel, po odejściu Emilji, sam został w jadalni. Podumawszy chwilę, zaczęła także sposobić się do wyjścia. W chwili gdy już szła kurytarzem, otwarto nagle drzwi jadalni i ujrzała przed sobą Mitchela.

— Dokądże to, Lucette?

— Mam załatwić mały sprawunek! — odparła głosem drżącym z lekka.

— Proszę tu wejść na chwilę, mam coś powiedzieć!

Uczuła, że musi to zrobić i weszła do pokoju. Mitchel idący za nią zamknął drzwi i włożył klucz do kieszeni.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała gniewnie.

— Zapominasz się, Lucette! Jesteś służącą, a jako takiej nie wolno stawiać pytań bezczelnych. Ale odpowiem. Zamknąłem, albowiem nie chcę, byś opuściła ten pokój.

— Ja zaś nie chcę być zamknięta z panem. Jestem dziewczyną uczciwą.

— Nikt w to nie wątpi. To też możesz być zupełnie pewną, że nie będę ci się narzucił.

— Czemużeś mnie pan zamknął?

— By cię tu przytrzymać... powiedzmy, do dwunastej, a więc około dwu godzin, nie masz chyba nic przeciw temu?

— Bardzo dużo nawet! Nie chcę być tu z panem przez dwie godziny.

— To doskonale! Jakże zamierzasz odejść?

Lucette zagryzła usta, nie rzekła jednak nic, poznawszy, że się poddać musi. Mogła, oczywiście krzyknąć, ale pani Remsen z Dorą wyszły jeszcze przed Emilją, tak że była z Mitchelem sama w mieszkaniu. Mogła, co prawda, zwrócić uwagę zarządcy domu i przechodniów i w tej myśli spojrzała w okno, ale Mitchel odgadł to niezwłocznie.

— Lucette, — rzekł — nie próbuj krzyknąć, inaczej byłbym zmuszony zakneblować cię, a byłoby to niewygodne na przeciąg dwu godzin.

— Proszę mi powiedzieć, z jakiego powodu zatrzymujesz mnie pan? — spytała po chwili.

— Myślę, że to już powiedział. Prostu nie chcę, byś załatwiła ów mały sprawunek.

— Nie rozumiem.

— O, rozumiesz doskonale, droga Lucette. Nie jesteś tak głupia. Ano panienko, trzeba się pogodzić z koniecznością i rozgościć się tutaj aż do południa. Jeśli chcesz czytać, proszę dziennik. Zawiera nader ciekawe szczegóły o morderstwie, wiesz przecież, owej damy, która mieszkała w tym domu. Czy śledziłaś przebieg tej sprawy?

— Nie! — rzekła oschle.

— Dziwna rzecz! Wydawałoby się, że właśnie rzeczy takie interesować cię muszą bardzo.

— Nic a nic.

Przez cały czas następny nie zamienili ze sobą słowa. Mitchel siedział w głębokim fotelu, patrząc na dziewczynę tak, że pełna wściekłości wbiła oczy w ścianę przeciwległą. Wkońcu wybiła dwunasta i Lucette skoczyła na równe nogi.

— Czy mogę już odejść?

— Tak, Lucette, możesz już odejść, by załatwić swój mały sprawunek, oczywiście, o ile jeszcze nie zapóźno. Ale prawda... Miss Remsen poleciła zawiadomić cię, że nie potrzebuje już twych usług.

— To znaczy, że jestem odprawiona?

— Nie zupełnie... tylko nie potrzebuje już usług twoich. Widzisz, drogie dziecko, wchodzisz nazbyt cicho do pokoju. Miss Remsen doznaje przestachu spostrzegając cię nagle... ot i tyle.

— Jesteś pan szatanem! — krzyknęła Lucette z pasją, wybiegając drzwiami, które tymczasem Mitchel otwarł.

— Nie omyliłem się! — mruknął, patrząc za nią z uśmiechem.

Lucette pospieszyła do najbliższego urzędu telegraficznego i nakreśliwszy parę słów, wysłała przez umyślnego posłańca. Potem udała się na Madison Square, gdzie czekała w fatalnym nastroju. Wkońcu ukazał się Barnes, a dziewczyna podeszła doń żywo.

— Cóż nowego? — spytał wzburzony. — Dlaczego jesteś tutaj?

— Zostałam odprawiona!

— Odprawiona? Z jakiego powodu?

— Nie wiem. Ale sprawił to ten szatan Mitchel. Trzymał mnie dziś przed południem zamkniętą na klucz, potem zaś oświadczył, że Miss Remsen rezygnuje z usług moich. O, radabym była wydrapać mu oczy!

Potem opowiedziała detektywowi wszystko, kończąc w ten sposób:

— Z tego, co podsłuchałam wczoraj wieczór, wnoszę, że zwierzył się narzeczonej, prosząc o jej pomoc. W chwili, gdy miał właśnie powiedzieć, co ma uczynić, zobaczył mnie i urwał. Sądzę, że idzie o tę dziewczynkę.

— Przebóg! Masz może rację. Wychodziłem właśnie z domu, gdy mi doręczono depeszę twoją. Pod pozorem umieszczenia dziecka, byłem dziś rano w pensjonacie, pytając mimochodem, czy niema tam także córeczki przyjaciela mego, Mitchela. Przełożona powiedziała mi, że Róża Mitchel opuściła zakład zaledwo przed dziesięciu minutami. Matka zabrała ją dorożką. Podczas kiedy byłam zamkniętą w jadalni przez Mitchela, Miss Remsen wprowadziła dziecko.

— Ależ Miss Remsen nie jest jej matką!

— A to zakuta pałka! Przez całe życie będziesz fuszerować. Pokazałaś się Mitchelowi w wagonie kolei nadziemnej i oto są skutki twojej rzekomej chytrkości.

— Przecież nie poznał mnie?

— Właśnie że poznał. Byłem głupcem, powierzając dziewczynie rzecz tak ważną.

— Tak? Dziewczyna nie jest głupią, jak pan sądzisz może. Odzyskałam guzik.

— To dobrze. Jakżeś tego dokazała, Miss?

— Wczoraj wieczór, gdy wszyscy poszli do teatru, przetrząsnęłam drobiazgi Miss Remsen, aż go znalazłam w szkatułce z klejnotami. Proszę, oto jest.

Podawa Barnesowi guzik, — było to dlań małą pociechą.

— Czy Mitchel złożył w ostatnich dniach podarek narzeczonej?

— Tak, wczoraj wieczór wspaniały rubin.

— Jak oprawiony?

— Jako szpilka do włosów.

— Dobrze. Narazie nie mam dla ciebie Miss żadnych zleceń. Proszę iść do domu i milczeć. Dostę narobiłaś złego.

— Szkaradny człowiek z pana, Mr. Barnes! Czyż nie miałam mnóstwo sukcesów?

— Tak, przyznając sukcesy, ale proszę nie zapominać, że jedno niepowodzenie niweczy dużo pomyślnych przedsięwzięć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. DZIENNIK DETEKTYWA

Rankiem w dzień noworoczny siedział Barnes w przytulnym mieszkaniu swoim, studując gorliwie zapiski.

W sposób zręczny odkrył istnienie młodej dziewczynki, Róży Mitchel, uchodzącej za córkę Roberta Leroy Mitchela. Potem dziewczynkę tę ukryto w sposób równie zręczny, tak że zatracił ślad. Barnes postanowił trzymać Mitchela na oku, by, o ile nie popełnił jeszcze zbrodni zakładowej, uniemożliwić mu jej wykonanie i schwytać na uczynku. Barnes upatrywał w tem obecnie coś więcej, niż swój obowiązek zawodowy. Przy każdej sposobności człowiek ten krzyżował jego plany i to wzmocniło jego decyzję niedopuszczenia, by wygrał zakład. To też zastąpił Wilsona dwoma najzręczniejszymi pomocnikami, trzeci zaś miał pilnować Miss Remsen, przez którą miał nadzieję odnaleźć ślad dziewczynki.

Ponieważ był to właśnie 1. stycznia, czyli ostatni termin popełnienia przez Mitchela zbrodni... o ile jej już nie dokonał, chciał Barnes, na podstawie relacji szpiegów, utrwalić sobie w pamięci wszystko co było, byle uniknąć omyłki.

15. *grudnia*: Mitchel rano z godziny w hotelu Hoffmana. Wyszedł w towarzystwie Thaurera, z którym spożył śniadanie u Delmonika. Rozstali się o drugiej. Mitchel poszedł do stajni wynajmu, wziął konia i wózek, poczem ruszył na ulicę trzydziestą. S...

— Miss Remsen niewidzialna przez całe rano. O wpół do trzeciej przybył wózkiem Mitchel. Wziąłem dorożkę i śledziłem, sądząc że chcą odwiedzić dziewczynkę. Ale odbyli tylko przejażdżkę. Mitchel został u Remsenów do dziesiątej, poczem wrócił do siebie. W...

16. *grudnia*. M. rano w klubie, popołudniu w hotelu, wieczór u Remsenów. S...

17. *grudnia*. M. jak wczoraj, tylko popołudniu wizyta u Thaurera, który zabawił godzinę. S...

18. *grudnia*. M. rano razem z Thaurerem, wieczór wraz z nim w klubie. Przekupiwszy portjera dostałem się tam jako kelner. M. i Th. grali wista jako partnerzy. Przegrana. Wrócili do domu razem. S...

19. *grudnia*. M. i Th. grali przez całe przedpołudnie w klubie w pokera. Przegrana. Brało udział czterech jeszcze. Jeden z nich, który wygrał najwięcej, był niezaprzeczalnie partnerem Thaurera onego wieczoru, kiedy to Randolph powziął podejrzenie, że gra fałszywie. Rysopis jego zgodny z człowiekiem, który zostawił klejnoty w gospodzie w New Hawen. Nazwisko Adrijan Fisher. Wieczór M. i Th. z Remsenami w teatrze. S...

20. *grudnia*. M. rano w domu, popołudniu pojechał z Th. na spacer. Śledziłem ich. Wyszli pod restauracją parkową, gdzie wypili flaszkę wina, rozmawiając bardzo poważnie. Widziałem jak M. wręczył Th. rulon pieniędzy. Wieczór grali w wista, jako partnerzy w klubie. Przegrana.

21. *grudnia*. Wedle zlecenia, zasięgnąłem informacji o Fisherze. Z dobrej rodziny, ale biedny. Jest członkiem dwu wytwornych klubów. Gra wysoko. Żyje, zda się, na koszt przyjaciół. Żadnych krewnych, prócz sparaliżowanej siostry, którą bardzo kocha. Zagadkowe, jak ją może utrzymywać na wysokiej stopie. Przez niego został Th. wprowadzony do klubu. Od 1. do 4. grudnia nie było go w Nowym Jorku. G...

Doszedłszy do tego miejsca, odłożył Barnes notatnik i jął rozmyślać. Czy ten Fisher jest narzędziem Thaurera? Nie ma środków do życia, a jest graczem, pochodzi z dobrej rodziny i ma siostrę, którą utrzymywać musi odpowiednio do pochodzenia. Czy może Thaurer skłonił go do gry, by na spółkę oskubywać innych członków klubu? Tak to niemal wygląda. Skądże też owa nagła zażyłość z Mitchelem. A może nie powstała tak nagle jak się wydaje? Czy Fisher jest owym człowiekiem, który wziął torebkę od jednego z tych dwu ludzi, a potem zaniósł do New Hawen? Właśnie tego dnia był nieobecny w mieście. Czemuż atoli porzucił torebkę? Toby objaśniało, dlaczego Thaurer wysiadł w Stamford, może z zamiarem spotkania się w New Hawen ze współnikiem swoim, podczas gdy Fisher dał tymczasem za wygraną i wrócił do Nowego Jorku. Plany Thaurera zostały pokrzyżowane... Ale któż u licha zamordował tę kobietę.

Jał czytać dalej.

22. *grudnia*. M. zabrał Miss R. o jedenastej i udali się oboje do państwa Van Rawlston w piątej avenue. Tam zabawili około godziny i wyszedłszy, rozłączyli się. M. spożył śniadanie w Hotelu Brunswickim razem z Th. Popołudniu grali obaj w wista ze stratą w klubie. M. zapłacił za obu, biorąc od Th. skrypt dłużny za część jego. Także Randolph brał udział w grze. Stosunek pomiędzy nim, a M. jest coraz to chłodniejszy. Pomędzy R. i Th. nie zdaje się także panować przyjaźń. Wieczór wszyscy troje w teatrze, w loży Remsenów. S...

Miss R. była rano u państwa Van Rawlstonów, potem złożyła wizyty wybitnym damom towarzystwa. Coś się kroi. Przyszło mi na myśl, że dziewczynka może być u Rawlstonów. Poleciałem tedy popołudniu R., by obserwował młodą damę i miałem rozmowę z policjantem okręgu. Zna on dzieci Rawlstonów i da sprawozdanie. Damy wieczór w operze. W...

Van Rawlstonowie mają troje dzieci poniżej lat 14, z czego jedną tylko dziewczynkę, najmłodszą. Miss Remsen przybyła dziś, prosząc Mrs. Van Rawlston, by zezwoliła

pewnemu towarzystwu, do którego się zalicza, urządzić w domu swoim festyn w wieczór Nowego Roku. Policjant nr. 1666.

23. *grudnia*. M. i Th. byli dzisiaj w wypożyczalni kostjumów. Wszedłem potem, po-
dałem się za przyjaciela M., mówiąc że chcę mieć kostjum na ten sam obchód. Wyszło
na jaw, iż w dniu noworocznym będzie maskarada. M. zamówił kostjum Ali Baby. Th.
nic. Nie weźmie udziału. Zamówiłem kostjum Aladyna, ale mogę odwołać, jeśli pan iść
nie zechce. Popołudniu i wieczór M. i Th. w klubie, przegrali w wista. S...

Zapoznałem się ze służącą domu ulicy trzydziestej. Oświadczyła, że będzie to maska-
rada. Wszystkie osoby z „Tysiąca i Jednej Nocy”. Miss Emilja wystąpi jako Szecherezada.
W...

Barnes obrócił kilka kartek, nie zawierających nic ważnego, potem czytał dalej:

30. *grudnia*. M. wrócił do hotelu i wsiadł w pociąg idący do Filadelfji. Pojechałem,
oczywiście, tym samym pociągiem. S...

31. *grudnia*. Telegram z Filadelfji. Mitchel Hotel Lafayette chory, w łóżku. Wzywał
lekarza. Telegrafował do Miss R., że nie może wziąć udziału w jutrzejszym obchodzie
wieczornym. S...

W wypożyczalni podjął Th. kostjum Ali Baby, na podstawie listu M., jaki otrzymał
z Filadelfji.

Drogi przyjacielu!

Zachorowałem nagle, lecz proszę, nie mów Remsenom, że jest to rzecz
dość poważna. Zrób mi przysługę i weź udział w obchodzie. Dołączam zapro-
szenie, oraz list do Mr. Van Rawlston, który cię wprowadzi. Weź, proszę,
mój kostjum z wypożyczalni, na podstawie tego listu. Wiem, że miałeś za-
miar dziś opuścić Nowy Jork, sądzę jednak, że z przyjaźni dla mnie zmienisz
plan, by Miss Remsen nie była osamotniona. Wystąpi jako Szecherezada.

Twój oddany

Mitchel.

W wypożyczalni wydano mi ten list, gdym powiedział, że jestem detektywem, tro-
piącym zbrodnię. G...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. ALI BABA I CZTERDZIESTU ROZ- BÓJNIKÓW

Dokończywszy czytania, pospieszył Barnes do domu Van Rawlston, zażądał widzenia się
z nim i został wpuszczony do pracowni.

— Mr. Van Rawlston — rzekł — jestem detektywem i proszę zezwolić, bym wziął
udział w maskaradzie tego wieczoru. Rozumiem, że dziwi pana żądanie moje, ale dzieje
się to w interesie pańskim.

— Przystanę może, jeśli pan bliżej rzecz objaśni, na spełnienie życzenia pańskiego.

— Wiadomo panu, że maskarada to zabawa niebezpieczna, gdyż wśliznąć się mo-
gą ludzie rozmaici! — rzekł Barnes. — Mam powód przypuszczać, że wielka zbrodnia
planowana jest na ten wieczór właśnie.

— To niemożliwe, szanowny panie. Wstęp mają sami tylko znajomi, a każdy musi
się przy wejściu demaskować. Mimo wdzięczności za ostrzeżenie pańskie sądzę, że nie
skorzystam z usług jego.

— Mr. Van Rawlston! Złodziej może się zakraść i tak. Wiadomo z doświadczenia, że
z biegiem czasu słabnie czujność służby w takich razach. Poza tem zareczam, że mam coś
więcej niż samo przypuszczenie. Od całych już tygodni śledzę pewne podejrzane osobniki
i wiem, że zamówiły kostjumy, dostosowane do tematu dzisiejszej maskarady. Jestem
pewny, że plany ich dojrzały do wykonania, a także iż w razie nieobecności mojej jeden
z gości pańskich zostanie okradziony. Może nawet i ja sam nie zdołam temu przeszkodzić.

— A jednak, — odrzekł Van Rawlston — wydaje mi się niemożliwością, gdyż jak
powiedziałem, nikt bez mego zezwolenia wejść nie może.

— Nie chcę się panu, oczywiście, narzucać, ale jeśli będziesz pan zmuszony jutro rano wzywać policji, proszę samemu sobie przypisać winę. Złodzieje zyskają na czasie i z pościgu nie będzie nic. Ostrzegłem, a teraz żegnam szanownego pana uprzejmie.

Barnes wstał do odejścia, ale van Rawlston zatrzymał go.

— Przepraszam, — rzekł — jeśli pan jest tak pewnym swego, byłoby nieroztropnie odrzucać pomoc pańską. Cóż tedy czynić? Odłożyć maskaradę?

— Pod żadnym warunkiem! Proszę wszystko, co powiedziałem zachować w tajemnicy, a o ile możliwe, zapomnij pan o tem sam, by zachowaniem nie zwracać uwagi złodzieja. Proszę dać zezwolenie, bym przyszedł, a ponieważ znam ptaszka, przeto nie stracę go z oczu.

— Niema, widzę, innej rady. Ale musisz pan być w kostjumie... Doskonale... urządzający maskaradę przysposobili pewną ilość przebrań dla tych gości, którzyby przybyli bez kostjumu. Proszę wziąć jeden z nich.

— Jakież to kostjum?

— Wszystkie jednakowe... czterdziestu rozbójników.

— Dziwne kostjумы! — wykrzyknął Barnes zaskoczony.

— Pan Mitchel wpadł na ten pomysł, twierdząc że rozbójnicy będą wyglądali lepiej, niż nudne domina, płaczące się pośród orjentalów.

— Dobrze, Mr. Rawlston! Tedy detektyw przybierze tym razem postać rozbójnika.

— Mr. Barnes, proszę przybyć wcześniej, byś był ubrany, zanim zaczną napływać goście. Na wypadek, gdyby panu wypadło mi coś powiedzieć, zawiadamiam, że będę odgrywał rolę sultana.

Barnes odszedł bardzo zadowolony z wyniku wizyty, gdyż dowiedział się niejednego. Mitchel zamówił czterdzieści jednakich kostjumów dla czterdziestu osób. Jeśli miał w tem jakiś zamiar, dobrze będzie jeśli wśród nich znajdzie się detektyw. Było to dlań tem ważniejsze, że poznawszy już w całej pełni chytrą Mitchela, nie wątpił niemal, iż tenże wie o jego kostjumie Aladyna. Tedy nieobecność jego musiała stropić spiskowców. Detektyw nabral bowiem przekonania, iż w rzeczach planowanych na ten wieczór wzięć miała większa ilość osób.

Okolo dziewiątej jęły zajeżdzać maski pod dom Mr. Van Rawlstona, który włożył frak dla przyjęcia gości, przybranych w długie, czarne płaszcze, zakrywające kostjумы. Przybyły wcześniej Barnes, w kostjumie rozbójnika, stał w przedsionku, gdzie mógł badać twarze gości, zdejmujących wobec gospodarza na chwilę maski. Pośród pierwszych byli Remsenowie w towarzystwie Randolpha, a zaraz potem przybył Thuret i podał Van Rawlstonowi list. Po przeczytaniu uściśnął gospodarz serdecznie dłoń gościa, ale nagle twarz jego przybrała wyraz niedowierzania i spojrzął na Barnesa, który jednak odwrócił się, nie bacząc na to nieme pytanie. Thuret był mu nieznany osobiście i wspomniawszy ostrzeżenie detektывa. Jął podejrzewać, że list może być podrobiony. Barnes obawiał się, że da temu wyraz w słowach i wszystko popsuje. To też było dlań wielką ulgą, gdy Miss Remsen podeszła do Thureta.

— Cóż słyhać z panem Mr. Thuret? — rzekła. — Rada jestem żeś się pan zdecydował przybyć. Mr. Van Rawlston, Mr. Thuret jest przyjacielem mego narzeczonego.

To uspokoiło w pełni gospodarza.

Thuret był bez kostjumu, ale miał w ręku małą torebkę i został wprowadzony przez służącego do garderoby męskiej. Nie chcąc budzić podejrzania, nie udał się tam za nim Barnes, ale stanął blisko drzwi. Niedługo wyszedł mężczyzna przebrany za Ali Babę, a detektyw ruszył za nim.

Komnaty urządzone były z przepychem orjentalnym. Salon główny przedstawiał wnętrze pałacu sultańskiego, mniejszy salonik przemieniono w jaskinię Aladyna i urządzono odpowiednio.

Zanim jeszcze zebrali się wszyscy goście rozpoczęto tańce, a Barnes, mając ciągle Ali Babę na oku, włóczył się pomiędzy parami. W chwili gdy wszedł sultan z Szecherezadą, podszedł do nich zaraz Ali Baba i jął z nią tańczyć. Stojąc w kącie, wodził spojrzeniem za tą parą, gdy nagle uczył dotknięcie i ujrzał przed sobą człowieka, jak on ubranego.

— Musimy być ostrożni, — rzekła maska — by Ali Baba nie podchwycił hasła: Szam!

— Nie rozumiem pana! — odparł Barnes.

Tamten spojrział nań bystro przez maskę, potem zaś odszedł bez słowa.

Barnes zdumiał się i pożałował swej szczerzej nazbyt odpowiedzi. Radby był także posłyszeć ten głos, ale zaskoczony nagle stracił na moment panowanie nad sobą. Wydało mu się, że zna ten głos i wysilał pamięć by sobie przypomnieć. Nagle błysnęła mu myśl.

— Gdyby nie to, że Mitchel leży chory w Filadelfji, założyłbym się, iż to on był.

Pod tem wrażeniem jął iść za maską, zmierzającą przez salon do wyjścia. Ale w progu spotkał co najmniej tuzin tak samo ubranych postaci. Mimo bacznej obserwacji, nie mógł rozpoznać człowieka, który go zagadnął przed chwilą i postanowił rzecz zawierzyć przypadkowi, sądząc że nań natrafi.

— Sezam! — szepnął, podchodząc do jednego z nich.

— Se... co? Cóż to znaczy? — spytał jakiś głos obcy.

— Czyż pan nie znasz hasła naszego? — spytał detektyw.

— Hasła? Nonsens! wszakże nie jesteśmy rozbójnikami naprawdę! — rzekł zapytany, roześmiał się i odszedł.

Barnes tedy nie uzyskał nic, a jednocześnie przyszło mu na myśl, że stracił z oczu Ali Babę, dążąc za tym błędnym ognikiem. Wrócił co prędzej do sali i odnalazł rychło poszukiwanego, już bez Szecherezady.

Okolo jedenastej, głos trąby oznajmił rozpoczęcie widowiska. Sułtan i Szecherezada zajęli miejsce na dywanie, a reszta zebranych stłoczyła się w jaskini Aladyna, której wejście przysłoniono ciężką portjerą. Przedstawienie polegało na tem, że Szecherezada oddeklamowała kilka opowiadań z „Tysiąca i Jednej Nocy”, ilustrowanych żywymi obrazami, których scenę stanowiła jaskinia Aladyna. Tylne jej tło z błękitnej firanki przepięknie rysowało grupy, a aktorzy, czekający swej kolei, stali poza portjerą frontową.

Gdy sułtan i Szecherezada zajęli miejsca na dywanie, zgasło światło elektryczne w salonie — pałacu sułtana, tak że tylko ze sceny padał nikły snop promieni. Zaglądając przez rozstęp w portjerze, podczas obrazu pierwszego, ujrzał Barnes we włosach Szecherezady, siedzącej na poduszce u stóp sułtańskich wspaniale lśniący, ogromny rubin i rozpoznał w nim natychmiast kamień, który mu pokazywał Mitchel.

Po zakończeniu pierwszej bajki, przeszli jej aktorzy, w uroczystym pochodzie do sali głównej i podniósłszy nad głową ramiona, oddali sułtanowi głęboki salaam. Potem zostawali jako widzowie w sali, która się napełniała z wolna.

Na zakończenie zaprodukowano baśń o *Alibabie i czterdziestu rozbójnikach*. W obrazie ostatnim wystąpili także rozbójnicy, w dość luźnym ugrupowaniu, tak że Barnes mógł zostać w pobliżu Ali Baby. Gdy się uszeregowali do pochodu, celem złożenia salaamu, usiłował iść tuż za Ali Babą, zauważył atoli, ze zdziwieniem, że dwaj jeszcze inni rozbójnicy cisnęli się na jego miejsce. Małe, spowodowane przez to zamieszanie skończyło się w ten sposób, iż szedł pomiędzy obu współzawodnikami, tuż za przywódcą.

Chcąc zrozumieć należyte to co nastąpiło dalej, wspomnieć trzeba, że salon pałacowy był zlekka tylko oświetlony lampami sceny, co ledwo pozwalało rozróżnić kobietę od mężczyzny. Sułtan i Szecherezada, z miejsc swych, patrzyli na jasne, żywe obrazy w jaskini, to też doznali chwilowego olśnienia.

Ali Baba, na czele czterdziestu rozbójników kroczył wprost ku dywanowi. Dotarłszy tu, złożył salaam i usunął się na bok, w ciemny zakątek sali. Potem nadszedł, tuż przed Barnesem krocząc, pierwszy z rozbójników, czyniąc salaam w sposób opisany. Podczas tego powstał lekki szmer, który zwrócił uwagę detektywa, tak że się obrócił. Ułamek sekundy zaledwo nie patrzył na danego osobnika, gdy zaś wrócił doń oczyma, spostrzegł, że uczyniwszy z wyciągniętymi ramionami salaam, człowiek ten sięgnął do włosów Miss Remsen, która spuściła głowę, może olśniona jasnością sceny i najspokojniej, powoli wyciągnął z jej włosów szpilkę rubinową. W tej chwili wybiła północ, a jednocześnie umysł detektywa przelśniła pewna myśl. Z pierwszym uderzeniem minął termin, jaki sobie wymówił Mitchel dla popełnienia zbrodni. Barnes miał teraz wrażenie, iż rozbójnik, który go zagadnął, mówił tonem Mitchela, przybyłego tu w nadziei dokonania kradzieży. Thaurer musiał być jego pomocnikiem, podczas gdy Mitchel stworzył sobie alibi przez rzekomą chorobę w Filadelfji. Widocznie Mitchel, uszedłszy baczności pilnujących go szpiegów, wrócił do Nowego Jorku i przebrany w jeden z przygotowanych kostjumów popełnił zbrodnię w ostatniej minucie terminu, jaki mu przysługiwał. Kradzież ta musiała wzbudzić wielką sensację, on zaś, nawet w razie udowodnienia, nie poniósłby kary, gdyż

narzeczona oświadczyła, naturalnie, że była w porozumieniu, dla ułatwienia wygrania zakładu. Tak być nawet musiało, gdyż nie ruszyła się, podczas gdy jej wyciągano rubin z włosów. Wszystko to przemknęło Barnesowi przez myśl w ciągu sekundy i gdy złodziej, wyprostowawszy się ukrył klejnot, wiedział już co ma czynić dalej.

Człowiek, stojący przed nim, zwrócił się, jak inni w bok, a Barnes chciał za nim skoczyć i schwytać. Ale ku wielkiemu zdziwieniu uczuł się przytrzymanym ztyłu. Czynił wprawdzie próby oswobodzenia się, ale zaskoczony tem, był bezsilny i wściekły, a złodziej znikł tymczasem w ciemności.

— Światła! — wykrzyknął, zdecydowany nie puścić go z rąk. — Popelniono tu kradzież!

Nastąpiło ogromne zamieszanie. Goście jęli się cisnąć naprzód, Barnes, otoczony ze wsząd, potknąwszy się o kogoś, upadł razem z nim. Inni, prąży przed siebie, przewalili się przez nich i przez chwilę panował istny chaos, tem więcej że nikt nie pomyślał o nastawianiu światła. Uczynił to dopiero sam Van Rawlston, który zrozumiał co zaszło, ale nagły blask elektryczności pogorszył jeszcze chwilowo sprawę, ćmiąc wszystkich. Przeto straconych zostało, ku wielkiej żałości detektywa, dużo drogocennych minut, zanim rozwikłał się kłęb ludzki.

— Okradziono Miss Remsen! — wykrzyknął nareszcie Barnes. — Nikomu wyjść nie wolno! Zdjąć maski!

Van Rawlston wybiegł by dać rozkaz nie wypuszczania nikogo, a goście otoczyli Miss Remsen, pocieszając ją. Barnes ją szukać Ali Baby i przekonał się z wielkiem zdumieniem, że nie jest nim Thaurer.

— Któż pan jesteś? — spytał szorstko.

— Nazywał się Adrjan Fisher! — odrzekł zapytany, a odpowiedź ta zdziwiła i zadowolniła jednocześnie detektywa, gdyż była potwierdzeniem współnictwa. Nie wdając się jednak w dalszą z nim rozmowę, podążył do Miss Remsen celem obserwowania, jak się zachowuje. Jeśli wiedziała zgóry, grała swą rolę świetnie, wyrzekając na niedołęstwo, które pozwoliło wślizgnąć się złodziejowi.

Podczas gdy Barnes dumiał co ma czynić, ujrzał podchodzących do siebie Van Rawlston i Thaurera.

— Jakże się to stało? Czemużeś pan nie przeszkodził?

— Próbowałem, ale nie powiodło się, niestety. Mr. Van Rawlston, proszę nie zapominać, że nie jestem wszystkowiedzącym. Podejrzywałem kradzież, nie mogłem jednak wiedzieć, jak wykonaną zostanie. W każdym razie byłem świadkiem czynu.

— Czemuż nie przytrzymałeś pan złodzieja?

— Chciałem to uczynić, ale ktoś stojący poza mną szarpnął mnie, potem zaś upadłem.

— Może go pan rozpoznasz po kostjumie?

— Jest to, niestety, wykluczone, był bowiem jednym z czterdziestu rozbójników i dobrze, zaiste, odegrał rolę swoją.

— To jest pan Barnes? — spytał Thaurer. — Ach, miałem już dwa razy zaszczyt spotkania pana. Powiadasz pan, że złodziej miał kostjum rozbójnika? Interesuje mnie to, gdyż mam taki sam kostjum. Czemu nie każesz pan zrewidować wszystkich obecnych?

— Mowy być nie może o tego rodzaju obrażaniu gości moich. Nie zezwolę w domu swym na rewizję. Wolę raczej zapłacić za rubin.

— Zupełna racja! — potwierdził Barnes, patrząc ostro na Thaurera. — Jestem pewny, że nie dałoby to żadnego wyniku.

— Wola pańska! — rzekł Thaurer, uśmiechnął się drwiąco i złożywszy ukłon odszedł do grupy Miss Remsen. Zostawszy sam z Van Rawlstonem, oświadczył mu Barnes, że nie ma potrzeby zostawać dłużej i pożegnał go. Ale nie wyszedł przed upewnieniem się, czy Mitchel jest jeszcze. Chłopiec, postawiony przy bramie na straży, pobiegł patrzeć na żywe obrazy, tak że niesposób było stwierdzić, czy ktoś opuścił dom, czy nie.

— Ten Mitchel, — myślał, zmierzając szybko do domu — to prawdziwy artysta. Cóż za zimna krew! Czeka do ostatniej minuty terminu, dokonywa rzeczy tak, że może zaświadczyć mnóstwo osób, iż czyn spełniony został w czasie oznaczonym. Przytem postarał się o wymyślenie alibi. Chory w Filadelfji! Ba... Trudno dziś zaufać komuś!

W biurze zastał pomocnika, który pojechał za Mitchelem do Filadelfji.

— No? — rzekł gniewnie. — Cóż pan to robisz?

— Pewny jestem, że Mitchel wrócił do Nowego Jorku i pospieszyłem w nadziei, że zdołam go jeszcze dopaść, albo przynajmniej ostrzec pana.

— Za późno przyszło ostrzeżenie. Zło stało się już. Nie mogłeś pan telegrafować?

— Uczyniłem to bezpośrednio przed odjazdem!

Istotnie, na biurku leżała nie otwarta depesza, która nadeszła już po pójściu Barnes'a na maskaradę.

— Ano... — rzekł detektyw. — Nie jest to pańską winą! Ten drab ma djabelskie szczęście! W jakim sposobie wpadłeś pan na myśl, że wrócił do Nowego Jorku? Wszakże był chory?

— Podejrzałem, że idzie tu wyłącznie o alibi. Aby być pewnym stanąłem w tym samym hotelu i poprosiłem o pokój w pobliżu przyjaciela mego, Mitchela. Dano mi sąsiedni, otwarłem drzwi, wszedłem i zastałem pokój pusty. Ptaszek uleciał.

— Wracajże pan najbliższym pociągiem do Filadelfji i uczyni co się da by wymiarować, kiedy wróci. Napewno wyjechał i będzie jutro leżał w łóżku... albo nie jestem Barnes. Przywieź mi pan dowody, a zapłacę pięćdziesiąt dolarów. Prędko!

ROZDZIAŁ JEDENASTY. BARNES OTRZYMUJE KILKA LISTÓW

Dnia 3 stycznia rano, otrzymał Barnes kilka listów, związanych z opowieścią niniejszą. Pierwszy, jaki otwarł był krótki:

— Jeśli Mr. Barnes będzie łaskaw jak najspieszniej przybyć, zobowiąże wielce Emilję Remsen.

Odczytał to dwa razy, poczem wziął list następny:

Łaskawy Panie!

Pozwalam sobie przypomnieć rozmowę, jaką mieliśmy przed miesiącem, mniej więcej. Bardzo żałuję teraz słów moich ówczesnych, które wskazywały na to, że przyjaciel mój Mitchel brał udział w kradzieży kolejowej. Jak Panu wiadomo, skradziono Miss Remsen cenny rubin i jest mi rzeczą jasną, że przyjaciel mój to urządził. Wiem, co prawda, że leży chory w Filadelfji, ale może to być pozór tylko. Czyż trudno przyjechać, zabrać szpilkę i tej samej jeszcze nocy wrócić. Niewinna to zgoła kradzież, zwłaszcza jeśli nastąpiła w porozumieniu z narzeczoną. W zakładzie dozwolone są wszelkie środki. Proszę, zechciej pan dostarczyć mi dowody, że Mitchel popełnił ten delikt. Chcę wygrać zakład, ale o pieniądze mi nie idzie. Choćbym miał wydać całe tysiąc dolarów, nie straciłbym nic, pod warunkiem pochwycenie Mitchela w ciągu roku. Pozatem triumf mój wartby był tej kwoty. Załączam czek na pięćset dolarów, jako rodzaj zaliczki, a jeśli Pan potrzebuje więcej, bank wypłaci resztę, do wysokości tysiąca. Przy sposobności zaznaczam, że podejrzenie moje co do Mr. Thauret uważam za niesłuszne. Nie mogę dlań powziąć sympatji i jest mi wprost niemiły, ale sprawiedliwość wymaga, bym cofnął przedwczesne oskarżenie. Jeszcze jedno. Powiedziałem panu wówczas, że nie znam jego partnera. W międzyczasie poznałem go. Jest to człowiek biedny, ale zupełnie uczciwy i wyższy ponad wszelkie podejrzenie. Zwie się Adrjan Fisher.

W nadziei, że dopomoże mi pan do wygrania zakładu, pozostaję z szacunkiem

Artur Randolph.

— Tak, tak... — pomyślał Barnes. — Nawet ten zacny Randolph przeniknął chytry planik Mitchela, chorującego rzekomo w Filadelfji, podczas gdy w Nowym Jorku kradnie narzeczonej klejnoty. Ale przeniknięcie podstępny, a udowodnienie go, to dwie sprawy. Uważa Thaureta i Fishera za uczciwców... hm, zachodzi tu obawa pomyłki.

Trzeci list brzmiał:

Drogi Panie Barnes!

Proszę przebaczyć poufale nazwanie, które tłumaczy wysoki szacunek, jaki dla Pana żywię. Przeczytawszy w tej chwili dzienniki nowojorskie, dowiedziałem się, że skradziono Miss Remsen wartościową, rubinową szpilkę, którą jej niedawno ofiarowałem. Sprawa ta niepokoi mnie w stopniu wysokim, zwłaszcza iż skutkiem choroby nie mogę wracać i będę pewnie zmuszony przez kilka dni jeszcze leżeć w łóżku. Proszę o wielką przysługę. Niech Pan zapomni, że się ujemnie wyrażałem o detektywach i weźmie tę sprawę w ręce. Za odzyskanie klejnotu zapłacę tysiąc dolarów, a w porównaniu do jego wartości jest to wynagrodzenie bardzo liche. Załączam czek dwustu dolarów na pierwsze wydatki, a jeśli Panu potrzeba więcej, proszę donieść. Najprzyjemniej byłoby mi, gdyby Pan był łaskaw przybyć do Filadelfji. Osobista rozmowa uspokoiłaby mnie bardzo i wdzięczny byłbym za to wielce.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku

Robert Leroy Mitchel.

— Hm... — rzekł do siebie detektyw, przeczytawszy list trzy razy. — Bezcelności takiej nie napotkałem w życiu. Proponuje mi tysiąc dolarów za odnalezienie rubinu, który prawdopodobnie ma przy sobie. Jest tak zarozumiała, że się ośmiela drwić ze mnie. A możeby jednak pojechać do Filadelfji? Mała rozmowa będzie dla nas obu równie interesująca. Przedewszystkiem jednak muszę udać się do Miss Remsen, gdzie może zdołam coś pozyskać dla informacji.

Gdy przybył, został niezwłocznie przyjęty.

— Wezwała mnie pani?

— Tak Mr. Barnes! — odrzekła. — Proszę siadać. Przystępując od razu do rzeczy, chciałabym pomówić z panem o zaginionym rubinie. Oczywiście, pragnę go odzyskać. Ofiaruję panu tysiąc dolarów za dokonanie tego.

— Propozycja pani jest spóźniona, Miss Remsen. Otrzymałem od pana Mitchela list z tą samą ofertą, a nie mogę przecież brać dwu honorarjów za jedną funkcję.

— Odmawiasz pan tedy pomocy?

— Przeciwnie! Postaram się z całą usilnością wykryć złodzieja i zwrócić własność, ale nie przyjmę zapłaty. Natomiast poproszę o pomoc pani.

— Uczynię wszystko co trzeba.

— Proszę mi tedy przedewszystkiem powiedzieć, czy nie ma pani podejrzenia jakiegos?

Miss Remsen zawahała się, a detektyw patrzył bacznie w jej twarz.

— Czy czuła pani, że ktoś wyciąga szpilkę z włosów? — spytał, gdy milczała.

— To prawda! — rzekła po chwili. — Ale uświadomiłam sobie wszystko dopiero po niewczasie.

— Czemuż nie stawiała pani oporu, nie wykrzyknęła?

Znowu zawahała się z odpowiedzią.

— Wiem, że masz pan prawo stawiania pytań takich — odparła po chwili, tonem stanowczym — i odpowiem, jeśli na tem panu zależy. Proszę mi przedtem jednak powiedzieć, czy byłoby dobrze wymieniać nazwiska na podstawie bardzo słabych podejrzeń. Miał pomóc, zaszkodziłabym, kierując uwagę pańską w niewłaściwą stronę.

— Taka możliwość istnieje rzeczywiście, Miss Remsen. To też, poprzestanę na doświadczeniu własnym, nie biorąc za podstawę działania tego, co mi pani powie.

— Zgoda! Proszę mi jeszcze przyrzec, że nie będziesz pan wyciągał przedwczesnych wniosków i tropił człowieka, którego wymienię.

— Jestem gotów pójść za wolą pani. Nie wystąpię przeciw danemu osobnikowi, o ile nie będę miał innych dowodów, prócz podejrzeń pani.

— Doskonale! Pytał pan, czy nie mam podejrzenia i dlatego nie stawiałam oporu złodziejowi. Pamiętaj pan, że miałam głowę pochyloną. W pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, czemu szpilka porusza się. Błysło mi, że może zaczepiłam nią o ubranie sultana.

Zaraz atoli jął bić zegar i pomyślałam, że Mr. Mitchel bierze tę szpilkę, by wygrać zakład. Dlatego zachowałam się spokojnie. Czy jest to panu jasne?

— Zupełnie. Wnioskuje stąd, że Mr. Mitchel uprzedził panią zgóry o tem, co czynić zamysła.

— Nie, nie uprzedził mnie i dlatego poprosiłam pana.

— Nie rozumiem.

— Wszakże to jasne. Jak długo sądziłam, że on ma szpilkę, nie robiłam sobie z tego nic. Przeciwnie, nawet chcąc poprzeć zamiar narzeczonego, a także potrosze wprowadzić pana w błąd, udawałam podczas przedstawienia wielkie oburzenie. Wczoraj jednak, po namyśle doszłam do wniosku, że pierwsza myśl moja była błędną i że rubin został skradziony naprawdę. Pewna, że inaczej Mr. Mitchel byłby mnie uprzedził, wezwałam pana.

— Czy pani całkiem pewna, że uprzedziłby panią?

— Bezwzględnie.

— A może go powstrzymała obawa wciągnięcia pani w skandal? Wiadomo, że może być aresztowany i upłynie dużo czasu zanim zdoła dowiedzieć, że był to tylko żart. Nie chciał nazwiska pani dawać w usta gawiedzi.

— O, on mnie zna lepiej! — rzekła z uśmiechem.

— Jakże to mam rozumieć?

— Wie on dobrze, iż niema na świecie nic, czegobym dlań nie uczyniła, skoro już zgodziłam się dać mu samą siebie. Jestem jedną z kobiet, które nie łatwo cofają się, gdy idzie o pomoc dla mężczyzny wybranego.

— Czy znaczy to, że byłaby pani gotowa dzielić jego, wątpliwej jakości sławę i czy on wie o tem?

— Oczywiście. I dlatego mam pewność, że zasięgnąłby mojej pomocy, gdyby miał zamiar wziąć szpilkę.

— Jak to zresztą uczynił już przy innej sposobności!

Detektyw przysposobił zgóry ten cios i ciekaw był skutku. Ale Miss Remsen pozostała zupełnie spokojną.

— Przy jakiej sposobności?

— Gdy pewnego ranka zamknął w tym pokoju służącą, a pani pojechała do pewnego domu, by przeprowadzić małą dziewczynkę gdzieindziej.

— Dokądże to?

Pytanie było dla detektywa bardzo trudne. Zmilczał, ona zaś uśmiechnęła się w sposób, który go zabolął żywo.

— Nie masz pan wcale dowodów na twierdzenie swoje. Przypuszczasz pan tylko, że uczyniłam tak, nie wiesz tego jednak wcale. Miałam tedy rację, wspominając przed chwilą, że samo podejrzenie może łatwo wprowadzić w błąd.

— Możliwe, ale w tym przypadku nie myślę się.

— Dajmy temu pokój i wróćmy do rubinu. Oświadczyłeś pan Mr. Van Rawlstonowi, że wiesz zgóry, iż popełniona zostanie kradzież. Czy znaną była też panu osoba złodzieja?

— Chcąc być z panią całkiem szczerym, miałem przekonanie, że uczynił to pan Mitchel i tak myślę dotąd. Czy mam wstrzymać dochodzenia? Mogę doprowadzić do tego, że przegra zakład.

Barnes zadał to pytanie bardzo chytrze. Gdyby Miss Remsen przyjęła jego propozycję, jasnym byłoby, że sama podejrzewa Mitchela. Chciał w ten sposób poznać jej rzeczywiste zapatrywanie.

— Nie mogę przystać! — odparła. — Znaczyłoby to tyle, co stracić nadzieję odzyskania szpilki. Jestem całkiem pewna, że Mr. Mitchel nie wziął jej. Jeśli się myślę, to popełnił błąd ciężki i odpokutuje za ten brak zaufania. Ale mam przekonanie, że coś wyjdzie na jaw i proszę o dołożenie wszelkich starań w tym kierunku.

— Zaręczam, że uczynię co tylko w mocy mojej! — odrzekł detektyw. — A teraz pożegnaj panią...

Około godziny szóstej tegoż dnia kazał się Barnes zaanonsować u Mitchela w Filadelfji, w hotelu „Lafayette” i wszedł za chwilę do jego pokoju.

— Cieszę się bardzo, Mr. Barnes, żeś się pan raczył fatygować, tak iż gotów jestem nawet przebaczyć doznaną od pana krzywdę.

— Krzywdę? Jaką krzywdę?
— Przypominasz pan sobie pewnie dzień, w którym przybyłeś pan celem pomówienia o znalezionym guziku. Prosił mnie pan wówczas o pokazanie siódmego z garnituru i oświadczyłem gotowość, pod warunkiem, że nie będziesz pan napastował wiadomej damy.

— I cóż?

— Nie dotrzymałeś pan obietnicy.

— Jako?

— Przedewszystkiem przekupiłeś pan służącą, umieszczając na jej miejscu szpiega swojego, którego przemocili pan oczywiście do domu. Skutkiem tego nie mogła przyjąć zpowrotem dawnej służącej i z trudem zaledwo znalazła inną.

— Dając przyrzeczenie, nie mogłem przewidzieć okoliczności, jakie zajdą.

— Słusznie, ale ja to przewidziałem i powiedziałem panu. Przez to przyrzeczenie nie pan nie mogłeś zyskać, a odwiedziny musiały tylko stwierdzić to, com powiedział.

— Bardzo mi przykro i obiecuję, że już nie zgrzeszę.

— Zgrzeszyłeś pan znowu, Mr. Barnes.

— Jako?

— Miss Remsen nie może się ruszyć z domu, nie będąc tropioną przez szpiegów pańskich.

Barnes zagryzł gniewnie usta, wobec tej znajomości wszystkich poczynań swoich.

— Tym razem nie masz pan racji! — rzekł bez wahania. — Przyrzekłem nie napastować Miss Remsen w związku z wiadomą sprawą, atoli śledztwo moje dotyczy czegoś całkiem innego.

— Czegóż to?

— Urowadzenia.

— Urowadzenia? To niesmaczne! Kogóż mogła uprowadzić Miss Remsen?

— Młodą panienkę, Różę Mitchel.

— Cóż to za Róża Mitchel, jeśli łaska? Może córka zamordowanej?

— Może. Badam to właśnie. Dotąd uchodzi jednak za córkę pańską.

— Acha! A możesz pan dowieść, że tak jest?

— Nie mogę.

— Doskonale. Otóż ta Róża Mitchel, uchodząca za córkę moją, została przez Miss Remsen przesiedlona z jednego domu do drugiego. Nie możesz pan tego udowodnić, a gdyby zresztą i tak było, gdzież tu się mieści jakieś uprowadzenie? Poprostu przyszła żona moja zabiera dziecko, będące rzekomo córką moją, z jednego miejsca i umieszcza w drugim.

— Daj pan pokój słowom. Wiadomo panu przecież, że dziecko zostało przemieszczone w pewnym celu, gdyż inaczej nie trzebaby go ukrywać tak starannie. Jeśli Miss Remsen wzięła w tem udział, to najwyraźniej poto, by panu pomóc wprowadzić w błąd detektywa, co jest karygodne. Przeto mamy prawo obserwować ją i wydobywać co się da.

— Dobrze. Nie sprzeciwiam się tedy i życzę dużo przyjemności, ale wiedz pan, że dziewczynkę przesiedlono dlatego tylko, iż szpieg pański Lucette wywęszyła jej miejsce pobytu, ja zaś nie chciałem, by doznawała przykrości.

— Z czegóż to wnioskuje pan z taką pewnością, że Lucette była moim szpiegiem?

— Wyjaśnię to. Pewnego dnia przeszła za mną cały pociąg kolei nadziemnej, chociaż było dość wolnych miejsc i usiadła wprost naprzeciw. Poznawszy w niej zastępczynię służącej Miss Remsen, byłem pewny swego.

— Głupia gęś! To samo jej powiedziałem! — mruknął do siebie detektyw, potem zaś dodał głośno: — Jeśli tedy dobrze zrozumiałem, powiedziałeś pan, że Róża Mitchel jest córką pańską?

— Nie wiem co pan rozumiałeś, wiem tylko, że tego nie powiedział. Wyrzilem się tak samo, zresztą, jak pan, że uchodzi za córkę moją.

— Czyż tedy jest pańską córką?

— Usuwam to pytanie.

— Dlaczego?

— I na to nie dam odpowiedzi.

— Mr. Mitchel, czyż pan nie spostrzega, że ciągle gromadzisz sam podejrzenia przeciw sobie?

— Drogi Mr. Barnes, nic sobie nie robię z wszelkich podejrzeń, jak długo mi nie można niczego dowieść. Jeśli pan sądzisz, że znalazłeś dowody przeciw mnie, proszę o nie, a spróbuję obalić je.

— Dobrze. Prosiłeś mnie pan, bym odkrył złodzieja, który skradł rubin Miss Remsen? Znam go już.

— Naprawdę? Mr. Barnes, jesteś pan geniuszem. Któż to taki?

— Pan sam.

— Głupstwo! Szkoda, że nie masz pan czegoś lepszego. Ja, wszakże, leżę tu od trzech dni w łóżku.

— Tym razem schwyciłem pana Mr. Mitchel. W chwili dokonania kradzieży byłeś pan w Nowym Jorku, wziąłeś udział w maskaradzie i wyjąłeś pan rubin z włosów narzeczonej.

— Zupełna omyłka! Zaręczam, że od 30 grudnia nie wyszedłem z tego pokoju.

— Jakto? Jeden z moich ludzi udał się tu za panem i dnia 1 stycznia dano mu pokój przylegający do pańskiego. Złamałszy zamek drzwi łącznikowych, wszedł i stwierdził pańską nieobecność.

— Nie zła to myśl i człowiek ten zasługuje na uznanie. Czy jednak powiedział panu także, przez jakie wszedł drzwi łącznikowe?

Barnes obejrzał się i spostrzegł ze zdumieniem, że jedyne drzwi pokoju wiodły na kurytarz. To co mówił wysłannik było tedy niemożliwością, ale detektywowi błysnęło nagle rozwiązanie zagadki.

— Zmieniłeś pan pokój. Poprzedni miał numer 234.

— A to jest numer 342, o piętro wyżej. Ale mylisz się pan. Nie zmieniłem pokoju i zaraz wytłumaczę, jak powstała omyłka pomocnika pańskiego. Przybywszy tu, wiedziałem zgóry, żeś pan wysłał za mną któregoś z ludzi swoich, a byłem znużony tem śledztwem. Zapisawszy się dostałem nr. 234, ale pokój nie spodobał mi się. Zażądałem innego, prosząc jednocześnie, by nie zmieniano numeru w księdze hotelowej, mówiąc że mam pewnego, zbyt natrętnego przyjaciela, który znając mój numer, wdarłby się do mnie niezawodnie. Spełnione me życzenie, a gdy wysłaniec pański chciał zamieszkać w pobliżu „przyjaciela swego, Mitchela”, portjer podejrzewając, że jest to właśnie człowiek, którego chcę uniknąć, dał mu numer 233, z czego był bardzo zadowolony, a ja bardziej jeszcze.

Barnes, przekonawszy się, że Mitchel był rzeczywiście chory i kaszlał bardzo, wrócił przygnębiony i rozczarowany do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY. HISTORIA RUBINU

W ciągu najbliższych dwu tygodni zajmowały się dzienniki często sprawą kradzieży rubinu. Drwiono z policji, niezdolnej do przychwycenia złodzieja, a urzędnicy milczeli tajemniczo. Ale zainteresowanie przygasło z wolna, inna jakaś zbrodnia zajęła uwagę ogółu i zapomniano o klejnocie Miss Remsen.

Nie przestał o tem jednak myśleć Barnes. Dumał, dumał, łamał sobie głowę i coraz większą czuł pokusę pojechania do Nowego Orleanu, by jak to czynił już nieraz wobec różnych zagadek, „chwycić za drugi koniec nitki”. Nie miłą mu była konieczność opuszczenia terenu działalności głównych osób, w owych trzech zbrodniach, które miały dlań łączność niezaprzeczną, mimo to jednak zdecydował uczynić pociągnięcie, które niewiele, coprawda, rokując nadziei, kładło przynajmniej kres nieznośnej beczynności. W tym celu napisał list:

Mr. Artur Randolph.

Ponieważ polecił mi Pan dostarczyć dowód, że Mr. Mitchel skradł podczas maskarady wiadomy rubin, przeto liczę na pomoc Pańską. Chciałbym posłuchać opowiadania przyjaciela pańskiego o drogich kamieniach, o czem wspominał Pan, w czasie rozmowy naszej. Niestety, wobec mnie jest on bardzo podejrzliwy. Czyż mógłbym w jakiś sposób, z ukrycia podsłuchać. Może zechce Pan zaznaczyć, nie wyrażając bezpośrednio twierdzenia, że go Pan podejrzewa o kradzież rubinu. Jeśli, co jest niemal pewne, zaprzeczy,

można zapytać, czy klejnot ten posiada historję, zwłaszcza, czy był już skradziony. Ta rozmowa może mi dać cenne wskazówki. Będę bardzo wdzięczny za spełnienie prośby mojej.

oddany

J. Barnes.

W odpowiedzi otrzymał zaproszenie do klubu na wieczór następny.

Mitchel, który wrócił tymczasem do Nowego Jorku, odwiedził dnia tego, popołudniu Thaureta w „Hotelu Hoffmana”.

— Muszę z panem pomówić serjo o kradzieży rubinu! — rzekł mu.

— Słucham z całą uwagą! — odparł Thaurer i zapalił papierosa.

— Dobrze. Chcąc być w pełni zrozumianym, muszę zacząć od naszego układu. Jesteśmy pewnego rodzaju partnerami, czyli mówiąc ściślej spiskowcami. Swego czasu zobowiązałem się dostarczyć środków dla przedsięwzięcia do pewnej kwoty i uczyniłem to, jak sądzę. Niestety, straty nasze były dość poważne, mimo żeś pan mnie zapewniał, iż posiadasz... hm... pewien system, wobec którego straty są wykluczone. Czy tak?

— Doskonale, drogi przyjacielu! Byłeś pan znakomitym cichym współnikiem, zostawiając mi całą swobodę, płacąc i nie pytając, aż dotąd, o nic. Czy chcesz pan powiedzieć, że straty te są niemiłe i że żądasz pan wyjaśnień?

— Tak jest, chcę atoli poruszyć punkt inny jeszcze. Przyrzekłeś mi pan nie wdawać się z Adrjanem Fisherem.

— I cóż?

— Nie dotrzymałeś pan przyrzeczenia. Nie wziąłeś pan także, jak prosiłem na maskaradę kostjumu Ali Baby i dałeś go Adrjanowi Fischerowi. Czemuż to?

— Najprościej będzie, jeśli naprzód wyjaśnię straty, potem zaś dopiero przyjdę do Adrjana. Jak panu może wiadomo, nastawił detektyw Barnes na mnie szpiega, który głównie śledzi czy wygram, czy też przegram. Dlatego uznałem, że lepiej przegrywać.

— Moje pieniądze?

— Nasze pieniądze, gdyż jesteśmy partnerami. Pan poprostu zaliczkuje, aż do chwili nadejścia z Paryża moich weksli, otrzymując wzamian kwity. Jeśli masz pan tego dość, mogę zapłacić zaraz, chociaż, przyznaję, byłoby to dość niewygodne.

— Nie idzie mi o pieniądze. Ale czemuż to uznałeś pan, że lepiej przegrywać?

— Rzecz całkiem prosta. Ponieważ detektyw interesuje się tak bardzo moją wygraną i przegraną, uważa mnie widocznie za fałszerza, a podejrzenie to chcę rozwiać.

— Oczywiście. A teraz powiedz pan co to ma wspólnego z Adrjanem Fisherem?

— Wiadomo panu, że nie miałem zamiaru brać udziału w maskaradzie. Leżąc chory w Filadelfji, prosiłem mnie pan listownie, bym wziął pański kostjum i zrazu chciałem tak uczynić. Ale przed samem udaniem się na zabawę, przyszedł do mnie właściciel wypożyczalni, ostrzegając, że był u niego detektyw i zażądał pokazania listu pańskiego. Stąd nabrałem przekonania, że Barnes będzie na zabawie.

— Słusznie, był tam istotnie.

— Wiem o tem. Dowiedziawszy się, chciałem go trochę powodzić za nos i wziąłem jeden z kostjumów rozbójnickich, ponieważ zaś Ali Baba był niezbędny, poprosiłem Fishera, by przywdział ten kostjum. Oto cała historja.

— Dobrze. To wyjaśnienie zadowalnia mnie zupełnie i racz pan przebaczyć, że pytałem, ale nie mogłem zrozumieć sprawy, a mam prawo wiedzieć wszystko. A teraz radbym wiedzieć, gdzie pan był w chwili dokonania kradzieży? Czy widział pan to?

— Byłem prawdopodobnie gdzieś w pobliżu, ale nie widziałem nic. Barnes krzyknął nagle, że nastąpiła kradzież i kazał zdjąć maski. Za chwilę podszedłem do niego.

— Trzeba było zaproponować zrewidowanie obecnych, jak wtedy, w pociągu.

— Uczyniłem to, ale odmówił. Ówczesny rezultat nie był dlań zgoła ponętny.

Obaj wybuchli wesołym śmiechem, jakby ich radowało niepowodzenie detektywa.

— Zdaje się, Barnes miał podejrzenie, iż rubin zostanie skradziony tego wieczoru i zawiadomił Van Rawlstona o obecności złodziei pośród zaproszonych.

— Doprawdy? Dziwi mnie tedy, że mimo całej chytrłości, nie zdołał schwytać winowajcy.

Znowu roześmiali się obaj, a Mitchel zaproponował, by poszli do klubu. Gdy dotarli na miejsce, zawiadomił odźwierny Mitchela, że jest Randolph i chce się z nim widzieć. Poszli tedy do salonu, a Randolph zbliżył się zaraz.

— Dobry wieczór! Chciałeś mnie widzieć?

— Nic szczególnego. Przybyłem tu na kolację i chciałem mieć towarzystwo. Tyle tylko. Jedzenie, to brzemię ciężkie, możliwe do udźwignięcia tylko w dobrym towarzystwie. Mr. Thauret, czy mogę kazać dać nakrycie także i dla pana?

— Z całą przyjemnością! — odparł.

— Dobrze. Załatwię to. Tymczasem jednak muszę jeszcze napisać parę listów i proszę o chwilkę czasu. Punkt siódma spotkamy się w małej sali.

Randolph wyszedł i udał się schodami na piętro, gdzie nań czekał Barnes.

— Wszystko w porządku! — rzekł mu. — Jest tu Mitchel i ma przy sobie Thaureta. Nie rozumiem, doprawdy, skąd się bierze ta ich zażyłość, ale narazie nic nas to nie obchodzi. Będziemy jedli w małej sali i każe ustawić stół tuż przy portjerze dzielącej salę od dużej. Po drugiej stronie każe nakryć dla pana.

— To dobrze. Będę mógł w ten sposób całą rozmowę słyszeć.

— Doskonale! A więc punkt siódma, zasiadam z moimi gośćmi, a w pięć minut potem zajmiesz pan miejsce swoje.

Spełniono polecenia Randolpha. O siódmej zasiedli do stołu, a w kilka minut potem, brzęk talerzy po drugiej stronie portjery oznajmił, że Barnes został także obsłużony.

— Mam nadzieję, — zaczął Randolph — żeś już zupełnie przyszedł do siebie po owej nieznosnej chorobie, która ci nie dozwoliła wziąć udziału w maskaradzie?

— Dziękuję, jestem już całkiem zdrow. To minęło. Przykro mi tylko, że opuścił zabawę, gdyż zdołałbym może oszczędzić Miss Remsen dotkliwej straty tego klejnotu.

— Możliwe! — podjął Randolph. — Jest to rzecz istotnie bardzo niemiła stracić tak cenny klejnot, ale możesz go z łatwością zastąpić innym. Wszakże nie brak ci drogich kamieni. Bardzo niedawno wyraziłem zapatrywanie, że człowiek, który zbiera klejnoty poto, by je chować przed wszystkimi, jest w swoim rodzaju warjatem. To też dar, jaki uczyniłeś z rubinu Miss Remsen, uradował mnie, jako oznaka poprawy. Masz pewnie podobne i możesz podarować narzeczonej inny.

— Mylisz się, Randolphie. Bardzo trudno jest znaleźć rubin podobny do tamtego.

— Jakto? Czemuż to?

— Tak jest. Ale nie mówmy o tem lepiej.

Zdziwiła Randolpha ta krótka odmowa, bowiem chociaż Mitchel nie lubił pokazywać kamieni swoich, rozwodził się z lubością nad historją każdego.

— Słuchaj! — ciągnął Randolph dalej. — Założę się o co chcesz, że nietylko możesz dać Miss Remsen rubin równej wartości, ale nawet zwrócić ten sam.

— Mam nadzieję, że to kiedyś nastąpi! — odparł Mitchel spokojnie.

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze. Chorobę twą w Filadelfii uważam za pozór tylko. Przyjechawszy potajemnie, sam zabrałeś rubin.

— Doprawdy? Cóż cię naprowadza na tak niesłychane przypuszczenie?

— Sądzę, że w ten sposób masz zamiar wygrać zakład. Nikt inny nie mógł wyciągnąć szpilki z włosów twej narzeczonej, gdyż nikomu nie trzymałaby głowy tak spokojnie.

— Mój drogi, razi mnie, że ciągle wciągasz w rozmowę Miss Remsen, czyniąc z niej nawet współniczkę moją. Przebac, ale nie jest to miła rozmowa dla gości twoich.

— Nie gniewaj się, stary przyjacielu. Nie chciałem cię martwić. Mówmy tedy o czem innym.

Nastąpiło milczenie, a Randolph dumiał w jaki sposób naprowadzić Mitchela na pożądaną temat. Sądził, że jeszcze nie dokazał niczego, atoli Barnes ze słów tych i tonu wyciągnął wniosek, że jakkolwiek rolę odegrał Mitchel, panna Remsen współniczką jego nie była. Był ciekawy, czy rozmowa potoczy się dalej o rubinie i nie byłoby się to pewnie stało, gdyby nie wtrącenie Thaureta.

— Mr. Mitchel, — powiedział — proszę przebaczyć, ale wzmianka pańska o szczególnym tym kamieniu pobudziła tak mą ciekawość, że byłbym niezmiernie wdzięczny za opowiedzenie jego historii, jeśli ją posiada.

— Dobrze! — zgodził się po chwili milczenia. — Niechętnie to robię zazwyczaj, ale uczynię wyjątek dla panów. Historia ta zaczyna się z odnalezieniem Mojżesza, któremu ten rubin podarowała córka Faraona. Drugi kamień, będący jego niejakim duplikatem, a zupełnie podobny, znajdował się w skarbcu Faraona, który go nosił w czasie uroczystości. Wraz z wywędrowaniem żydów, rubin został zabrany i przez wiele wieków dzieje jego nie zawierają nic, co by mogło interesować. Przechowywany w świątyni przez arcykapłana przechodził z pokolenia w pokolenie.

Po upadku Jerozolimy kamień dostał się w ręce Rzymian i był własnością Cezara, który go podarował Kleopatrze, doręczając w sposób niezwykły. Zawiesił klejnot na szyi gołębia, a ptak poleciał do pałacu, gdzie królowa czekała na dachu. Atoli gołąb został napadnięty przez jastrzębia. Kleopatra poleciła jednemu z łuczników zabić napastnika, ale strzała przeszła gołębia, który martwy i krwawy upadł jej pod stopy. Królowa zdjęła z jego szyi kamień, który od krwi przybrał barwę ciemno purpurową.

Zbytecznym jest powtarzać znaną historję Kleopatry. Ale podkreślić trzeba pewne małe zdarzenie. Jeden z kapłanów egipskich zapłonął wielką żądzą do królowej i ośmielił się dnia pewnego wyznać jej miłość swoją. Rozweselona tem kobieta, która widywała królów u stóp swoich, spytała, co jej dać może tak biedny jak on, kapłan. Zrozpaczony ofiarował życie własne. — Życie twe jest i tak własnością moją! — odparła. — Ale wy, kapłani jesteście podobno wszechpotężni. Daj mi tedy wierny duplikat tego o to rubinu, a może cię wysłucham! — Ku wielkiemu zdumieniu królowej, odparł kapłan: — Mógłbym to uczynić, gdybym śmiał. Kamień, który, królowo, posiadasz, wrócił tylko na swe dawne miejsce, gdyż mieścił się pierwotnie w skarbcu Faraona. Był tam także zupełnie wierny duplikat, ale został pochowany z Ramzesem Wielkim! — Przynieś mi go! — rozkazała władczo. Prerażony drżący kapłan poszedł do piramidy i skradł klejnot. Gdy go atoli podał, królowa wpadła w gniew. — Cóżto? Kpisz ze mnie? Czy sądzisz że ten błady kamień jest podobny do mego? — Kapłan odrzekł, że ciemna purpura kamienia powstała dopiero z krwi gołębia — Tak? — rzekła. — A więc i ten zostanie ufarbowany! Ofiarowałeś mi życie, przyjmuję to i w krwi twojej zanurzę kamień, aż nabierze takiej samej barwy! — Wykonała tę pogroźkę i oba klejnoty były odtąd jednakie.

Po śmierci Kleopatry skradła kamienie niewolnica i dostały się do Rzymu, gdzie były znane jako „egipskie klejnoty”. Pominę cały długi szereg kradzieży i morderstw związanych z tem, dość że przez całe wieki nikt się przez te kamienie nie wzbogacił, gdyż sprzedać ich nie było sposobu, aż do czasu kiedy ten oto ja kupiłem w sposób jawny i uczciwy. Każdy posiadacz poprzedni kradł te klejnoty, a nawet mordował, przeto nie mógł się przyznać do własności. Drugą rzeczą szczególną jest, że nigdy nie udało się ukryć tych kamieni tak, by ich nie znaleziono. Przy największej nawet przezorności, zawsze jakiś złodziej kradł je w niedługim czasie.

— Jakież to zajmujące! — wykrzyknął Thuret. Powiedźże pan otwarcie, czy wierzysz na serjo, by kamienie te posiadały tajemną siłę, wiodącą na ich ślad?

— Nie wiem, chociaż tak jest podobno, a wypadki ostatnie zdają się potwierdzać.

— Jakto?

— Zainteresowany zbieraniem dużych klejnotów, udałem się na policję po okradzeniu i zamordowaniu wiadomej Róży Mitchel. Pamiętacie panowie wszakże, iż klejnoty te odnaleziono bardzo szybko i że są w przechowaniu policji. Pozwolono mi obejrzeć je i oto jeden z rubinów tej kolekcji jest niezaprzeczalnie duplikatem mojego.

— Czy pan sądzi, że właśnie obecność tego kamienia spowodowała znalezienie torebki przez policję?

Thuret czekał z napięciem odpowiedzi, ale Mitchel wzruszył tylko ramionami, jednakowoż w sposób taki, że Barnes nabrał przekonania, iż tak sądzi. A może Thuret okazywał tyle zainteresowania dlatego, ponieważ skradł kamienie i słysząc tak dziwne wyjaśnienie odnalezienia, zdziwił się. Ale najbliższe zaraz słowa jego zdały się przeczyć temu.

— Wierz pan sobie, Mr. Mitchel, ja atoli hołduję idejom nowoczesnym i uważam to za przesąd. Jak w wielu razach, przypadkowy spłot okoliczności uważany bywa za dowód siły zaziemskiej samychże kamieni. Zdaje mi się, że wiem o kryjówce, gdzie nie prędko by znaleziono rubin.

— A to ciekawe? — rzekł Mitchel.

— W wypadku, jak ten, gdy przedmiot skradziony jest mały, — objaśniał Thaurer — istnieje jedno tylko miejsce bezpieczne.

— Jakież to miejsce? — spytał Mitchel, zainteresowany tem nagle.

— Złodziej powinienby go mieć przy sobie, gdyż w razie rewizji może skradziony przedmiot wsunąć gdzieś niepostrzeżenie.

— Zupełna racja! — odparł Mitchel z pewnym roztargnieniem, ale opanowawszy się zaraz, dodał: — Ale na czymże stanęłam? Nie mam już wątku rozmowy.

— Pan Thaurer wyraził przypuszczenie, że złodziej mógłby nosić przy sobie skradziony rubin! — poddał Randolph.

— A prawda, prawda, przypominam sobie. Ale postępowanie takie byłoby, zdaniem mojem, trochę zuchwałe. Gdybym ja skradł rubin, jak to nadmieniał, Randolphie, znalazłbym dlań kryjówkę lepszą, zdaje mi się.

— A, to zaczyna być interesujące. Powiedz tedy, gdzie ukryłbyś kamień w razie skradzenia go.

— To pytanie jest podstępne! — odparł Mitchel. — Wolę nań nie odpowiadać. Wiesz dobrze, mój drogi, że ściany mają uszy i to często.

Powiedział te słowa z takim naciskiem, że Randolphowi zrobiło się na chwilę nieswojo.

— Dodam jeszcze tylko, mianowicie, że złodziej, kimkolwiekby był, nie odniesie żadnej korzyści z kradzieży.

— Czemu?

— Poza temi dwoma rubinami niema na świecie innych, równie doskonałych w kolorze. Prawdziwy rubin barwy krwi sprzedanym zostać nie może, gdyż zarazby wyszło na jaw, że go skradziono. Zawiadomilem wszystkich wybitnych handlarzy, że mój „klejnot egipski” zaginął, a nawet na wypadek próby przeszlifowania, szlifiarz poznałby go niezwłocznie i zawiadomił mnie, ponieważ nagroda, jaką wyznaczyłem, przekracza znacznie zarobek szlifierza.

— A gdyby złodziej był sam szlifierzem?

— I w takim razie poznałby po kolorze „klejnot egipski” pierwszy handlarz i wiedziałby, że ma go przed sobą w innym tylko kształcie.

— A może złodziej jest człowiekiem cierpliwym? Wiadomo, że cierpliwością osiąga się wszystko.

— Racja! — przyznał Mitchel. — Proszę jednak pamiętać, com powiedział. Człowiek, który obecnie posiada rubin, sprzedać go nie może.

— Zwłaszcza, jeśli ty sam jesteś tym człowiekiem! — zaśmiał się Randolph.

— Słusznie! — odparł Mitchel z powagą.

Rozmowa zesłała na inne tory i niedługo wszyscy się rozeszli. Barnes miał właśnie opuścić salę, gdy mu służący podał kartkę. Czytając ją, był zdziwiony i gniewny jednocześnie.

— Gdy Mr. Barnes zechce następnym razem podsłuchiwać, niech się rozejrzy ostrożnie, czy niema gdzieś zwierciadła odbijającego drugą stronę portjery, za którą się ukrywa. Mitchel.

— Do stu diabłów! — mruknął. — Radbym wiedzieć, w którym punkcie rozmowy zauważył mnie. Czy przy końcu, wspominając, że zawiadomił wszystkich handlarzy, w celu wpojenia przekonania, że ktoś inny skradł rubin? Ale jeśli tak, to dlaczego zawiadamia, że mnie widział?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. MR. BARNES JEDZIE NA POŁUDNIE

Barnes wszczął dochodzenia co do przeszłości Alfonsa Thaurera. Wyszukał posługacza, który odniósł rzeczy Francuza do hotelu „Hoffmana” i dowiedział się, że Thaurer przybył miesiąc, mniej więcej, przed rabunkiem w pociągu. Dziwna rzecz jednak, nazwiska tego nie było na liście podróżnych, ponieważ zatem co do samego statku wątpliwości nie było, nazwisko Thaurer zostało przybrane, albo Francuz podróżował pod innym. Tak samo na niczem spełży dochodzenia co do Róży Mitchel, chociaż Barnes przeglądał listy wszystkich okrętów przybyłych na dwa miesiące przed morderstwem.

Przypuszczając, że Thauret utrzymuje stosunki z przyjaciółmi zagranicą, zarządził Barnes nadzór nad listami nadchodzącymi dlań, ale i to nie dało wyniku, gdyż zdawało się, że listów wogóle nie otrzymuje. Był dostatecznie zaopatrzony w pieniądze, gdyż rachunki płacił regularnie czekami na pobliski bank, gdzie jak zostało stwierdzone, posiadał kilkanaście tysięcy dolarów do dyspozycji. Po kilku tygodniach musiał tedy Barnes przyznać, że nie wyszedł nic prócz tego, iż Thauret przebył ocean pod innym nazwiskiem. A i to stanowiło jeno przypuszczenie.

Trochę więcej miał powodzenia w wyśledzeniu miejsca pobytu dziecka. Polecił Lucette, by raz jeszcze pojechała do pensjonatu i postarała się w jakiś sposób dostać próbkę pisma małej. Lucette dokazała tego, przekupując służącą. Uzbrojony w stary zeszyt szkolny, przekupił Barnes kelnera hotelu w piątej avenue, który dostarcza lokatorom listy, polecając, by wszystką korespondencję Mitchela porównywał starannie z podaną próbką pisma. Ale dopiero przy końcu marca, cierpliwość jego została nagrodzona i nadszedł list oczekiwany. Stempel pocztowy stwierdzał, że został nadany w East Orange, w New Jersey.

Wezwawszy Lucette, posłał ją do East Orange, przykazując:

— Daję ci oto, panienko, sposobność odzyskania przychylności mojej. Proszę jechać do East Orange i wyśledzić dziecko, gdyż wiem, że się tam znajduje. East Orange, to mała miejscowość, o niewielu domach. Trzeba pilnować każdego. Teraz w drogę, a jeśli dziecka nie będzie, wszystko między nami skończone. Daję to zlecenie po części dla możności naprawienia dawnych błędów, a także dlatego, żeś już małą widziała i poznasz ją.

— Znajdę ją! — przyrzekła Lucette i pojechała.

W tydzień potem był Barnes w Nowym Orleanie, gdzie próbował wyśledzić dawne dzieje Mitchela i zamordowanej. Ale mijał czas, on zaś nie uczynił żadnego postępu.

Pewnego ranka, w końcu kwietnia, siedział w pokoju przygnębiony, trzymając obojętnie dziennik, gdy nagle zobaczył nazwisko swoje i przeczytał co następuje:

— Mr. Barnes, znany detektyw nowojorski, przebywa w naszym mieście i mieszka w hotelu St. Charles. Podobno jest na tropie jakiegoś zdesperowanego zbrodniarza i świat będzie miał niedługo ponowną sposobność podziwiać zręczność znakomitego tropiciela.

Zgniewało to Barnesa i było dlań zgoła tajemnicą, nikomu bowiem nie wymienił prawdziwego nazwiska i nie miał pojęcia, w jaki sposób zwęszyli go reporterzy. Podczas, gdy nad tem dumal, przyniesiono mu kartę wizytową z napisem: Ryszard Sefton. Kazał prosić przybyłego i za chwilę wszedł mężczyzna smagły, czarnowłosy, o przenikliwych oczach.

— Mam sądzę zaszczyt mówić z Mr. Barnesem! — rzekł, kłaniając się uprzejmie.

— Proszę, siadajże pan, panie Sefton! — odparł chłodno. — Proszę mi łaskawie powiedzieć, z jakiego powodu sądzisz pan, że jestem Barnesem, skoro w księdze hotelowej widnieję jako James Morton.

— Nie sądzę, że jesteś pan Mr. Barnes, — odparł, siadając gość, — ale wiem to napewno. Przy powitaniu wyraziłem się nie dość ściśle.

— A więc wiesz pan? Czy mogę spytać skąd?

— Jest to zawodem moim znać ludzi. Jestem, jak pan, detektywem i przybyłem, by panu pomóc.

— By mi pomóc? To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, ale wobec tej wielkiej przenikliwości, zechciej pan, łaskawie powiedzieć, skąd wiesz, że potrzebuję pomocy i w jakim kierunku?

— Z największą przyjemnością. Potrzebujesz pan pomocy... przepraszam za to wyrażenie... gdyż zajmuje pana pewien przypadek, gdzie czas jest drogocenny, a pan zmarnował już około sześciu tygodni, mówię o zmarnowaniu, gdyż brak panu wszelkich potrzebnych danych.

— Potrzebnych danych? Do czegoż to?

— Niebardzo pan uprzejmy, a przecież powinienby nas łączyć pewien stosunek koleżeński. Przybywam jako przyjaciel i chcę naprawdę dopomóc. Od pewnego już czasu wiem, że pan jest w mieście, a o przyczynach tego pobytu słyszałem dużo przedtem. Któż zresztą z zawodu naszego o tem nie słyszał? Dlatego część wolnego czasu obróciłem na śledzenie, by coś wywnioskować z zachowania pańskiego. Wiem teraz, że interesu-

je pana nazwisko Mitchel i nazwisko Leroy. Zestawiwszy poprostu oba, doszedłem do przekonania, że chcesz się pan czegoś dowiedzieć o Leroy Mitchelu. Wszak prawda?

— Mr. Sefton, zanim odpowiem, muszę mieć jakąś gwarancję, że mówię z człowiekiem istotnie życzliwym i odpowiedzialnym. Skądże mam wiedzieć, że pan jest detektywem?

— To prawda! Zupełna racja. Oto mój znaczek urzędowy. Jestem członkiem tutejszej policji kryminalnej.

— Dobrze! Ale jakże dowiedziesz pan, że chcesz mi pomóc?

— Sam pan utrudnia oddanie przysługi. Jakiż inny cel nad chęć pomocy, mógłbym mieć?

— Nie mogę jeszcze teraz odpowiedzieć na to pytanie, ale nastąpi to później może.

— Przekonasz się pan niebawem, że mam dobre zamiary, ale, oczywiście, nie posiadając wcale prawa narzucać się panu i skoro pomoc moja jest niepotrzebna, to...

— Tego wcale nie powiedziałem i proszę mnie nie uważać za niewdzięcznego. Jestem tylko, jako detektyw, z nawyku ostrożny. Nie żądaj pan, bym z człowiekiem, widzianym po raz pierwszy w życiu, od razu rozmawiał poufnie i zwierzał mu się z planów swoich. Inna rzecz z panem. Chcąc mi pomagać, musisz pan mieć jakiś określony projekt, gdyż inaczej nie byłbyś pan przychodził bez wezwania, a w takim razie nie istnieje powód zatajania go przede mną.

— Dobrze. Dla udowodnienia mych uczciwych zamiarów, powiem to. Szukasz pan niejakiego Leroy Mitchela, a jeśli tak jest, to ja mogę powiedzieć, gdzie go pan znajdziesz w ciągu paru godzin, albo w najgorszym razie paru dni.

— Znasz pan więc Leroy Mitchela, który tutaj mieszka?

— Oczywiście. Mieszka opodal w Algiers i pracuje w warsztatach kolejowych. Jedyną przeszkodą odnalezienia go stanowi to, że jest pijakiem. Mając pieniądze, wałęsa się po knajpach i przez kilka dni z rzędu nie przychodzi do roboty.

— Czy znasz pan także pewną kobietę nazwiskiem Róza Mitchel?

— Tak jest. To znaczy, znałem ją dawniej, ale od lat całych znikła z Nowego Orleanu. Swego czasu każde dziecko mogło wskazać jej dom, a z pytań pańskich widzę, że człowiek wymieniony przeze mnie jest właśnie tym, którego pan poszukuje. Uchodził on za męża tej kobiety.

— Czy masz pan tę pewność?

— Zupełną!

— Kiedyż i gdzie mogę się z nim rozmówić?

— Pracuje w Algiers, w warsztatach kolei Luisiana-Texas. Kierownik warsztatu wskaże go panu.

— Mr. Sefton, informacje pańskie mogą być dla mnie cenne i w takim razie nie poniesiesz pan szkody. Zbadam rzecz, a jeśli nie obdarzam¹ pana jeszcze zaufaniem, proszę przypisać to ostrożności, nie zaś podejrzeniu.

— O, nie mam tego za złe! Na pańskim miejscu zrobiłbym to samo. Przekonasz się pan atoli rychło o mej życzliwości i o tem że liczyć możesz na pomoc. Przyjdę dopiero wezwany, nie chcąc się panu narzucać. Do widzenia.

Zostawszy sam, ruszył Barnes niezwłocznie do Algiers, a kierownik pokazał mu rzekomego Mitchela. Twarz jego była odrażająca, a jeśli się kiedyś zaliczał do ludzi kulturalnych, to straszny nałóg zatarł w jego powierzchowności wszelkie ślady tego. Barnes przystąpił, pytając, kiedy może z nim pomówić.

— Zaraz nawet, jeśli mi pan zapłacisz! — odparł grubijańsko.

— Cóż to znaczy?

— To co mówię. Biorę płacę za czas, to też korzystając z mego czasu, musisz pan płacić.

— W takim razie wezmę pana do pewnej roboty i zapłacę podwójnie.

— To co innego! — rzekł Mitchel. — Dokądże mamy iść?

— Do mego hotelu, myślę.

¹— *Pracuje w Algiers...* — fragment rozpoczynający się od tych słów w egzemplarzu źródłowym jest nieczytelny — brakuje części kartki. Tekst został odtworzony. [przypis edytorski]

Po przybyciu do pokoju, towarzysz Barnes rozgościł się, usiadł w fotelu na biegunach, kładąc nogi na desce okiennej.

— Chcę zadać kilka pytań. Czy gotów pan odpowiedzieć?

— To zależy od pytań. Jeśli nie będą bezwstydne, albo jeśli za odpowiedź mógłbym zarobić więcej niż podwójną płacę, to jestem do dyspozycji.

— Przedewszystkiem, czy znałeś pan kobietę, podającą się za Różę Mitchel?²

— No, jakże? Wszakże żyłem z nią, zanim uciekła.

— Czy wiesz pan gdzie jest teraz?

— Nie! Niech ją wszyscy djabli...

— Wiedz pan, że zmarła, zostawiając 100. 000 dolarów, po które nie zgłosił się dotąd nikt jeszcze.

Przybysz podskoczył, jakby po strzale, wlepił oczy w detektywa, potem gwizdnął zicha, a na twarzy jego zjawił się złośliwy uśmiezek, który nie uszedł uwagi Barnes'a.

— Czy to prawda? — spytał po chwili.

— Oczywiście. Kobieta nie żyje, a spuścizna znajduje się w miejscu, skąd mogę ją podjąć dla człowieka który mi udowodni prawa swoje.

— A któżby to mógł być?

Czekał chciwie odpowiedzi, a Barnes poznał, że zagrał atutem.

— Mr. Mitchel. Przybyłem w celu wyśledzenia go. Sądziłem, że spadkobierca zapłaci mi ładne honorarium, w razie powodzenia. Myślałem, że znajdę męża zmarłej, który ma niezaprzeczone prawo.

— Acha! — rzekł Mitchel, usiadł i zapadł w dumanie, a Barnes uznał, że lepiej czekać aż przemówi.

— Słuchaj pan, ile żądasz za dostarczenie pieniędzy? — spytał wkońcu przybyły.

— Nie mogę ich wcale dostarczyć! — odparł detektyw — zanim nie dostanę od pana dowodu, że jesteś mężem zmarłej.

— Wszakże powiedziałem już, że żyłem z nią, dopóki nie uciekła...

— Tak, żyłeś pan... Ale czy wzięliście ślub, jak przystało?

— Oczywiście! Wszakże mówiłem już, że byłem jej mężem.

— W takim razie aresztuję pana w imieniu prawa! — wykrzyknął Barnes, zrywając się.

— Mnie aresztować? — zawołał, zrywając się bładny ze strachu. — Zaco?

— Róża Mitchel została zamordowana, a sprawca zeznał, że został przez pana wynajęty.

— Przeklęty łgarz!

— Mam nadzieję, że tak jest rzeczywiście. Ale szukamy męża, to też ponieważ pan oświadczyłeś, że nim jesteś, muszę pana zabrać do Nowego Jorku.

— Słuchajże pan! — wykrzyknął przerażony strasznie. — Narobiłem sobie biedy! Zełgałem, że byłem jej mężem. Nie nazywam się zresztą wcale Mitchel!

— Błaga, przyjacielu! Detektyw Sefton powiedział mi to.

— Ależ on właśnie zapłacił mi, bym przed panem udawał Mitchela.

Barnes uśmiechnął się, zadowolony, że podstęp jego powiódł się tak dobrze. Odrazu powziął podejrzenie, że Sefton chce go wprowadzić na trop fałszywy, teraz zaś mógł obrócić włócznie i jednocześnie osiągnąć cenne wiadomości.

— Jest to bardzo marna wymówka, — rzekł — ale jeśli mi pan powiesz wszystko, uwierzę może.

— Wszystko powiem, by wyleźć z przeklętej pułapki. Nazwisko moje jest Artur Chambers. Byłem dawniej zamożny i poważany, ale przeklęte pijaństwo zrujnowało mnie! Teraz sprzedam się za kilka dolarów każdemu i tak postąpił właśnie Sefton. Przyszedł przed tygodniem niespełna, mówiąc że jest tu detektyw nowojorski, który węszy za niejakim Mitchelem. Trzeba go było otumanić, zdaniem Seftona, który miał takie zlecenie od pewnego klienta w stolicy. Ten pan chciał zatrzymać tu jak najdłużej niejakiego Barnes'a, którym sądzę, pan jesteś.

²— *To zależy od pytań...* — fragment rozpoczynający się od tych słów w egzemplarzu źródłowym jest nieczytelny — brakuje części kartki. Tekst został odtworzony. [przypis edytorski]

— Powiadasz pan tedy, że ten Sefton otrzymał od kogoś w Nowym Jorku polecenie, by mnie sprowadzić na trop fałszywy?

— Tak powiedział! — odparł Chambers.

Barnesowi nie trudno było odgadnąć, kto wziął Seftona w służbę swoją i znowu po-dziwiał musiał ostrożność i chytrłość Mitchela.

— Mów pan dalej! — rzekł Chambersowi.

— Niewiele już mam do powiedzenia. Sefton wynajął mnie, bym odegrał rolę Mit-chela i wpakował w głowę długą historję o tej Róży Mitchel, którą miałem panu powtó-rzyć.

— Cóż to za historia?

— Proszę pana! — zauważył Chambers, któremu wróciła pewność siebie i chytrłość, wobec odsunięcia się niebezpieczeństwa. — Cóż panu z bajki? Lepiej opowiem historję prawdziwą.

— Naturalnie.

— Jestem już stary i pamiętam dużo rzeczy, jakie zaszły w Nowym Orleanie. Mógł-bym je sobie przypomnieć w razie zapłacenia.

— Słuchaj przyjacielu, nie jestem Seftonem. Powiedz mi pan co wiesz, a jeśli uznam to za coś warte dla mnie, zapłacę. Ale jeśli będziesz próbował wyprawiać głupie figle, nasolę panu tak, że popamiętasz!

— Ano, skoro inaczej być nie może, zaczynam! Najlepiej powiem zaraz z początku, że znałem tę kobietę, która została, jak pan powiadasz, zamordowana, pod nazwiskiem Róża Montalbon, czyli „La Montalbon”, jak ją powszechnie zwano.

— La Montalbon? — powtórzył Barnes. — Czy była aktorką?

— Aktorką? Ano potrosze, choć nie na scenie. Nie. Miała jaskinię gry przy ulicy Royal, podobną do pałacu, gdzie niejeden młody osioł utracił grosz ostatni.

— Cóż to ma wspólnego z Mitchelem? Czy był z nią w jakimś stosunku?

— Dokładnie powiedzieć nie umiem. Tkwiła w tem jakaś tajemnica. Bywałem także często w jaskini gry i znałem do pewnego stopnia Mitchela, który tam przesiadywał stale. Potem znikł na czas pewien, a za powrotem został wprowadzony jako mąż Montalbon. Obiegały też pogłoski, że poślubił inną dziewczynę, a potem porzucił. Była to podobno Kreolka, ale nazwiska jej nie słyszałem nigdy.

— Czy wiesz pan coś o dziecku, dziewczynce?

— To także historia tajemnicza. Była istotnie małą dziewczynką, Rosy, którą uważano za córkę Kreolki, ale La Montalbon twierdziła zawsze, że jest to jej własne dziecko.

— Co się stało z Mitchelem?

— W rok niespełna po przedstawieniu go za męża Montalbon zwiął, a w parę lat później ku wielkiej sensacji miasta, dziewczynka została uprowadzona. La Montalbon wyznaczyła wielką nagrodę, ale nigdy już nie ujrzała dziecka. W jakieś trzy lata później zaczęły interesy kuleć i wkońcu znikła także.

— Jeśli historia ta jest prawdziwą, może być wielce ważną. Czy mógłbyś pan rozpoznać tego Mitchela?

— Nie mogę tego twierdzić, zwłaszcza że jak sobie przypominam było dwu Mitche-lów, obaj z imieniem Leroy.

— Czyś pan tego pewny? — spytał Barnes ze zdziwieniem.

— Dość pewny. Byli krewniakami. Tamtego, młodszego nie znałem osobiście. Miał takie poglądy chrześcijańsko społeczne, które mnie rażą. Ale słyszałem, że kochał się w młodej Kreolce. Mógłbym atoli wskazać panu kogoś, kto wie wszystko.

— Któż to?

— Pewien stary jegomość, nazwiskiem Neuilly. Znał on dobrze rodzinę młodej Kre-olki i wie zapewne niejedno o Mitchelu. Zdaje się, że żył w zależności od Montalbon, która coś o nim wiedziała i doła go jak wielu innych. Teraz, gdy nie żyje, byłby może skłonny do mówienia.

— Dobrze! Wystaraj mi się pan o jego adres, a także o jakieś wieści o tym wzorowym młodzieńcu, Mitchelu drugim, co się z nim mianowicie stało. Zapłacę dobrze, ale niech Sefton nie pozna, że pan już nie pracujesz dla niego.

— Nie, teraz jestem pański człowiek. Miałeś pan Seftona w podejrzeniu i tak zręcznie zagrałeś, że m się wygadał. Do widzenia.

Nazajutrz złożył Barnes wizytę panu Neuilly, a staruszek przyjął go ze starodawną uprzejmością, pytając o życzenia. Barnes nie wiedział zrazu od czego zacząć.

— Mr. Neuilly, przybyłem tutaj z prośbą o pomoc pańską w interesie sprawiedliwości. Długo wahałem się, czy mam pana napastować, ale czynię to, nie mając innego wyjścia.

— Mów pan, proszę! — odparł gospodarz domu.

— Szukam informacji o pewnej kobiecie, która tutaj znaną była pod nazwiskiem Montalbon...

Nagła zmiana zaszła w rysach starca i znikł gościnny uśmiech.

— Nic nie wiem o tej kobiecie! — oświadczył lodowato, wstał i podszedł do drzwi. Zdumiony Barnes poznał, że musi działać szybko, by nie stracić możliwości dowiedzenia się czegoś od tego człowieka.

— Przepraszam, panie Neuilly! — zawołał spiesźnie. — Zechcesz pan chyba pomóc do ujęcia mordercy tej kobiety!

Słowa te odniosły zamierzony skutek.

— Mordercy? Czyż została zamordowana? — spytał starzec, wracając na swoje miejsce.

— Róża Montalbon została przed kilku miesiącami zamordowana w Nowym Jorku, ja zaś sądzę, że jestem na tropie zbrodniarza. Racz mi pan dopomóc.

— To zależy od okoliczności. Powiadasz pan że tę kobietę zamordowano. To zmienia w znacznym stopniu mój stosunek do rzeczy. Miałem ważne, dla mnie przynajmniej ważne powody, by nie mówić o niej z panem, ale skoro nie żyje, powody te ustają.

— Chciałbym się dowiedzieć poprostu, czy znałeś pan niejakiego Leroy Mitchela, uchodzącego za jej męża?

— Znałem dobrze tego, na baranka farbowanego szubrawca, który zachowywał się zresztą, jak człowiek kulturalny.

— Wiesz pan, co się z nim stało?

— Nie wiem. Nagle opuścił Nowy Orlean i nie wrócił już.

— Czy znałeś pan małą Różę Mitchel?

— Ach, jakże często miałem ją na kolanach. Człowiek ten był jej ojcem. Podszedł jedną z najśłodszych dziewcząt, jakie żyły na świecie!

— Czy znałeś pan tę dziewczynę? Znasz pan może nazwisko jej?

— Tak.

— Proszę o nie.

— To moja tajemnica, zbyt długo skrywana, bym ją miał powierzać obcemu. Musiałbyś pan przytoczyć ważne powody, chcąc się dowiedzieć tego.

— Objaśnię rzecz całą. Ten Mitchel przebywa obecnie w Nowym Jorku i lada dzień poślubić ma bardzo piękną, młodą damę. Poza tem przypuszczam, że zamordował Montalbon, wymuszając odeń pieniądze, by się jej pozbyć. Ma także dziecko przy sobie.

Neuilly zerwał się wzburzony i jął chodzić po pokoju.

— Powiadasz pan, że ma tę małą przy sobie?

— Tak. Oto jej fotografia.

Podał starcowi odbitkę Lucette.

— Bardzo, bardzo podobna! — mruknął Neuilly i zapadł w milczenie.

— Zdaniem pańskim, zamordował tę Montalbon? — spytał po chwili.

— Tak sądzę.

— Straszne to przywozić na stryczek ojca tego dziecka! Co za hańba! Co za hańba! Ale sprawiedliwość przedewszystkiem!

Mówił do siebie raczej, niż Barnes.

— Nie powiem panu żądanego nazwiska, ale pojedę razem do Nowego Jorku i jeżeli ta historia jest prawdziwą, poruszę ziemię i niebo, by się stało zadość sprawiedliwości, a nową ofiarę wyrwę ze szponów potwora.

— Doskonale! — wykrzyknął detektyw bardzo zadowolony z wyniku wizyty. — Jedno jeszcze Mr. Neuilly! Co pan wie o istnieniu tego drugiego Leroy Mitchela?

— Nigdy go nie widziałem, ale doszły mnie słuchy. Tkwiła w tem tajemnica, której nigdy przeniknąć nie zdołałem. Zdaje się kochał tę samą dziewczynę. W każdym razie, niedługo po jej śmierci oszalał i znajduje się obecnie w zakładzie obłąkanych. On nam nie dopomóż.

Omówiwszy z Neuillym co trzeba było dla zamierzonej podróży, wrócił Barnes do hotelu, gdzie nań czekał Chambers.

— No i cóż wyszedłeś pan? — spytał.

— Nic coby pana mogło bardzo uradować. Znalazłem tylko drugiego Leroy Mitchela, który siedzi w szpitalu warjatów na przedmieściu. Oszałał przez to, że ukochana porzuciła go.

— Czy dowiedziałeś się pan nazwiska tej dziewczyny?

— Nie, to było niemożliwe, gdyż kryją je tak troskliwie, jakby to była tajemnica państwa. O tak, ci Kreole są niesłychanie dumni!

— Dobrze. Widzę żeś pan pracował dla mnie uczciwie. Oto banknot studolarowy. Czy pan zadowolony?

— Najzupełniej. Życzę szczęścia.

Wpół godziny potem doręczono Barnesowi depeszę.

— Dziecko znalazłam! Lucette.

Po południu wyjechali do Nowego Jorku Barnes i Neuilly, a tego samego wieczoru otrzymał Mitchel telegram:

— Baczość! Barnes i stary Neuilly wyjechali do Nowego Jorku. Sefton.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. OPÓŹNIONE ZAŚLUBINY

Przez czas pobytu Barnes na Południu, szpiedzy jego nie wysledzili nic ważnego, chociaż zaszły sprawy godne zaznaczenia. Wyznaczony został termin ślubu Mitchela z panną Remsen, mianowicie 5 maja, którego to właśnie dnia przybyli do stolicy Barnes i Neuilly.

Zdawało się, że los sposobi kryzys na same gody weselne. W Nowym Orleanie poszukiwał detektyw dowodów ohydnej zbrodni, w Nowym Jorku piękna, szlachetna dziewczyna gotowa była temu samemu człowiekowi przysiąc wiarę małżeńską, on zaś zachowywał się z całą swobodą, jakgdyby mu nie zagrażało nic i brał szczęście swe jak ktoś, kto na nie w pełni zasłużył.

Znamiennem dla dalszego rozwoju wydarzeń było teraz postępowanie Dory Remsen. Czytelnik pamięta zapewne, że Randolph zaniedbał sposobność do oświadczeń i ostrzegł młodą damę przed Thauetem, a rada ta, jak często bywa, wywarła skutek wprost przeciwny. Thauet był nie tylko stałym, ale ponadto mile widzianym gościem Remsenów, a Randolph zauważył z wielkim smutkiem, że Dora zawsze była w grupie osób słuchających bacznie opowiadań jego. Najgorzej atoli niepokoiło go, że mimo wszelkich starań i zabiegów, nie zdołał odkryć nic, coby świadczyło przeciw niemu i musiał przyznać, że niechęć do Francuza była przesadą. Ale niechęć ta wzrastała ciągle, tak że postanowił pomówić o tem z Mitchelem. Dokonał zamiaru tegoż jeszcze popołudnia, gdy salony Remsenów były pełne, a pośrodku grupy stał jego nieznosny rywal.

— Słuchajno! Nie rozumiem u licha, dlaczego ten Thauet został tak bliskim przyjacielem rodziny.

— Dora poznała go gdzieś i wprowadziła. Ale dlaczego?

— Dlaczego? Czy możesz o to pytać?

— Oczywiście, mogę i pytam raz jeszcze... dlaczego?

— Mój drogi, przyznaj, że albo jesteś ślepy jak kret, albo nie widzisz nikogo poza Miss Emilją. Młodszej siostrze zagraża niebezpieczeństwo.

— Nie, chłopcze! Mówiąc szczerze niema tu żadnego niebezpieczeństwa! Gdzież ono tkwi?

— Jakto? Przypuść, że zakochałaby się w nim i wzięła za męża...

— No i cóż dalej?

— Możesz, naprawdę, wystawić na próbę cierpliwość świętego. Przedziwnie spokojnie mówisz, niby o dobrem coup bilardowym, o możliwości, że dziecko to zmarnuje się dla kogoś, kto niczem nie jest.

— Drogi przyjacielu, udzielę ci dobrej rady. Człowiek zabiegający o rękę panny powinien przestrzegać dwu zasad, a zdaje mi się, naruszyłeś obie.

— Co masz na myśli?

— Zanim powiem, chce wiedzieć, czy radbyś sam zaślubić Dorę?

— To trochę szorstkie pytanie, ale oddając hołd prawdzie, odpowiem, że czułbym się niezmiernie szczęśliwym, mogąc pozyskać jej miłość.

— Dobrze! Teraz wyjawię ci te dwie zasady. Przedewszystkiem nigdy nie mów źle o rywalu, a powtóre nie opóźniaj oświadczyn.

Randolph spojrział na przyjaciela bystro i podał mu rękę, którą Mitchel uściskał serdecznie.

— Dziękuję ci! — rzekł poprostu i podszedł do grupy, gdzie była Dora.

— Czy mógłbym powiedzieć pani słów kilka? — spytał zcicha, przy nadarzonej sposobności. Zdziwiona widocznie tonem, podniosła nań oczy.

— Czy to rzecz ważna?

— Bardzo... — powiedział, ona zaś pożegnawszy towarzystwo, poszła z nim do przyległego gabinetu.

— Miss Doro! — ozwał się — proszę, racz mnie pani wysłuchać do końca spokojnie. Sądzę, że nie jest pani tajną miłość moja. Nie wypowiedziałem tego dotąd słowami, ale jako kobieta umiała pani przecież czytać w sercu mojem, podczas, gdy ja, mężczyzna nie znam serca pani. Dawniej okazywała mi pani pewną życzliwość, ale w czasach ostatnich... zresztą pominę to, ograniczając się tylko do zapewnienia, że byłbym niezmiernie szczęśliwy, uzyskawszy nadzieję, iż będę mógł panią kiedyś nazwać swoją. Ofiaruję wzamian całe życie. Zdaje mi się, że to już wszystko co miałem powiedzieć. Doro, kochana, słodka Doro, powierz mi się pani z zaufaniem.

Ujął zlekka jej dłoń, ponieważ zaś nie cofnęła jej, pozwolił sobie przy końcu na głośniejsze słowa. Po chwili wahania usunęła rękę i spojrziała nań zwilgotniałymi oczyma.

— Czy naprawdę, kochasz mnie pan tak bardzo? — spytała.

— Nie umiem powiedzieć, jak bardzo!

Usiłował znowu pochwycić jej dłoń, ale wywinęła się, stawiając nowe pytanie.

— O pieniądzech nie myślisz pan przytem?

— Panno Remsen, to obraza!

— Nie, nie! — rzuciła szybko. — To tylko nieporozumienie. Nie miałam na myśli pieniędzy swoich... Nie mogę tego wytłumaczyć, ale proszę o odpowiedź... Cóżbyś pan powiedział gdybym... jakże powiedzieć... gdybym uczyniła coś, co by pana kosztowało dużo, dużo pieniędzy?

— Rozumiem! Chce pani powiedzieć przeto, że jesteś rozrzutna. Proszę nie myśleć o tem. Może pani wydawać wedle woli, nie uzałę się na to nigdy.

Sprawilo jej to wyraźnie ulgę wielką. Milcząc przez chwilę, wodziła oczyma wokoło, a Randolph śledzący kierunek spostrzegł, że patrzy na Thauręta. Drgnąwszy pod wpływem zazdrości, chciał mówić, gdy zwróciła się doń znowu.

— Proszę o mnie źle nie myśleć i nie gniewać się, — rzekła, powstrzymując wzburzenie. — Jest coś, czego nie mogę panu wyjaśnić, lecz pewną jestem, że po wyjaśnieniu nie wziąłbyś mi pan tego za złe. Aż do czasu pełnego zaufania, odpowiedzi dać nie jestem w możności. Czy pan zaczeka? — zakończyła prosząco.

— Jak długo? — spytał gniewnie i podejrzewając, że to, czego mu wyjawić nie może, stoi w związku z Thaurętem.

— Czy zgodziłby się pan zaczekać na prośbę moją, powiedzmy... do Nowego Roku?

— Bardzo to długo, ale jeśli taka wola pani, poddać się muszę.

— Bardzo panu dziękuję!

Tyle tylko powiedziała, ale on wyczuł ton radosnego uniesienia w jej głosie. Łzy napłynęły jej oczy i przez krótką szczęśliwą chwilę, wyczytał w nich miłość, idącą z głębi serca. Pod nieodpartym przymusem, przyciągnął ją i dotknął ustami jej ust. Był zadowolony, mimo, że zaraz odeszła do grupy Thauręta, który ją powitał gorąco.

Przez następne tygodnie cierpiał bardzo skutkiem zazdrości, ale wspomnienia tego jednego momentu, kiedy zdawało się, że mu bezwiednie oddaje całą istotę swoją i duszę, doprowadzało go zawsze do równowagi.

— Nie mogłaby była uczynić tego, będąc fałszywą! — mówił sobie. — Kocha mnie, tylko coś nas dzieli, czego nie rozumiem, a co powoduje takie postępowanie. Trzeba cierpliwie czekać i ufać. Jest mi wierna.

Ale zaraz napływały stare wątpliwości.

W jakiś miesiąc po opisanej rozmowie odbyła się druga, podobna, pomiędzy Dorą a Thauuretem. Francuz przybył przed południem, kiedy była sama, tak że miał dla siebie całe pole. Z wielką zręcznością skierował rozmowę na upragniony temat, wspomniawszy mimochodem, że pochodzi ze szlachty i jał się żalić, iż mężczyzna, w jego wieku spragniony miłości, nie ma jej od kogo zażądać. Potem zapytał głosem bardzo miękkim, czy myślała już kiedy nad tem i czy czuła potrzebę mężczyzny, towarzysza, który byłby jej wszystkim. Mówił bardzo pięknie, ona słuchała z zainteresowaniem, ale odpowiedź nie była po jego myśli.

— O tak, — rzekła — nieraz dumałam w sposób niejasny, zresztą, o tem wszystkim, ale tak bardzo kocham moją „królowę”, że życie bez niej wydaje mi się niemożliwem. A jednak — dodała z lekkim drżeniem głosu — utracę ją niedługo już. Jeśli tedy chce pan, bym wyjawiała me rzeczywiste zapatrywanie, trzeba czekać aż minie wesele.

Powiedziała to z naciskiem, a Thauuret zmienił temat, wobec danej wskazówki. Niedługo potem pożegnał Dorę, a podczas, gdy kroczył przez avenue miał na twarzy uśmiech triumfu.

W kilka dni później, wracając wieczór z klubu z Mitchelem, skierował Thauuret rozmowę na panny Remsen.

— Są przedziwne, — rzekł — ale tylko bogaty pozwolić sobie może na luksus poślubienia ich. Aż do śmierci matki nie będą zapewne miały własnego grosza?

Mitchel domyślił się co znaczy to pytanie i odpowiedział żywo, z powodu sobie znanego tylko:

— O nie! Ojciec zostawił każdej okazałą kwotę pięćdziesięciu tysięcy, wypłacalną po ślubie. Główna suma majątku jest obecnie w posiadaniu wdowy, ale tylko jako dożywocie. Po jej śmierci te pieniądze, coś około pół miliona, zostaną podzielone pomiędzy obie.

— Szczęśliwiec z pana! Chciałbym mieć pańskie szczęście!

— Drogi Thauuret! Jakże człowiek z pańskim rozumem może wierzyć w tak zwane szczęście, podobnie jak jego brak. Rzecz polega na większej umiejętności kształtowania sobie życia. Zazdrościsz mi pan związku z Emilją, a przecież Dora jest również piękna, a przytem bogatsza.

— Miss Dora jest urocza, ale nie czyni mnie to jeszcze szczęśliwym konkurentem. Cóż znaczy atoli, że jest bogatsza?

— Otóż siostra kocha ją tak bardzo, że przyrzekła złożyć jej w darze dziesięć tysięcy pod pewnym warunkiem.

— Jakież to warunek?

— Że Emilja zatwierdzi wybór jej narzeczonego.

— Po ślubie, — rzeki Thauuret po chwili milczenia, — będziesz pan jedynym mężczyzną w rodzinie, to też wpływ pański zaważy napewno. Czy poparłbyś pan zabieg moje o rękę Miss Dory?

— Myśl ta nie jest mi nowością! — odparł. — Oświadczam, że nie zbraknie zgody mojej, jeśli pan tylko zdołasz pozyskać sobie Dorę.

— Dziękuję bardzo! — powiedział Thauuret z tłumionem wzburzeniem, gdy się rozstawali pod hotelem Mitchela. Wróciwszy do siebie, siedział długo po północy w fotelu, budując zamki, które musiały być wspaniałe, gdyż świadczył o tem wyraz jego twarzy.

Tak stały sprawy, gdy nadszedł dzień zaślubin. U Remsenów złożono dwa przepyszne bukiety dla Dory, jeden od Randolpha z samych goździków, drugi zręcznie ułożony z różnych kwiatów, od Thauureta. Dora rozwiązała goździki, biorąc po kilka z każdego koloru na wiązankę do gorsu. Drugi bukiet wzięła w rękę. Tak było, gdy opuściła dom, ale potem zdarzyła się mała przygoda, której nietylko winną nie była, ale jej nie zauważyła nawet. W natłoku kościoła zgubiła goździki od gorsu, a Randolph będący drużbą, spytał na widok bukietu, kto go przysłał. Dowiedziawszy się, nie rzekł nic, ale źle spał tej nocy.

Po wejściu panny młodej jęli zebrani wyglądać za panem młodym i zdumiewać się, że nie nadchodzi. Zaczęto szeptać, pytać, nie mogąc znaleźć odpowiedzi i sytuacja była coraz to przykrzejsza. Kilku przyjaciół Mitchela przemknęło na palcach do zakrystji, gdzie się znajdował wraz z otoczeniem. Ale u drzwi stał służący, broniąc wstępu. Tymczasem poza drzwiami rozgrywała się scena krótka, ale gwałtowna. W chwili kiedy pan młody wraz ze swą miał wejść do kościoła, zajechał pod zakrystję w szaleńczym pędzie pojazd, z którego wyskoczył Barnes.

— Bogu dzięki, nie zapóźno jeszcze! — wykrzyknął ku wielkiemu zdumieniu zebranych.

— Czyś pan całkiem pewny? — spytał Mitchel z urągliwym spokojem.

— Przybyłem, by przeszkodzić temu małżeństwu! — oświadczył wzburzony detektyw.

— Chyba opóźnić je! I czynisz pan to rzeczywiście. Powinienbym być właściwie już u boku czekającej przed ołtarzem narzeczonej.

— Powiadam, że chcę przeszkodzić temu małżeństwu!

— Panie Barnes, nie mam czasu do stracenia i nie chciałbym także mówić tutaj zbyt otwarcie. Masz pan sądzić powody stawiania przeszkód małżeństwu memu, nieprawdaż?

— Już to powiedziałem przecież.

— Jeśli panu udowodnię, że przez przeszkodzenie ślubowi, nie osiągniesz swego celu, czy odstąpisz pan od zamiaru?

— Naturalnie, ale to jest niemożliwe!

— Wszystko jest możliwe! Przeczytajże pan to!

Dobył papier i podał Barnesowi, który przeczytał spiesźnie.

— To haniebne! — wykrzyknął podnosząc oczy.

— Mr. Barnes, przyrzekłeś pan nie mieszać się narazie w moją sprawę. Jeśli za dwie godziny przybędziesz pan do mego mieszkania, gotów będę odpowiedzieć na wszystkie pytania, oraz zaspokoić inne pretensje. Znasz mnie pan dostatecznie, by wiedzieć, że dotrzymuję słowa. A teraz chodźmy, przyjaciele!

Zaraz też wyszli wszyscy z zakrystji, czyniąc tem prawdziwą ulgę zebrany, a Barnes został, do cna ogłupiały. Uroczystość odbyła się bez dalszych przeszkód, a wpół godziny potem państwo Leroy Mitchel odjechali do hotelu piątej avenue. Barnes, nie czekając końca, odszedł zaraz po przeczytaniu pisma wręczonego przez Mitchela. Było to, noszące datę dnia ubiegłego, poświadczenie urzędu cywilnego, że zaślubin dokonano. Bez względu na to jakie miał detektyw powody przeszkodzenia małżeństwu Mitchela, było ono faktem, a zęcny człowiek okpił Barnesa ponownie, dzięki depeszy Seftona, która umożliwiła mu poprzedzenie ślubu kościelnego, cywilnym.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. MITCHEL UDZIELA ŁASKAWIE PARU WYJAŚNIENÍ

Po powrocie do Nowego Jorku udał się Barnes zaraz do swego biura, gdzie ze zdziwieniem zastał Lucette.

— No i cóż? — spytał ostro.

— Przyszłam, by panu złożyć niezwłocznie sprawozdanie. Niema czasu do stracenia.

— Jakto? Co się dzieje?

— Znalazłam dziecko w East Orange. Na szczegóły czas później, bowiem znowu je stamtąd zabrano. Mitchel przyjechał wczoraj i zabrał dziewczynkę do Remsenów.

— Do Remsenów? Cóż w tem jest znowu?

— Nie wiem, ale Mitchel i Miss Remsen zostaną dziś rano o dziesiątej zaślubieni w katedrze Św. Patryka.

— Jeśli zdołam przeszkodzić, nie nastąpi to! — wykrzyknął detektyw i podążył do kościoła gdzie doznał wiadomego już niepowodzenia.

Punktualnie o drugiej przybyli Barnes i Neuilly do hotelu piątej avenue, a Mitchel przyjął ich zaraz.

— Mr. Barnes, — rzekł wesoło — cieszy mnie, że teraz mogę panu służyć. Rano spieszo mi było i przybył pan w porze trochę niedogodnej, tak że byłem nieco szorstki.

— Nie mam ochoty żartować, mój panie. Jest to sprawa nader poważna. Oto Mr. Neuilly z Nowego Orleanu, który się zdecydował odbyć długą podróż dla sprawiedliwości.

— Bardzo mi miło poznać pana! — rzekł Mitchel podając rękę, a Neuilly pochwycił ją, chociaż niedawno byłby przysięgł, że raczej weźmie rozpalone żelazo, niż uściśnie dłoń człowieka, który skrzywdził tak nikczemnie córkę jego starego przyjaciela z Południa. — Radbym wiedzieć, panie Barnes, czy szukał pan w Nowym Orleanie rubinu żony mojej?

— Nie szukałem go wcale. Pan jednak wiesz dobrze, dlaczego usiłowałem przeszkodzić zaślubinom pańskim.

— Nie, nie wiem zgoła! Cóż to za powody?

— Jeśli pan nie wie, z jakiegoż powodu zawarty został wczoraj jeszcze ślub cywilny?

— Mógłbym odpowiedzieć, że tak bywa często, ale wyznam uczciwie, że mi to wpadło do głowy dopiero na wieść o pańskim powrocie. Pomyślałem, że mógłby pan utkwąć w głowie pogład, iż nie mogę się teraz żenić. Znając pana dobrze, wiedziałem, że w takim wypadku... a zdarzało się to już nieraz... wkroczysz pan napewno. Ponieważ postanowiłem odbyć zaślubiny w porze oznaczonej, namówiłem drogą żoneczkę moją, by wczoraj jeszcze wzięła ślub cywilny. Oto cała historia. Jakiż był tedy cel pański?

— Wiesz pan dobrze, że to wszystko blaga i że mógłbym być użyć Miss Remsen za świadka przeciw panu, co teraz, po ślubie, jest niewykonalne.

— Hm... przyznaję, że myślałem coś takiego. A cóż pan zamierza czynić teraz?

— Przedewszystkiem aresztuję pana za uprowadzenie dziecka, które było w opiece Róży Montalbon.

Jeśli Barnes oczekiwał, że przeciwnik będzie zaskoczony, doznał rozczarowania.

— Tak? — rzekł spokojnie. — I cóż dalej?

— Potem zmuszę pana sądownie do podania miejsca pobytu małej i wydania jej!

— Trudnoby panu przyszło, gdyby nie to, że ja sam pomogę. Ale odwróćmy tok rzeczy i zacznijmy od wydania dziecka. Emiljo!

Na te wezwanie weszła Mrs. Leroy Mitchel, wiodąc piękną dziewczynkę. Mąż wstał, ujął małą za rączkę i podszedł z nią do Mr. Neuilly.

— Róziu — rzekł — to jest pan Neuilly, dobry, wierny przyjaciel mamy twojej. Odbył długą podróż z Nowego Orleanu, by cię zobaczyć i pocałować. Wszak prawda, Mr. Neuilly?

Starzec był wzruszony głęboko, gdyż uroczą postać, stojącą przed nim, przywołała mu na pamięć dawno minione czasy. Wspomnił inną, małą dziewczynkę, której strzegł z serdeczną miłością, podczas gdy dorastała. W młodości swej kochał jej matkę, to znaczy babkę Róży i skutkiem braku wzajemności został do końca życia samotnym. Rzekłszy kilka słów życzliwych, przyciągnął dziecko do siebie, potem zaś wstał, odprowadził dziewczynkę do drzwi, znowu pocałował w czoło, wyprowadził do pokoju przyległego, poprosił by zaczekała, a potem wrócił, zamykając za sobą.

— Mr. Mitchel! — wykrzyknął. — Albo jesteś pan największym łotrem, jakiego nosi ziemia, albo wszyscy znajdujemy się w strasznym błędzie. Mów, człowiecze! Muszę natychmiast wiedzieć wszystko!

— Przedewszystkiem trzeba oświetlić jasno sytuację. Cóż pan na to, Mr. Barnes?

— Tak się stanie, o ile małżonka pańska raczy się oddalić! — odparł detektyw.

— Żona moja i ja stanowimy jedność! — oświadczył Mitchel, otaczając z dumą kibić Emilji. — Proszę się nie wahać mówić w jej obecności.

— Ano więc, skoro inaczej być nie może, zaczynam. Zostało stwierdzone przeze mnie, że Róża Mitchel, zamordowana tutaj, mieszkała i znaną była w Nowym Orleanie pod nazwiskiem Róży Montalbon i była pańską ślubną żoną. Odkryłem także, iż uwiodłeś pan pewną młodą Kreolkę, matkę tego dziecka, które nas dopiero co opuściło, a nieszczęsna opuszczona zmarła rychło z troski. Potem pozwoliłeś pan Montalbon zabrać dziecko i podawać za własne. Kobieta owa miała podejrzenie, iż zamierzasz pan zawrzeć małżeństwo inne i poprzysięgła do tego nie dopuścić. Zjawienie się jej po zaręczynach było dla pana sprawą niebezpieczną. Do czegoż zmierzam? Domyślasz się pan chyba. Popełniano już morderstwa z dużo bliższych powodów. To też sądzę, że mam dostateczne dowody dla uzasadnienia aresztowania pańskiego.

— Nie potrzeba aż takich rzeczy, by mnie aresztować! — odparł Mitchel. — Dzieje się to codziennie, ale dla ukarania, musiałbyś to wszystko dowieść.

— Skąd pan wie, że tego uczynić nie mogę?

— Z tej prostej przyczyny, że wszystkie fakty przez pana przytoczone są z gruntu fałszywe.

— A gdzie dowody z pańskiej strony?

— Dostarczę ich z łatwością. Przedewszystkiem twierdzisz pan, że uprowadziłem dziecko. Ale jest to racja połowiczna tylko. Istotnie zabrałem Różę od Montalbon, i to nawet potajemnie i przemocą. Ale miałem do tego pełne prawo.

— Przyznajesz się pan tedy do ojcostwa?

— Przeciwnie, przeczę kategorycznie i tu jest właśnie słaby punkt historii pańskiej. W całym łańcuchu rzekomych dowodów, wychodziłeś pan z założenia, że jestem urodzicielem matki i że Montalbon miała nade mną władzę. W rzeczywistości jednak jestem ojcem dziecka, a Montalbon nie miała władzy nade mną.

— Ależ przyznałeś pan już dawniej, że wymuszała od pana pogroźkami pieniądze i że kwota żądana została wypłacona klejnotami.

— To prawda! Ale ona nie wymuszała pieniędzy ode mnie.

— Mr. Mitchel, rzadko zapominam słów czyich. Swego czasu, w podziemiu lochu bezpieczeństwa oświadczyłeś pan, że ta kobieta miała pana w mocy swojej, a teraz twierdzisz wprost przeciwnie. Jakże mam sobie wytłumaczyć te dwa sprzeczne zeznania?

— Dwa sprzeczne zeznania mogą być prawdziwe, pod warunkiem, że je dzielić będzie pewien okres czasu. W chwili gdy mówiłem, że jestem w mocy tej kobiety, wierzyłem w to zupełnie, a przeto powiedziałem prawdę. Gdy teraz powiadam, że nie byłem w jej mocy, mówię również prawdę, bowiem w międzyczasie poznałem lepiej charakter damy, która jest obecnie żoną moją. Wiem teraz, że cała historia Montalbon nie była zdolna podkopać jej zaufania do mnie.

— Na miłość boską, panowie! — przerwał stary Neuilly. — Dość tych pustych słów. Przejdźmy do faktów! Płonę żądzą poznania prawdy.

— Roy! — rzekła Emilja. — Czemuż nie opowiesz wszystkiego jak było i ukrywasz prawdę?

— Jest to moim zamiarem, ale rad byłem przedtem skrzyżować szpadę z Mr. Barnesem. Widzę atoli żem sprawił przykrość panu Neuilly, przeto proszę o przebaczenie... Muszę zacząć od lat szkolnych. Wówczas już kochałem towarzyszkę zabaw, matkę małej Róży, a gdy miała lat piętnaście zaledwo, ja zaś udawałem się na uniwersytet do Harvard, zaręczyliśmy się. Miałem krewniaka, starszego o lat dziesięć, gracza i pijaka. Montalbon utrzymywała wówczas w mieście jaskinię gry, a mój nieszczęsny krewniak zaliczał się, oczywiście, do jej stałych klientów. Pewnego wieczoru, gdy był znowu pijany, namówiła go, by ją zaślubił, a przywołany naprędce ksiądz był tak niesumienny, że dopełnił obrzędku. Dopiero po kilku dniach otrzeźwiawszy, nie wiedział krewniak mój o niczem. Na tem to właśnie zbudowała Montalbon plan swój. Zaczęła go namawiać do małżeństwa, podsuwając mu, wyobraźcie sobie panowie, narzeczoną moją. Babie tej szło o pieniądze i zemstę. Chciała skłonić krewniaka mego do bigamji, by potem zapomocą metryki ślubu z nią samą wymuszać pieniądze. Prócz tego było to zemstą nad rodziną mojej narzeczonej, do której żywiła jakąś urazę. Plan ten powiódł się aż nazbyt dobrze. Krewniak pokochał istotnie piękną Kreolkę, był przystojny, ja daleko, ona bardzo jeszcze młoda i słaba, tak że wkońcu zaślubiła go. Teraz dostał się biedak w szpony Montalbon, która go wyzyskiwała przez lat pięć!

Tymczasem przyszła na świat mała Róża, ja zaś, skończywszy studia, wróciłem, ale nie do Nowego Orleanu, gdyż byłem zbyt rozgoryczony niewiernością ukochanej. W Paryżu, gdzie się udałem, doręczono mi desperacki list młodej kobiety. Montalbon okazała metrykę ślubu swego z krewniakiem moim, wydając na hańbę córkę wroga swego. Ogarnięty wyłącznie żądzą zemsty na krewniaku, wróciłem do domu, ale było już zapóźno. Biedna kobieta zmarła, a krewniak przepadł gdzieś.

Na wieść, że się udał na daleki Zachód, ruszyłem tam za nim. Ale trudno było znaleźć ślad. Po pięciu dopiero latach spotkałem go, gdym mu atoli wyrzucił zbrodnię, roześmiał mi się w twarz, nie chciał stanąć do walki i jął uciekać, tak że mogłem posłać mu tylko pogroźkę zastrzelenia przy najbliższej sposobności, jak wściekłego psa.

Sposobność ta nadeszła wkońcu. Spotkawszy go na zupełnym wielomilowem odludziu, wyzwałem na pojedynek i teraz poznał, że musi walczyć o życie. Niepomny własnego bezpieczeństwa chciałem go trafić w serce. Zaspokojona zemsta czyniła mi obojętnem co będzie potem. A może też przypuszczałem, że on mnie zabije? Całkiem spokojny i pewny stanęłem przed nim, gdy nagle nastąpiło coś, przez co postradałem równowagę, a wynik walki był inny zgoła.

— Czekaj! — rzekł mi, spuszczając broń. — Chcę czegoś od ciebie, pewny będąc, że mnie zabijesz. Zrób mi łaskę ostatnią i wyrwij dziecko moje ze szponów tego szatana w ludzkiej postaci.

— Dziecko twoje? — zawołałem. — Sądziłem, że zmarło!

— To jedno z kłamstw tej baby. Dziewczynka żyje i znajduje się w jej mocy. Zrobiłem testament na rzecz dziecka, zapisując mu resztę majątku. Znajdziesz ten dokument w kieszeni surduta. Dziwnym sposobem, zamianowałem ciebie wykonawcą. Wiem teraz, że kochałeś jej matkę, ale jak pragnę miłosierdzia boskiego, nie wiedziałem o tem, poślubiając ją. Teraz jestem gotów.

Strzeliliśmy, ale niespodziewana nowina odebrała mi spokój, tak że zamiast w serce, trafiłem go w głowę. Oczywiście, przypadłem doń zaraz by go obandażować, i powstrzymać upływ krwi, potem zaś pobiegłem do pierwszego osiedla ludzkiego, po ludzi z noszami. Leżał przez dwa miesiące i ozdrowiał zwolna, ale duch jego pozostał zaćmionym, tak że go musiał umieścić w Nowym Orleanie, w zakładzie obłąkanych, gdzie dotąd przebywa.

— Wszystko to jest bardzo piękne, panie Mitchel, — rzekł Barnes — ale gdzie dowody, że nie pan jesteś ojcem tej dziewczynki, a umysłowo chory krewniak winy nie ponosi, jak wielu mniema?

— Przedewszystkiem, niema pomiędzy nami śladu podobieństwa, poza tem samem nazwiskiem. Mr. Neuilly przyzna chyba, że jestem mu całkiem obcy, podczas, gdy znał dobrze winowajcę. Nie trudno też będzie stwierdzić identyczność moją, gdyż zna mnie mnóstwo osób w Nowym Orleanie. Ale o tem potem, teraz wracam do mego opowiadania.

Postanowiłem dostać w swe ręce dziecko, wiedząc jednocześnie, że Montalbon nie zgodzi się dobrowolnie. Drogą ustawową nie mogłem nic sprawić, nie wyjawiając pochodzenia, czego pragnąłem uniknąć dla małej, oraz pamięci jej matki. Dlatego porwałem ją wprost z ulicy. Nastawiono na mnie moc detektywów, ale Mr. Barnes poświadczy chyba, że się tego nie boję. Wodziłem ich za nos przez dwa lata, aż zaprzestali śledztwa, prawdopodobnie z powodu, że Montalbon nie mogła już płacić. Podniecenie to zrobiło mi doskonale, mogłem zapomnieć o trosce mojej i miałem zajęcie. Dopiero gdy to zupełnie ustało, udałem się w podróż i wróciłem z Europy do Nowego Jorku półtora zaledwo roku temu. Niedługo potem otrzymałem list i fotografię, które pan znasz.

— Nie mam zamiaru wymuszać od pana pieniędzy — powiedziała wchodząc — ale posiadam coś, co pan zapewne chętnie kupi.

Na pytanie wyjaśniła, że jest to metryka jej ślubu z moim krewniakiem, metryka jego ślubu z matką dziecka, oraz metryka jej ślubu z innym, żyjącym jeszcze człowiekiem.

— Boże wielki! — wykrzyknął Mr. Neuilly. — Jeśli posiadała te dokumenty, to były one dowodami, że jej małżeństwo z krewniakiem pańskim jest nieważne, natomiast jego małżeństwo z matką Róży najzupełniej legalnie nastąpiło.

— Tak jest istotnie. Dałem babie za to wszystko dziesięć tysięcy dolarów. Czy to nie za drogo?

— Ależ nie! Ja dałbym dwa razy tyle!

— Dowiedzieć się panowie jeszcze, jak bezczelną była ta baba. Zagroziła mi, na wypadek niezapłacenia żądanej kwoty, że poda, na podstawie owej metryki, mnie jako swego męża, pozostawiając mi sprawę udowodnienia, że wyszła za mego chorego krewniaka, nie za mnie. Skandal taki byłby mi wówczas bardzo nie na rękę, przeto zapłaciłem, gdyż papiery, zawierające uczciwe nazwisko mojej dawnej narzeczonej i jej dziecka, warte były tej kwoty.

— Raz jeszcze muszę spytać, — rzekł Barnes, — czy możesz pan dowieść, że nie pan byłeś mężem Montalbon?

— Dowód stanowi sam fakt, że mi wydała te dokumenty.

— Wcale nie! — odparł detektyw. — Przypuśćmy, że byłeś pan istotnie jej mężem, a chcąc wejść w związek z Miss Remsen, zapłaciłbyś pan każdą kwotę za dokument, stwierdzający nielegalność małżeństwa pierwszego.

— Mr. Barnes, widzę, niewierny Tomasz z pana, przeto dam inny dowód jeszcze.

Rzekłszy to, podszedł do biurka i wrócił z kilku papierami.

— Tu oto, masz pan zeznanie tej osoby, jakie spisaliśmy przy zawieraniu umowy. Zgodne jest one w zupełności, z tem co mówiłem. Ale ponieważ mógłbyś pan sądzić, że i to jest wymuszone i nieprawdziwe, dlatego dam inny jeszcze dowód. Proszę zobaczyć! — rzekł podając papier starcowi. — Jest to metryka ślubu krewniaka mego z Montalbon. Jak

to czynią niektórzy, przykleiła ona do papieru obie fotografie. Pytam pana Mr. Neuilly, czy jest to człowiek, którego znałeś pan?

— Racja zupełna, Mr. Mitchel! Poznają dobrze te rysy, podczas kiedy pańskie były mi dotąd nieznanne. Człowieka tego uważałem zawsze za męża Montalbon i ostatniego szubrawca.

— Cóż pan na to, Mr. Barnes?

Odpowiedź Barnes'a obliczona była na zaskoczenie słuchaczy. Ale nie powiodło mu się wcale.

— Panie Mitchel, czy możesz mi pan powiedzieć, kto zamordował Różę Montalbon?

— Nie mam obowiązku odpowiadać na to! — rzekł spiesznie.

— W takim razie żegnaj pana! — rzekł Barnes, wstając. — Chodźmy już, panie Neuilly.

— Zostań pan, proszę! — wtrąciła Emilja, zanim staruszek mógł odpowiedzieć. — Nie widział pan jeszcze dobrze Róży, a ucieszyłoby nas wielce, gdyby pan zechciał wziąć udział w naszej uczcie ślubnej.

— Ha, ha, ha! Mr. Barnes, czyż ona nie jest godną mnie małżonką? Zabiera panu świadka! Panie Neuilly, racz pan przyjąć zaproszenie nasze!

— Z największą przyjemnością. Mr. Barnes, racz pan w tym razie przebaczyć i nie brać mi tego za złe.

— Oczywiście! Masz pan zupełną rację, zostając. Życzę państwu szczęścia, które oby potrwało jak najdłużej! Żegnaj! — powiedział Barnes i wyszedł.

— To straszne, naprawdę, — zauważył Mitchel — do czego może doprowadzić detektyw, idąc śladem przypuszczenia swego! Czy wiesz, królowo moja, że Barnes wierzy, a raczej wierzył, iż to ja zamordowałem ową kobietę! Cóż ty na to?

W odpowiedzi, pocałowała go bez słowa w czoło, wyszła, ale wróciła zaraz, wiodąc za rączkę małą Różę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY. BARNES ODKRYWA OBIECUJĄCY ŚLAD

Nazajutrz po ślubie wyjechali nowożeńcy na Zachód, przyrzekłszy Mrs. Remsen i Dorze spotkać się pod koniec lata w Białych Górach. Z początkiem lipca udały się panie Remsen i państwo Rawlston do Jeffersonu, małego miasteczka w New Hampshire u stóp góry Plinjusza. Około połowy tegoż miesiąca pojechał Randolph do tej samej miejscowości i dotarł pocztą, około ósmej do hotelu Woumbecka, ale został niemile zdumiony, gdy go zaraz u wejścia pozdrowił Thaurer, co dowodziło, że rywal jego nie pomijał żadnej sposobności zbliżenia się do Dory Remsen, Thaurera również nie ucieszyło przybycie Randolpha i uznał za stosowne doprowadzić co prędzej do rozstrzygnięcia. Zdarzyło się tegoż wieczoru, że był sam z Dorą na werandzie i postanowił mówić zaraz, nie oczekując innej sposobności.

— Miss Doro, — zaczął bez wstępu, siadając obok niej — czy pamięta pani naszą rozmowę niedawną, na temat samotności i tęsknoty za towarzyszem?

— O tak! — przyznała otwarcie. — Czy chcesz ją pan wznowić?

— Jeśli pani zezwoli. Wszakże musi pani pamiętać, że otrzymałem przyrzeczenie odpowiedzi po ślubie siostry.

— Sądziłam, że będzie mi jej bardzo brakować i poczuję się samotną. Czyż nie tak? Brak mi jej, coprawda, ale nie byłam samotna i to zawdzięczam panu właśnie. Dziękuję bardzo. Byłeś pan niezmiernie uprzejmy zawsze.

— Czy mówi pani to serjo? — spytał z ożywieniem.

— Oczywiście! Czemużbym nie miała wyznać tego co jest prawdą?

— Tak, tak, ale młode damy ukrywają często istotne uczucia swoje, a nawet powiem, że owo tłumienie uczuć uznawane bywa dziś za rzecz wskazaną.

— Tłumienie? — wykrzyknęła ze śmiechem. — Czy sądzisz pan, że zgodziłabym się kiedykolwiek na jakiś przymus?

— Zaprawdę, nie! I mam nadzieję, że nie zajdzie potrzeba obrony przeciw temu. Ale jeśli nie była pani osamotnioną, to może zajmowały ją myśli inne, np. o miłości?

— Ach...

— Właśnie radbym posłyszeć zdanie pani w tej sprawie. Czy, wyszedłszy za mąż, czułaby się pani bardziej, czy mniej szczęśliwą?

— Trudno odpowiedzieć. Zależy to od tego, jakim byłby mąż mój... nieprawdaż?

— Przypuśćmy tedy, że my oboje...

— Proszę nie mówić w sposób tak osobisty. Na to przystać nie mogę, gdyż przyrzekłam.

— Przyrzekła pani? Nie rozumiem.

— Uczyniłam, powiedzmy, zakład. Wszakże wolno zakładać się? Oczywiście, niema w tem nic złego. Otóż założyłam się z Bobem, to jest z Mitchelem, że do 1. stycznia nie przyrzeknę nikomu ręki swojej. W razie wygranej, a chcę usilnie wygrać, musi mi Bob wypłacić tysiąc dolarów. Jestem wszakże młoda i mogę czekać tak niedługo, zresztą.

— A jeśliby konkurent nastawał na odpowiedź niezwłoczną?

— Nicby mnie to nie obchodziło. Jeśli mnie nie dość kocha, by czekać, obejdę się bez niego.

— A więc nie... Miss Doro... nie będę pytał... proszę tylko, wiedz pani, że ją kocham do szaleństwa i...

— Dość tego! Jeśli mnie pan istotnie tak szalenie kochasz, to zgodzisz się zaczekać do Nowego Roku na odpowiedź! — słowa te, wypowiedziane poniekąd oschle, obniżyły nadzieję Thauręta, ale nabrał znowu wielkiej otuchy, gdy rzekła bardzo miękko: — Nie chciałam pana dotknąć, proszę mnie nie uważać za kobietę bez serca, ale chcę wygrać zakład. Nie tyle mi zależy na pieniądzu, ile na pokazaniu szwagrowi, że potrafię władać sobą. Jeśli mnie pan kochasz naprawdę, nie zechcesz unicestwić zwycięstwa mego.

— O nie, nie, słodka dziewczyno, niechże się stanie wedle woli pani. Radbym tylko wiedzieć, czy posiadam jakieś szansę?

— Oczywiście! Każdy posiada szansę. Nie mogę panu powiedzieć jak wielkie są pańskie, gdyż chcę wygrać zakład uczciwie. A teraz: Dobranoc!

Odeszła, a słowa jej ostatnie długo tętniły mu w uszach, napełniając otuchą.

W ciągu ostatnich tygodni Randolph przechodził tortury zazdrości. Ile razy był sam na sam z Dorą, okazywała mu życzliwość i dobroć, i przybierała często ton, od którego skakało mu serce w piersi, ale nie mógł z niej wydobyć odpowiedzi innej, prócz dawnej, by czekał cierpliwie. Czekał tedy choć niecierpliwie.

Tymczasem Barnes czynił dalej poszukiwania za związkiem zagadek, które zdawały się wprost kpić z niego. Jedno tylko było jasne, mianowicie, że Fisher nie miał nic wspólnego z kradzieżą w pociągu. Wprawdzie szpieg Barnesa wysledził, że w czasie krytycznym nie było go w Nowym Jorku, ale właśnie przez to została udowodniona niemożliwość współudziału, bowiem polował na kaczki w innej części kraju. Mógł co prawda być wplątany w kradzież rubinu, a chociaż poza jego obecnością na maskaradzie nie było poszlak innych, nie wyłączył go detektyw poza krąg swych dochodzeń.

Faktycznie nie uczynił Barnes żadnego postępu. Wkońcu wpadła mu myśl dobra, która wywierała nań pociąg tem większy, im dłużej się nią zajmował. By ją atoli zrealizować, musiał czekać na powrót Mitchela, będąc zdania, że zaszkodziłby sprawie, napastując go podczas podróży poślubnej. Nastąpił już listopad, gdy Mitchel wrócił наконец, a Barnes udał się doń niezwłocznie.

— Czy są wieści o rubinie żony mojej? — spytał Mitchel, ściskając serdecznie dłoń jego.

— Nie, przykro mi bardzo, że nie mogłem trafić na ślad klejnotu, natomiast postanowiłem, które pana może zdziwi. Przybywam z prośbą o pomoc pańską w sprawie morderstwa.

— Oczywiście, godzę się. Czyż nie przyrzekłem tego odrazu i czy nie byłem zawsze gotów mówić o tem szczerze?

— Przyznaję w zupełności, ale jak długo sądziłem, że pan jest w to wmieszany, nie mogłem, oczywiście, prosić o współdziałanie.

— Nie masz pan tedy podejrzenia na mnie?

— Nie. Doszedłem wkońcu do przekonania, że pan jesteś niewinny i żałuję tylko, iż nie nastąpiło to wcześniej.

— Czy możesz mi pan powiedzieć, co go skłoniło do zmiany poglądu?

— Oczywiście. Wiadomo panu, że podsłuchałem zakład, zaraz potem nastąpiła kradzież i morderstwo. Nieco później skradziono rubin, a wszystko to odbyło się w terminie przez pana oznaczonym. Jedną z tych zbrodni musiałeś pan chyba popełnić i to prawdopodobnie kradzież rubinu, za co, w danych okolicznościach, nie podlegasz pan karze. Czy wnioskowałem niesłusznie?

— Wnioskowanie całkiem słuszne, chociaż nie przyznaję faktów.

— Jestem zdecydowany wyśledzić stosunek tych kradzieży do morderstwa. Obecnie sądzę, że sprawca rabunku klejnotów w pociągu jest zarazem mordercą. Posiadam nitkę, za którą dotąd iść nie mogłem. Ale pewny jestem, że jeśli ją podejmę, zaprowadzi mnie wprost do mordercy.

— Jakaż to nitka?

— Zgubiony guzik z kameą. Fakt, że w sposób tak dziwny przypomina garnitur pański, musi rzucić światło wyjaśnienia na sprawę.

— Jakiej pomocy spodziewasz się pan stąd?

— Jak długo uważałem pana za winnego, sądziłem, że pan kłamiesz, mówiąc, iż siódmy guzik garnitur, z głową Szekspira znajduje się w posiadaniu żony pańskiej. Dlatego uznałem za rzecz konieczną posiść go zpowrotem. Teraz atoli, gdy uważam pana za niewinnego morderstwa, przyszła mi myśl inna. W chwili, gdy panu oznajmiłem o znalezieniu guzika, chciałem go pan obejrzeć, przed udzieleniem wyjaśnień, potem zaś zwróciłem go pan z uśmiechem uspokojenia. Gdyby był dla pana niebezpieczny, trzeba by na to niesłychanego panowania nad sobą, by przybrać wyraz tak swobodny i oddać mi ten przedmiot. Otóż radbym uzyskać odpowiedź, po czym poznałem pan zaraz, że guzik nie zalicza się do pańskiego garnitur?

— Mr. Barnes! Przedewszystkiem wiedziałem dobrze, że istnieją tylko trzy takie, ponieważ zaś miałem je, czułem się bezpiecznym. Atoli zachodzi pewna różnica pomiędzy guzikami. Czy masz pan swój przy sobie?

— Tak, proszę!

— Zatrzymaj go pan. Gdy Miss Remsen zamawiała te guziki, dała polecenie, by na każdym, we włosach danej postaci wycięto małą literkę, a mianowicie: *R.* na włosach Romea, albowiem zwała mnie: „Roy”, zaś *K.* na włosach Julji, gdyż zwała ją „królową”. Z pozoru liter tych nie widać, ale spojrzawszy przez szkło powiększające, łatwo je potem dostrzeże każdy gołym okiem. Weź pan, proszę, to szkło i obejrzyj swój guzik w miejscu, gdzie zaczynają się włosy na karku. No i cóż pan widzisz?

— Na miłość boską! — wykrzyknął detektyw. — To rzecz wielkiej wagi! Mam tutaj głowę Julji, przeto powinna być litera: *K.* Wydaje mi się, że usiłowano nawet wyciąć tę literę, ale dłużej ześliznęło się, odrywając część kamienia. Litera jest zniekształcona. Wątpię, czy mógłbym to dojrzeć gołym okiem.

— Masz pan rację. Swego czasu szukałem tylko tej litery, a nie znalazłszy jej, byłem całkiem spokojny.

— Guzik sporządził wyraźnie ten sam człowiek, który ciął garnitur pański. Szyte, albo człowiek, w którego posiadanie dostało się to, powinien i musi nawet wyjaśnić mi, w jaki sposób kamea znalazła się w pokoju zamordowanej. Pan zaś zechce mi powiedzieć, skąd te rzeczy pochodzą.

— Uczynię to pod warunkiem, że bez względu na wynik dochodzeń pańskich przyrzekniesz mi pan nie przedsiębrać niczego przed dniem 1. stycznia, o ile to nie będzie wprost niezbędne.

— To znaczy, że nie mam nikogo aresztować?

— Tak właśnie. Możesz mi pan dać z całym spokojem to przyrzeczenie, bowiem gwarantuję, że człowiek ten nie ujdzie pan. Znam go.

— Jaki? Znasz go pan? — wykrzyknął Barnes, zdumiony, że Mitchel to przyznaje.

— Tak jest, znam go. To znaczy posiadam przekonanie wewnętrzne. Wiedząc, że jestem niewinny, zyskałem wielką nad panem przewagę i śledziłem odtąd bez przerwy danego osobnika. Zebrałem dużo doskonałych poszlak, ale nie wystarczają one jeszcze do aresztowania. Jeśli pan pójdiesz tym śladem, dotrzesz napewno do odkrycia i ujęcia zbrodniarza.

— Proszę mi wymienić nazwisko.

— Nie, lepiej będzie, jeśli bez porozumienia dojdiesz pan do tego samego wyniku. Pracuj pan różnie i sam. Radbym bardzo, by rzecz została załatwiona w dzień 1. stycznia.

— Dlaczegoż to?

— W tym dniu wygram zakład i wydam ucztę, która mi sprawi dużo przyjemności, jak sądzę. Proszę także nie zapomnieć, że przegrałem do pana kolację i zapraszam na dzień 1. stycznia. Jeśli zdołasz pan ująć w tym czasie ptaszka, tem lepiej.

— Wezmę się z całym zapałem do roboty, ale zechciej pan podać mi adres jubilera, który dostarczył wiadomych guzików.

Mitchel napisał nazwisko i adres firmy paryskiej, podał Barnesowi kartkę i ją zaraz pisać na drugiej.

— Mr. Mitchel! — wykrzyknął detektyw. — Jest to wszakże ta sama firma, w której kupiłeś pan pańskie kamienie, tak bardzo podobne do skradzionych. Nawiązałem z tymi ludźmi korespondencję, ale odpowiedzieli, że nic o tem nie wiedzą.

— Wiem dobrze. Stało się to na zlecenie moje! — odparł Mitchel z uśmiechem, a Barnes nabrał raz jeszcze przekonania, że walczył z człowiekiem, pamiętającym o każdym szczególe. — Byłem pewny, żeś pan zanotował firmę, widniejącą na rachunku, i poprosiłem, by nie dawano żadnych informacji. Ale odnośnie do tego guzika nie mogłem sam zasięgnąć żadnych wyjaśnień. Będzie to możliwe na miejscu, a list niniejszy dopomoże panu niewątpliwie.

Rozstali się zaraz, zadowoleni wzajemnie z wyniku rozmowy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY. UCZTA NOWOROCZNA

Nastał Nowy Rok, a Mitchel wiedział o Barnesie tyle tylko, że jest nieobecny i niewiadomo kiedy wróci. Było mu niemiłym, iż musi nań chyba czekać z kolacją, ale nie mogąc przeciągać dłużej przygotowań, miał nadzieję zobaczyć detektywa w chwili ostatniej.

Miano biesiadować o dziewiątej u Dolmenika, gdzie Mitchel zamówił salkę, a goście zebrali się na dziesięć minut przed oznaczonym czasem. Byli obecni Van Rawlston, Randolph, Fisher, Neuilly, który postanowił spędzić zimę w Nowym Jorku, Thauret i kilku jeszcze panów.

Pół minuty przed dziewiątą wszedł Barnes. Mitchel rozpromieniał triumfem na jego widok, pozdrowił i podczas, gdy goście udawali się do jadalni, zdążył zamienić słów kilka z detektywem.

— Mów pan prędko, czy jest sukces?

— Zupełny.

— Dobrze. Napisz mi pan na kartce nazwisko tego człowieka, ja zaś dam panu drugą, gdzie go zanotowałem.

Barnes uczynił to, zamienili kartki, a spojrzawszy, uścisnęli sobie znacząco dłonie. Na obu kartkach widniało to samo nazwisko. Barnes zajął przy stole miejsce pomiędzy Thauretem, a Adrjanem Fisherem.

Podobnie, jak czytelnik czeka z napięciem rozwikłania, czekało na to samo całe towarzystwo, to też nie będziemy opisywać wyśmienitej uczyty.

O oznaczonej godzinie, stał na stole już tylko deser, owoce i orzechy. Mitchel wstał i jął mówić wśród ciszy głębokiej.

— Łaskawi panowie! Byliście tak dobrzy przybyć na zaproszenie moje, będące rozstrzygnięciem zawartego przed trzynastu miesiącami, nieco lekkomyślnego zresztą, zakładu. Ponieważ kilku z obecnych nie wie może o co idzie, przeto objaśnię pokrótce.

Opowiedziawszy to, o czem wiemy z pierwszego rozdziału, ciągnął dalej:

— Wygrałem zakład, albowiem popełniłem zbrodnię. Zdarzyło się przed laty, że skutkiem pewnych okoliczności zapoznałem się dokładnie z metodami detektywów, śledzących winowajcę i to mnie napełniło przekonaniem, że zbrodniarz, który dokonywa czynu swego bez świadków, z zupełnym spokojem, rozmysłem i zimną krwią, bezpieczny jest mniej więcej przed śledztwem. Pragnąłem uzyskać sposobność stwierdzenia tego przypuszczenia, to znaczy chciałem dokonać zbrodni, w tym tylko celu, by wystawić na próbę zręczność detektywów. Główną trudność stanowiło to, że człowiek honoru jest bardzo ograniczony w wyborze zbrodni, jakie chce popełnić. Przez cały szereg lat nie

mogłem znaleźć sposobu zaspokojenia tego mego zamysłu, aż wkońcu przypadek nada-
rzył mi upragnioną sposobność. Proszę napełnić szklanki!

Milczał, podczas gdy spełniano rozkaz jego. Kelnerzy nalewali szampana, gdy zaś jeden
z nich przystąpił do Thaureta, Francuz zażądał burgunda a Barnes uczynił to samo.

— Jak panowie wiecie może, — podjął po odejściu kelnerów — mam pasję zbiera-
nia klejnotów. Przed paru laty doniesiono mi, że jest do nabycia mała, ale bardzo cenna
kolekcja, prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju i to w podwójnych egzemplarzach, rów-
nych wielkością, szlifem i barwą. Kolekcja ta, pierwotnie własność pewnego księcia hin-
duskiego, została po jego śmierci rozdzielona pomiędzy dwie córki, bliźniaczki, przez co
wartość jej została znacznie zredukowaną, bowiem wiadomo, że parę zupełnie podobnych
klejnotów płaci się nierównie wyżej, niż każdy z nich pojedynczo. Zmienne koleje losu
zmusiły jedną z księżniczek do sprzedania kamieni. Zwróciła się do paryskiego jubilera,
z którym już nieraz miałem sprawy, a on odprzedał mi tę kolekcję nieoprawnych klejno-
tów. Przykład siostry oddziałał na drugą księżniczkę, która zwróciła się do tego samego
pośrednika. Oczywiście, zależało mi bardzo na posiadaniu duplikatów, zwiększających
znacznie wartość zbioru, przeto kupiłem je także.

Umilkł na chwilę, by goście ochłonęli z wrażenia, iż skradzione klejnoty były także
jego własnością.

— Polecilem jubilerowi, by drugą przesyłkę wysłał przez Boston, gdzie, jak wiem
z doświadczenia, szybciej odbywa się ekspedycja celna, a gdy mnie o tem zawiadomił, po-
jechałem do Bostonu, po odbiór klejnotów. Puzderko włożyłem do torebki, sporządzonej
specjalnie wedle zleceń moich, i zamknąłem w szufladzie biurka w hotelu Vendome. Pod
wieczór, spotkawszy Randolpha, poszedłem z nim do teatru. Chciał pociągiem o dwu-
nastej wracać do Nowego Jorku, przeto odprowadziłem go na dworzec. Możecie sobie,
panowie, wyobrazić moje zdumienie, gdy stojąc przy kasie ujrzałem jakąś kobietę, która
przechodziła tuż obok z torebką moją. Pomyłka była wykluczona, bowiem torebka była
niezwykła co do kształtu i barwy, jak to już zaznaczyłem. Wiedziałem, oczywiście, nie-
zwłocznie, że mnie okradziono. Próżną stratą czasu było wracać do hotelu, gdyż cudem
tylko mogły się zdarzyć dwie takie torebki. Podczas kiedym dumał co czynić dalej, zaczął
Randolph pisać hymny pochwalne ku czci Mr. Barnesa. Po zawarciu zakładu błysnęło mi,
że mam oto pożądaną zdawną sposobność odkradzenia złodziejce własności mojej. Na
wypadek schwytania, nie mogłem być karany, w przeciwnym razie wygrywałem zakład,
mając ponadto miłą emocję. Randolph zasnął zaraz, ja atoli spać nie mogłem, myśląc
o klejnotach wartości stu tysięcy dolarów. Dumając co czynić, musiałem zdrzemnąć się
trochę, gdy nagle pociąg stanął. Była to pierwsza stacja New Hawen i zaraz mi przyszło na
myśl, że złodziejka może tutaj wysiąść. Już miałem wstać, gdy spostrzegłem przez okno,
przy którym się mieściło na szczęście miejsce moje, po stronie pociągu odwróconej od
peronu, jakiegos człowieka, który skradał się w sposób podejrzany. Zwróciło to uwagę
moją — i gdy mijał okno, zauważyłem przy świetle latarni, że ma w ręku wiadomą toreb-
kę. Złodziejka została tedy ze swej strony okradziona. Człowiek ten podszedł ostrożnie do
stosu brykiet węgla przy torze, wyjął dwie, wsunął torebkę, zatkał otwór jedną, a drugą
odrzucił. Potem wrócił do pociągu i wsiadł. — To mistrz wielki! — pomyślałem. — Po-
zostanie w pociągu aż do odkrycia kradzieży, pozwoli się najspokojniej w razie potrzeby
zrewidować, potem zaś wróci potajemnie i zabierze torebkę z klejnotami! Trzeba było
działać spiesźnie. Opuuszczając wagon w sposób zwyczajny, mogłem zostać spostrzeżony.
Dlatego spuściłem cicho okno, wylazłem na zewnątrz, odnalazłem torebkę i pobiegłszy
na koniec dworca, wsunąłem ją pod podest towarowy, zbudowany z kłoców drzewa, gdzie
łatwo mi było odnaleźć własność moją. Zaręczam wam, panowie, że przez resztę podróży
spalem wyśmienicie.

Zebrani dali oklaski, a Mitchel podziękował ukłonem.

— Drodzy przyjaciele, — rzekł — nie skończyłem jeszcze. Dama, którą widziałem
z torebką moją, była na tyle bezczelna, że zgłosiła stratę. Gdyśmy się zbliżali do Nowego
Jorku, kazał Mr. Barnes zrewidować wszystkich. Domyślałem się, że podsłuchał mój za-
kład z Randolphem, że miał mnie w podejrzeniu i byłem wielce rozradowany. Z drugiej
strony jednak, obecność detektywa była mi niezbyt miłą, gdyż miałam zamiar wracać co
prędzej do New Hawen, celem zabezpieczenia klejnotów.

Zaprosiłem go na śniadanie, a w ciągu rozmowy udawałem, iż go namawiam, by mi nie nasyłał na kark innych jeszcze detektywów. W rzeczywistości jednak chciałem wyba- dać, czy może zaraz wysłać za mną szpiega, to jest, czy ma jakiegoś pomocnika na dworcu centralnym. Przekonałem się, że tak było w istocie. Dlatego musiałem zrazu udać się do mieszkania i czynić wszystko tak, jakbym nie miał zamiaru opuszczać miasta. Potem udało mi się, przy pomocy bardzo do tego celu sposobnych mostów kolei nadziemnej, umknąć przed pościgiem i pojechać do New Hawen. Tam znalazłem torebkę i oddałem ją w przechowanie płatniczemu pobliskiej stacji gospody. Łatwo odgadnąć cel, jaki miałem. Wiedząc, że sprawę podniosą dzienniki, chciałem przez dziwne zachowanie... oczywiście, będąc przebrany... skierować tam uwagę. Stało się to i klejnoty zostały oddane pod opie- kę policji. Trudno było o miejsce bezpieczniejsze. Oto, moi panowie, dzieje dokonanej zbrodni. Wystarczy mi pokazać pokwitowanie bostońskiego urzędu cłowego i rachunek paryskiego jubilera, a własność moja zostanie mi wydana. Czyś teraz zadowolony, Ran- dolphie?

— Najzupełniej. Wygrałeś zakład uczciwie. Mam przy sobie czek na wiadomą kwotę, którą przyjąć musisz, wraz ze szczerą gratulacją z powodu powodzenia.

— Dziękuję ci! — powiedział Mitchel, biorąc czek. — Użyję tej sumy w sposób, o którym dowiesz się zaraz. Przedtem jednak opowiem historię drugiej kradzieży.

Na te słowa spojrzeli wszyscy ze zdumieniem, a Thauret zdawał się podnieconym nerwowo. Popił łyk burgunda, a dłoń jego spoczęła przez chwilę na brzegu szklanki.

— Pamiętacie panowie pewnie — ciągnął dalej Mitchel — że w dniu festynu Ali Ba- by leżałem chory w Filadelfji i pochlebiam sobie, była to sztuczka największa, dokazana przeze mnie wciągu tej całej historii. Wiedząc, że pojechał za mną szpieg, przedsięwziąłem środki ostrożności, by nie być śledzonym. Z drugiej strony spodziewałem się przyjazdu do Filadelfji Mr. Barnes'a, który pewnie chciał mnie zobaczyć, to też przy pomocy leka- rza postarałem się nabrać wyglądu chorego naprawdę. Ale nie uprzedzajmy faktów. Po kradzieży kolejowej, nastąpiło morderstwo. Dziwnym zbiegiem okoliczności, mieszkała zamordowana i moja ówczesna narzeczona w tym samym domu.

Dowiedziałem się, że tegoż wieczoru, kiedy dokonano morderstwa, szpieg szedł za mną podczas mego powrotu z teatru. Także inne okoliczności wzmacniały podejrzenie przeciw mnie, natomiast miałem wyższość nad detektywem, wiedząc że człowiek, który owej kobiecie skradł klejnoty, musi być wściekły, nie znalazłszy, po powrocie do New Hawen, łupu swego. Osądzając tę kobietę według siebie, mógł przypuszczać, że ona sama wyjęła klejnoty z torebki. Na tem się opierając, poszedł... przypuścmy... do niej, przyznał się do kradzieży i usiłował doprowadzić do zeznania, że posiada jeszcze klejnoty. Wy- obraźmy sobie, że mu się to nie udało. Tedy zakatrupił ją, by nie dopuścić do wyjawienia sprawy.

— Mr. Mitchel, mylisz się pan w tym wypadku! — wtrącił Barnes. — Ta kobieta zamordowana została podczas snu. Żadna walka nie miała miejsca.

— Nawet w takim razie możemy przypuścić, że zbrodniarz wśliznął się do mieszkania i zabił ją, by z całym spokojem szukać kamieni, pozbywając się jednocześnie świadka, już nie potrzebnego. Takie mi się nasuwało przypuszczenie, tem więcej, że znałem, rzekomo, tego człowieka.

W tej chwili sięgnął Thauret po szklankę swoją, atoli zanim ujął, chwycił ją Barnes i wychylił niemal do dna. Pozieleniały z wściekłości, zwrócił się doń Thauret, ale nastąpił epizod, którego nie zauważyli goście. Barnes pokazał sąsiadowi lśniąca lufę rewolweru, trzymanego pod stołem. Cała rzecz trwała zaledwo ułamek sekundy, poczem obaj zdali się uważnie słuchać opowiadania Mitchela, który ciągnął dalej:

— Twierdząc, że znałem danego osobnika, muszę rzecz dokładniej wyjaśnić. Przedew- szystkiem obserwowałem go, gdy skrywał w New Hawen torebkę. Ale rozpoznanie byłoby niedostateczne, ponieważ widziałem go przelotnie tylko. Małe wydarzenia wywołują nieraz podejrzenie, wiodące do rozwikłania zagadki, jeśli się je śledzi bacznie. Jeszcze przed kradzieżą kolejową widziałem w klubie pewnego pana, który grał w karty zdaniem mojem fałszywie. W kilka dni później spotkałem go przy pewnej okazji, a Mr. Barnes był także obecny. Łamałem sobie głowę, gdzie mógł widzieć tego człowieka. Oczywiście, w klubie, ale miałem wrażenie, że jeszcze gdzieindziej. Za chwilę usłyszałem, jak mówił, że był w wiadomym pociągu i został pierwszy zrewidowany.

To mnie przekonało, że mam przed sobą złodzieja. O morderstwie nie wiedziałem wówczas jeszcze. Proszę nie zapominać, że sam tkwiłem w sieci poszlak i dlatego, zarówno dla bezpieczeństwa własnego, jak też i dobra ogółu winienem był dowieść winy tego człowieka. W tym celu nakreśliłem plan śmiały pozyskania jego przyjaźni. Pewnego wieczoru, zaprosiwszy do siebie, obwinilem go bez ogródek o grę fałszywą. Zrazu oburzał się, ja jednak, całkiem będąc spokojny, zaskoczyłem go, proponując spółkę. Powiedziałem, że nie jestem tak bogaty, jak ludzie myślą, a wszystko co posiadam, zyskałem u stołów gry w Europie. Słyszac to, przyznał, że posiada pewien „system” i odtąd byliśmy wobec świata zażyłymi przyjaciółmi, chociaż jestem przekonany, że mi nigdy w pełni nie zaufał. Wszedłszy w ten sposób w stosunki z tym osobnikiem, byłem gotów do wymierzenia wielkiego ciosu, który miał cel podwójny, mianowicie wprowadzenie w błąd detektywa, przez co wygrywałem zakład, oraz wciągnięcie podejrzanego w pułapkę. Pewnego dnia pokazałem panu Barnesowi rubin, później ofiarowany narzeczonej. Jednocześnie powiedziałem mu, że jeśli mnie uważa za niewinnego kradzieży kolejowej, winien pamiętać, iż muszę w oznaczonym terminie dokonać zbrodni.

Teraz ułożyłem plan maskarady Ali Baby, naznaczając termin na wieczór przed dniem Nowego Roku, kiedy czas mój upływał właśnie. Wiedziałem, że detektyw nabierze przekonania, iż chcę okraść narzeczoną, to znaczy popełnić zbrodnię, za którą nie zostanie ukarany, o ile będę z nią w porozumieniu. W tym punkcie atoli źle mnie osądził Mr. Barnes, gdyż za żadną cenę nie byłbym wplątywał nazwiska Emilji w tę sprawę. Nie wiedziała nic. Ponieważ jednak nie znała jeszcze szczegółów kradzieży kolejowej, a przeto nie miała pojęcia, iż dokonałem już zbrodni wymaganej zakładem, umyśliła nie stawiać oporu złodziejowi, za którego uważała mnie.

Następnie pojechałem do Filadelfji, zachorowałem, umknąłem szpiegowi i zjawiłem się na zabawie. Oczekiwałem tego, że Mr. Barnes będzie obecny, to też urządziłem wszystko w ten sposób, by mu przypadł kostjum rozbójnika. Podejrzanego poprosiłem, by wziął mój kostjum Ali Baby, ale spryciarz ten podsunął go znajomemu, sam biorąc przebranie rozbójnika.

To mnie zmusiło zagadnąć wszystkich w ten sposób przebranych i zdołałem poznać po głosie zarówno mego ptaszka, jak i pana Barnes'a. W czasie ostatniego obrazu usiłował detektyw, pilnujący wyraźnie Ali Baby dostać się w jego pobliże, ale stanął przypadkowo za moim podejrzanym. Zdjęty obawą, że pokrzyżuje plany moje przecisnąłem się doń. Chciałem doprowadzić do kradzieży rubinu, bowiem dałoby mi to osobisty, przynajmniej, dowód, że podejrzenie moje jest uzasadnione. Plan ten, przynajmniej, szalony, udał się. Obserwowałem mego ptaszka, gdy składał salaam sułtanowi i Szecherezadzie i wyciągnął tej ostatniej klejnot z włosów. Mr. Barnes, który to widział także, spróbował chwycić złodzieja zaraz, ale przytrzymałem go ztyłu, a potem pchnąwszy w gęstwę stłoczonych gości, opuściłem niepostrzeżenie dom, korzystając z zamieszania.

Mitchel umilkł. Nastąpiła cisza, a zebrani czuli raczej, niż wiedzieli, że nastąpi tragedia.

— Może pan wymieni nazwisko złooczyńcy? — spytał wkońcu Thaurer.

— Nie! — oświadczył Mitchel spiesznie. — Nie mam bowiem niezbitych dowodów winy jego.

— Wszakże mówiłeś pan, żeś widział jak kradł rubin! — zauważył Thaurer.

— Tak jest. Ponieważ jednak sam zostałem o to posądzony, nie mógłbym dać dostatecznie ważkiego zeznania. Oto com uczynił dalej w tej sprawie. Szło głównie o uniemożliwienie sprzedaży rubinu, co nie było rzeczą trudną, gdyż znają go handlarze całego świata. Zawiadomiłem ich a jednocześnie i mego podejrzanego. Życzeniem mojem było także przesunąć wyjawienie aż do dzisiejszego wieczoru, kiedy wygrać miałem zakład. Zauważyłem dawniej już, że mój ptaszek radby zaślubić bogatą Amerykankę, gdyż wypytywał zrzęcznie o majątek mojej młodej szwagierki. Dałem odpowiedź tego rodzaju, że mogłem iść o zakład, iż będzie się starał pozyskać ją sobie. Potem uczyniłem coś może niewłaściwego, ale czując się panem sytuacji, chciałem kierować wydarzeniami. Założyłem się z Dorą, że do dziś nie przyrzeknie nikomu ręki swojej, podkreślając, że jeśli wygra zakład, dopomoże mi znacznie do wygrania mego.

Gdy Dora uczyniła ten zakład, Randolph cofnął się potrosze, skutkiem podejrzenia przeciw Mitchelowi, tak że była nań zła, nie uważając go już niemal za konkurenta. To też z wielkim niepokojem wysłuchiwała niespodzianych oświadczeń jego. Ale zdecydowana

wygrać zakład, postąpiła jak już wiemy. Chociaż Mitchel nie wymienił nazwiska zbrodniarza, wszyscy niemal obecni wiedzieli kogo ma na myśli.

— To więc wyjaśnia... — wykrzyknął Randolph gwałtownie i urwał w pół zdania.

— Tak! — odparł Mitchel. — To wyjaśnia wszystko. Nie gniewaj się, że musiałeś czekać, bowiem zyskujesz nie tylko wybrankę serca swego, ale i ten czek, który jej wręczyć muszę, jako kwotę zakładu. Moi panowie, wnoszę toast ku czci zwycięskiego Randolpha.

Wypito w milczeniu, gdyż zmieszani goście wiedzieli, że nastąpi coś poważnego i czekali na to w napięciu.

— Drodzy przyjaciele, skończyłem opowieść swoją — rzekł Mitchel — i dodam tylko, że poprosiłem pana Barnes'a, by podjął tę nić i o ile zdoła rozwikłał ją. Posłuchajmyż teraz jego sprawozdania.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY. SPRAWOZDANIE BARNESA

Panowie! — zaczął Barnes, powstawszy. — Jestem zwyczajnym sobie człowiekiem, wykonującym zawód mój, którym wielu pomiata, ja atoli mając konieczne do tego uzdolnienie, uważam go za swój obowiązek. Nasz szanowny gospodarz byłby niezrównanym detektywem, to też mając opowiedzieć to co uczynić zdołałem, podkreślam, że niczego bym był nie dokonał bez cennej jego pomocy.

W pokoju, gdzie dokonano morderstwa znalazłem dziwny guzik, tak podobny do garnituru posiadanego przez Mr. Mitchela, że zacząłem podejrzewać o tę zbrodnię. Dużo zużyłem czasu na wykrycie danego związku, ale nie był on stracony, gdyż odkryłem prawdziwe nazwisko nieboszczki, Róży Montalbon, co mi bardzo pomogło w dalszej pracy. Następnie, stwierdziwszy niewinność pana Mitchela, przyznałem to otwarcie i otrzymałem od niego adres paryskiego jubilera, który dostarczył guzików. Pojechałem tam.

Guzik posiadany przeze mnie miał błąd i z tego punktu wyszedłem. Jubiler podał mi nazwisko rzeźbiarza, który ciął dla niego kameje, ale o guziku z wadą nie wiedział nic. Dopiero przy pomocy policji paryskiej, po całym miesiącu poszukiwań odnalazłem tego człowieka. Powiedział mi, że go sprzedał przyjacielowi. Tenże podarował go pewnej damie, a gdy ją także odnalazłem, wyszło na jaw, że guzik, który poznała, został jej skradziony przez pewną kobietę, którą nazwała Kreolką. W ten sposób natrafiłem na ślad Montalbon. Niedługo wywieźdłem się, że ma przyjaciela, Jana Molitaire. Był to funkcjonariusz pewnej paryskiej firmy jubilerskiej i miał za zadanie wysyłkę kupionych klejnotów. On to właśnie sporządził spis drogich kamieni. Jeden egzemplarz znalazłem w sukni zamordowanej, a drugi pokazał mi Mr. Mitchel. Okoliczność ta była mi wówczas bardzo zagadkową, a jednocześnie podejrzaną.

Mr. Mitchel kupił podobno dawniej od tej kobiety cenne dlań dokumenty, zapłacił brylantami i poradził sprzedać je pewnej firmie paryskiej, dając w tym celu list polecający.

— Tak się stało! — wtrącił Mitchel. — Chciałem wydalić tę osobę z Ameryki, a także odzyskać brylanty, co mi się powiodło za pośrednictwem owej firmy.

— Przy sposobności sprzedaży tych brylantów, zobaczyła Molitaire'a — ciągnął dalej Barnes. — Niedługo potem kupił Mr. Mitchel drugą kolekcję, a Molitaire wiedział o tem, oczywiście, gdyż musiał zapakować kamienie, celem wysyłki do Bostonu. Prawdopodobnie, mając zamiar skraść je po odbiorze z cła, namówił on tę kobietę, by mu towarzyszyła za ocean, czego dowodem jest, że w dniu wysyłki klejnotów zaniechał swych funkcji w firmie, poczem ślad obojga znikł z Paryża.

— Wnioskujesz pan, że pojechali za kamieniami?

— Oczywiście. Po przybyciu, rozstali się, by ująć łatwiej podejrzaniu, a Montalbon zdołała podstępem zamącić mieszkanie w domu, gdzie przebywała pańska ówczesna narzeczona. Molitaire zamieszkał w hotelu Hoffmana. W ten sposób mogli spiskowcy łatwo obserwować pana i wybać, kiedy udasz się do Bostonu. Pojechali za panem i wzięli ten sam hotel. Gdyś pan, po odbiorze kolekcji, poszedł do teatru, para złodziejska, skorzystawszy z tego, skradła pańskie kamienie. Sądzę, poza tem, że masz pan może rację, określając w ten sposób postępowanie mordercy. Udał on się do tej osoby w nadziei, że wyjęła kamienie z torebki, zanim jej została skradziona. To wyjaśnia wszystko.

— Przepraszam, że się poważę sprzeciwić! — wtrącił Thaurer. — Zdaniem mojem, cała sprawa nie ma żadnego związku z tym człowiekiem... jakżeś go pan nazwał... aha... z tym Janem Molitaire. Nie mogę zgodzić się na to, że dostarczyłeś pan istotnie dowodu jego współudziału w zbrodni.

— Mnie się zaś wydaje, że to udowodniłem! — oświadczył Barnes.

— Nie jestem tego zdania! — podjął Thaurer tak spokojnie, jakgdyby szło o sprawę interesującą go powierzchownie tylko. — Powiedziałeś pan, że ta kobieta zapoznała się z Molitaire'em przy sposobności sprzedaży brylantów, poczem oboje znikli z Paryża. Potem ona zjawiła się w Nowym Jorku, skądże wiesz pan jednak, czy on nie wyjechał gdzieś indziej, np. do Rosji.

— Nie wyjechał do Rosji! — odrzekł Barnes. — Wiedz pan, że nazwisko Molitaire było przybrane, a rzeczywiste jest: Montalbon, zaś fakt wycięcia znaków z bielizny, o czym wszyscy wiedzą, nabiera w tem oświeceniu nowego znaczenia.

Słowa te obudziły zainteresowanie ogólne, ale Thaurer pozostał spokojnym.

— Każdy fakt jest pełen znaczenia! — oświadczył chłodno. — Jakże atoli objaśnisz go pan, o ile wogóle zdołasz pan to udowodnić?

— Molitaire był istotnie mężem zamordowanej. Przed laty już poróżnili się, ona zaś pojechała do Nowego Orleanu, gdzie założyła jaskinię gry. Podczas spotkania w Paryżu poznała go, gdy zaś ten ptaszek powziął zamiar jechać za klejnotami, było mu na rękę udawać zgodliwego, by użyć byłej żony za narzędzie. Po dokonaniu morderstwa, miał interes w zatajeniu nazwiska Montalbon przez wycięcie znaków z bielizny i sukien.

— Proszę wybaczyć, że kontynuuję tę rozmowę — rzekł Thaurer — ale interesuje mnie to wielce. Podziwiam szczerze szybkość, z jaką przenikasz pan czyny ludzkie, czyż jednak jest to rzecz całkiem pewna? Czyż przypuszczenie pańskie nie straciłoby dużo na wypadek, gdyby kobieta owa wycięła dawno już przedtem znaki, żyjąc pod przybranym nazwiskiem. Dowody poszlakowe nie są nigdy bez zarzutu, a w razie stracenia tego ogniwa, jakże zdołasz pan udowodnić winę owego Molitaire'a, czy Montalbona? To, że był mężem tej kobiety, nie jest przecież samo w sobie zbrodnią.

— Nie! — odparł Barnes, czując, że trzeba położyć kres utarczce słownej. — To że był jej mężem jest drobnostką, natomiast niezmiernie znaczenie mają fakty takie, jak odnalezienie w Paryżu fotografii owego Molitaire'a, którą przypadkowo zostawił w mieszkaniu, dalej rozpoznanie w niej człowieka, którego Mr. Mitchel uważa za złodzieja rubinu, a wkońcu odnalezienie przeze mnie, po powrocie do Nowego Jorku, tegoż klejnotu...

— Jakto? — wykrzyknął Mitchel. — Znalazłeś go pan?

— Proszę! — rzekł detektyw, podając mu kamień, a Thaurer zagryzł usta, z trudnością jeno zachowując równowagę.

— Przykro mi bardzo, że muszę panu sprawić rozczarowanie, Mr. Barnes, — rzekł Mitchel, obejrzawszy kamień — ale nie jest to mój rubin.

— Czyś pan całkiem pewny? — spytał detektyw z uśmiechem zwycięskim.

— Tak jest, chociaż należy się panu pełne uznanie, bowiem chociaż nie rubin, jest to kamień skradziony. Posiadam imitacje cenniejszych kamieni moich, a czyniąc swą małą próbkę, nie chciałem używać za przynętę drogiego klejnotu, tylko imitację, która jest tu oto. Ale jakżeś to pan zdobył?

— Od kilku już dni jestem zpowrotem w Nowym Jorku i przez cały czas śledziłem osobiście owego Montalbona. Ku memu zdumieniu udał on się wczoraj na policję i uzyskał zezwolenie na obejrzenie kamieni, pod pozorem, że może zdoła przyczynić się do wyświetlenia zagadki. Czując zdradę, uzyskałem takie samo zezwolenie, a rzeczoznawcy stwierdzili, że podczas oglądania łotr ten zamienił rubin prawdziwy na skradzioną imitację.

— Na Boga! — wykrzyknął Mitchel. — Ten człowiek, to mistrz swego rodzaju! Zawdzięczam panu tedy odzyskanie rubinu prawdziwego! Ale proszę opowiedzieć, w jaki sposób zdołałeś pan tego dokazać?

— Słyszałem swego czasu, jak Montalbon twierdził, że roztropny złodziej powinien nosić przy sobie przedmiot skradziony, by go mieć ciągle pod ręką i pewny byłem, że będzie się trzymał tej metody. W chwili gdy było jasnym, że wszystko zostanie wykryte, człowiek ten, obecny tutaj, wpuścił rubin do szklanki burgunda, gdzieby go napewno nie szukano, on zaś mógł odzyskać z łatwością łup, albo połknąć go w razie najgorszym.

Spróbował to nawet uczynić, ale ja wypilem jego szklankę i dostałem rubin na język. A teraz, panie Montalbon, aresztuję pana w imię prawa! — zakończył, kładąc rękę na ramieniu Thaureta.

Ku ogólnemu zdumieniu siedział Thauret przez chwilę całkiem spokojnie, poczem rzekł powoli i wyraźnie:

— Szanowni Panowie! Słyszeliśmy tego wieczoru rozmaite opowieści, proszę tedy poświęcić także i mojej uwagę, wstrzymując się narazie od wydania sądu.

— Posłuchamy najchętniej! — powiedział Mitchel, podziwiając spokój tego człowieka, a goście zajęli zpowrotem miejsca, z wyjątkiem detektywa, który stanął za więźniem swoim.

— Proszę mi nalać! — zwrócił się Thauret do jednego z kelnerów, a gdy się to stało, pociągnął łyk.

— Nie będę panów nudził długim opowiadaniem, — rzekł — chcę tylko wyrazić pewien pogląd. Kulturalne społeczeństwo współczesne pomiata tak zwaną klasą zbrodniczą i karze winowajców, ale mało kto badał istniejące warunki i przyczyny, które powodują istnienie zbrodniarza wogóle. Życie takiego człowieka nie jest zgoła ponętne i nie obiera go z wolnej woli nikt, posiadający bodaj instynkty moralne. U zwyrodniałców sprawa przedstawia się, oczywiście, inaczej. Jeśli jednak przyjdzie na świat ktoś pozbawiony z natury moralności, czyż jest to winą? Danego człowieka, czy przeszłości, to znaczy przodków jego i warunków wśród których żył? Litujemy się nad tym, kto cierpi na chorobę dziedziczną, a potępiamy człowieka niemoralnego z natury, mimo że stan jego jest wynikiem tych samych przyczyn. Ja jestem takim właśnie człowiekiem i byłem zawsze zbrodniarzem, to znaczy, zdobywałem środki do życia na drodze, jak się to zowie, niedozwolonej. Ale pan, panie Barnes, — zwrócił się do detektywa, zwracając na siebie uwagę jego, tak że mógł wpuścić do szklanki niewielką, białą pigułkę — pan powiesz zapewne, iż pracowałem uczciwie w firmie jubilerskiej. Hm... tak czy owak, starałem się zawsze postępować artystycznie, co Mr. Mitchel przyznał niedawno. Czyniąc tak i zarabiając uczciwie na życie, ćmiłem bystre oczy policji paryskiej, która mogła mnie nieraz podejrzewać, ale zawsze byłem bezpieczny od dowodu winy. Widzicie, łaskawi panowie, że i teraz, jak zawsze właściwie niczego nie wyjaśniłem, chcąc wyjaśnić wszystko. Pragnąłem tylko umknąć dowiedzenia mi zbrodni zarzucanych i czynię to właśnie w taki sposób.

Szybkim gestem chwycili opróżnił szklankę swoją, mimo że Barnes usiłował przeszkodzić temu. W dziesięć minut potem był już trupem.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/guzik-z-kamei/>

Tekst opracowany na podstawie: Rodrigues Ottolengui, Guzik z kamei, tłum. F. Mirandola, Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań [ca 1929].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: [theilr](#), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0675-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.